

PRZE KROJ

Widziałeś
„Monachium” Spielberga?
Teraz poznaj
prawdę o Mossadzie

s. 34

NAJSZTUB PYTA:
Czy minister Ziobro
przeprosi obrażonych
profesorów prawa?

s. 14

08 / 3166 • 23 lutego 2006

na 4,50 zł /w tym 7% VAT/

DZIECKO KOSZTUJE MAJĄTEK!

Ile trzeba wydać
na noworodka,
ucznia,
studenta?
s. 50

ISSN 0033-2488
08
9 770033 248601
Indeks 371424

FAKTY | LUDZIE | OPINIE



1 zł
z VAT

Samsung X200

Mixer Universum

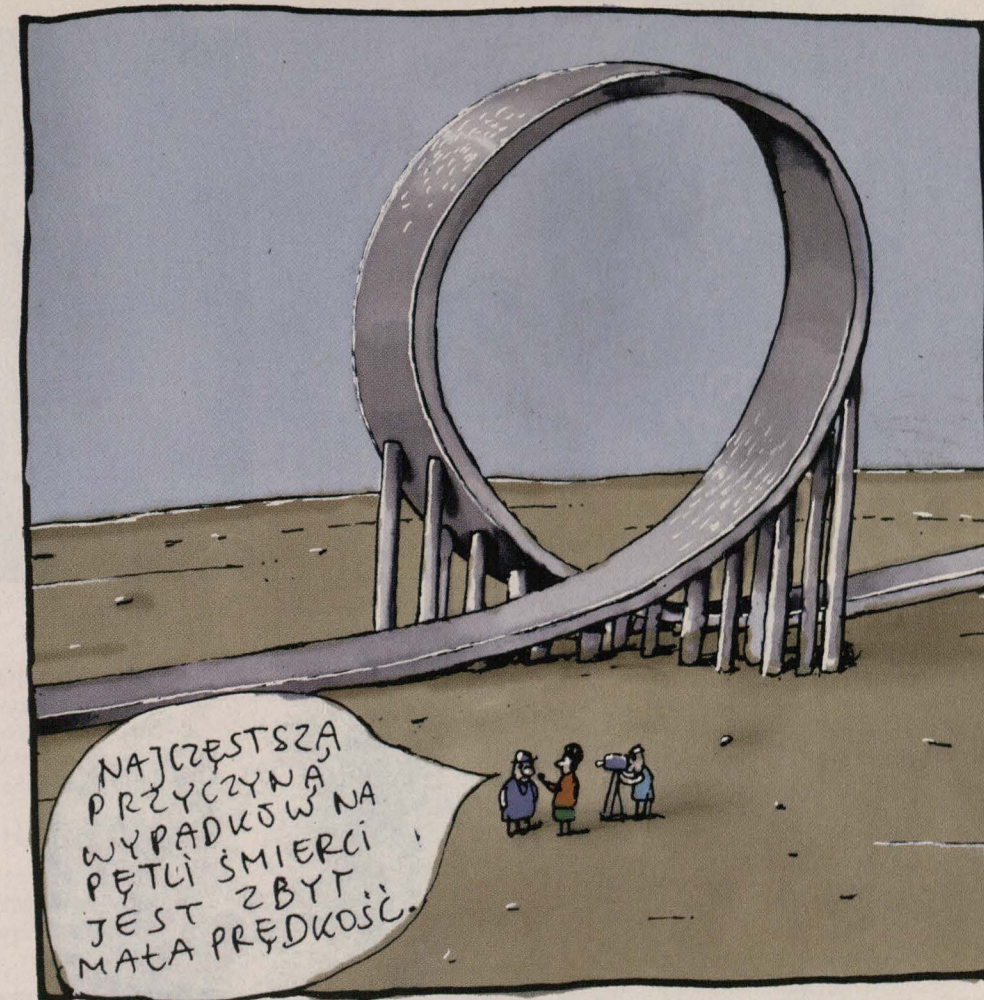
W mixie najlepsze telefony na kartę w najlepszych cenach. Teraz Samsung X200 z dużym, kolorowym wyświetlaczem i trybem głośnomówiącym od 1 zł z VAT a do tego 2x więcej na rozmowy i SMS-y do wszystkich sieci. Twoje trzy pierwsze doładowania zostaną podwojone, możesz więc zyskać nawet 540 zł.

Szczegóły w regulaminie i na www.plusgsm.pl
Sprzedaż: 0 801 400 601

Plus+

PRZE
KROJ

RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o przełomie w lustracji.

Wydawca „Gazety Wyborczej” postanowił, a redakcja się zgodziła, że wszyscy mają prawo, a nawet powinni regularnie zaglądać do swojej teczki, i w związku z tym „GW” dostarczy nam teczki do kiosków. Bo pewnym niedociągnięciem akcji jest to, że dopiero z teczek dowiemy się, co redaktorzy naprawdę myślą o lustracji.

...o tym, że minister koordynator

do spraw różnych Zbigniew Wassermann kolejny raz zajął się problemami mieszkańców osiedla, na którym mieszka. Bo jak wynika z dwóch niezależnych źródeł, nie ma w tej sprawie sporu – minister „interweniował, ale nie naciskał”. Poza tym całkowicie zgadzamy się z panem ministrem koordynatorem posłem, że ma „obowiązek moralny podejmowania interwencji”. Więcej, być może jest to jedyna pożyteczna dla kogokolwiek jego

działalność, a tym nie każdy minister może się pochwalić.

...o zmianie, jaka miała zająć w osobowości ministra wicepremiera po stał PiS Ludwika Dorna po zdobyciu tytułu do używania tych wszystkich tytułów – niektórym (w tym nam) zdawało się, że się zrobił jakiś bardziej impertynencki, obcesowy, nawet kaśliwy. Bo ludzie dobrze poinformowani uświadomili nam, że żadna zmiana nie zaszła – Ludwik minister wicepremier poseł Dorn po prostu zawsze odpowiada rzeczowo tylko tym, których osobiście lubi. Pozostałych traktuje z buta. Nie zawsze wyczyszczonego.

...o tym, że przez chwilę spojrzeliśmy na dziennikarskie newsy oczyma Jarosława Kaczyńskiego i natychmiast doznaliśmy oślnienia: yes, yes, yes! Przecież obrzydliwa, niczym nieuzasadniona plotka o nasilaniu się konfliktu między premierem

Marcinkiewiczem a Jarosławem Kaczyńskim musiała być podrzucona Richardowi Francisowi Czarneckiemu z Samoobrony przez kolegów prezesa PiS, a może i samego prezesa. Czyż nie jest to najdoskonalszy sposób udowodnienia, że pismaki znowu bezpodstawnie chcą mająć? Bo jak już przestaliśmy patrzeć oczyma prezesa wszystkich uczciwych, zwykłych Polaków, przestaliśmy też doszukiwać się trzeciego dna tam, gdzie jest tylko dno.

...o Arturze Zawiszy, pośle PiS, który wypowiedział się dla Polskiego Radia o korupcji, zdobywając się przy okazji na refleksję historyczno-psychologiczną: „Różnica między czasami Gomułka a dzisiejszymi jest taka, że Gomułka był tępy. Natomiast był uczciwy. W dzisiejszych czasach przywódcy bywają bardziej inteligentni”. Bo Artur Zawisza nie zalicza się do grona przywódców i od razu widać dlaczego.

CYTAT tygodnia

Mówię głośno: mogą mnie wyeliminować, ale mnie nie odstraszą

– ZBIGNIEW WASSERMANN,
minister odpowiedzialny
za służby specjalne, które
ze strachu przed reformami
próbują jakoby zdyskredytować
swojego ministra



Fot. JACEK HEROK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER



34

Mossad
– najpotężniejszy wywiad świata

POWIĘKSZENIE

6 POLITYCY NA POKAZ

NAJSZTUB PYTA

14 LEX ZIOBRO

Ludzie, którzy nie mieli gotowości do bycia twardą opozycją, teraz tę wewnętrzną potrzebę sprzeciwu wobec państwa tyrana przekładają na państwo demokratyczne – mówi Zbigniew Ziobro

22 KOMENTARZE
PIOTRA NAJSZTUBA
i WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

24 PRZEKRÓJ TYGODNIA

26 TAKO RZECZE JAROSŁAW „W Polsce dzisiaj mamy triumf insynuacji. Stała tu do walki w zwartym oryngunku łże-elita III RP” – czy mówią te słowa w swoim sejmowym wystąpieniu, Jarosław Kaczyński zaproponował nowy styl debaty publicznej, czy tylko chciał pognać wrogów?

28 OLBRYM W FARTUCHU SKLEPOWEJ Sklepy GS – skansen PRL czy łakomy kęs dla małomiasteczkowych sieci? Jakim cudem to wciąż działa?

ZAGRANICA

32 PRZEKRÓJ TYGODNIA

34 MOSSAD WSZECHMOGĄCY, CHOĆ OMYLNY Mossad – izraelski wywiad – to najbardziej bezwzględna, ale i najlepiej zorganizowana

agencja tego typu na świecie. Dlatego też jej wpadki są równie spektakularne jak sukcesy

LUDZIE

40 MINISTER NIEPRYWATYZACJI Wojciech Jasiński, nowy minister skarbu, nie ma wielkiego doświadczenia jako ekonomista, jego życiorys jest tajny, za to on sam darzony jest przez braci Kaczyńskich wielkim zaufaniem

44 NIEPOTRZEBNI MOGĄ NADEJŚĆ Bracia Dominik i Piotr Matwiejczukowie, ojcowie offowej rewolucji w polskim kinie, oraz Bodo Kox, profesjonalny aktor nieprofesjonalny – gotowi do wyjścia z podziemia

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

48 CUDA STATYSTYKI Statystyczne cuda, czyli życie sobie, a statystyki sobie

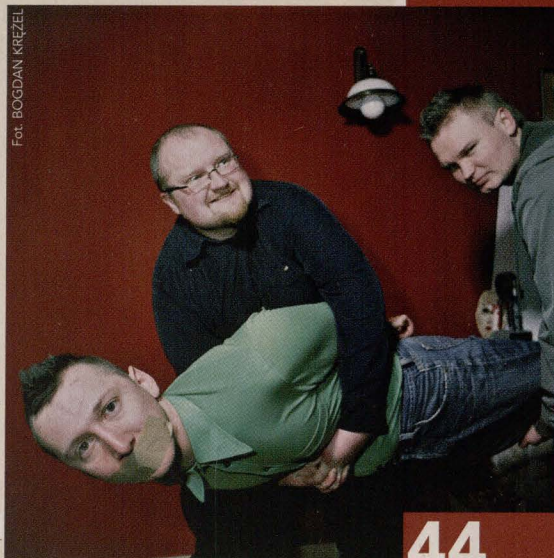
TEMAT „PRZEKROJU”

50 ILE KOSZTUJE DZIECKO? Wychowanie dziecka od noworodka do magistra to koszt bliski pół miliona złotych. Rodzicielstwo to zdecydowanie droga i ryzykowna inwestycja

NAUKA

58 PROGNOZA CHOROBY Już niedługo będą specjalne prognozy pogody, które w porę ostrzegą chorych na astmę lub serce o zbliżającym się dla nich niebezpieczeństwie

62 GOOGLE JUŻ CIĘ MA Jak przyjazna i dobra wyszukiwarka zmieniła się w sieć szpiegowską



HISTORIA

64 POLOWANIE NA PANA COGITO W IPN znaleziono dokumenty, które potwierdzają próby otrucia Zbigniewa Herberta przez SB

ALFRED HITCHCOCK
POLECA

78 OBCY W PIWNICY Opowiadanie kryminalne Kamila Rożka

TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

66 WYDARZENIE Kino zaangażowane idzie po Oscary
68 FILM „Tajemnica Brokeback Mountain”
70 MUZYKA Jacek Olter i 50 Artystów „Olter”
72 KSIĄŻKI Andrzej Sosnowski „Dożynki”
74 Teatr „Sen nocy letniej”

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI, W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
20 TECZKI OSOBOWE, NA CZCZO IGORA ZALEWSKIEGO
56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
77 KRZYŻÓWKA
82 RACZEJ RACZKOWSKI
83 ROZMAIŃCOCI

44

Bracia Matwiejczukowie i Bodo Kox wyskakują z ofu

58

Prognoza pogody uratuje ci życie



Fot. KUBA DĄBROWSKI, BE&W

Congratulations on your recent well deserved promotion.
Your continued dedication to the company is greatly appreciated.

John F. M...
CEO



SGH-X700

imagine klasa sama w sobie

Wyrafinowany stylistycznie telefon, dzięki doskonałej jakości wyświetlaczowi, technologii EDGE oraz czytnikowi kart pamięci MicroSD umożliwi Ci zarządzanie ogromną ilością danych. Stereofoniczny odtwarzacz MP3 zaś pozwoli cieszyć się ulubioną muzyką. Z telefonem X700 nie trudno sobie to wyobrazić.

aparat 1.3 Megapixela
262 144 kolorów wyświetlacza
technologia Bluetooth
40-tonowa polifonia

nagrywanie sekwencji wideo
odtwarzacz plików muzycznych (MP3/AAC/AAC+)
stereofoniczne radio FM
czytnik kart pamięci MicroSD

SAMSUNG

Politycy NA POKAZ

Sieroty jako alibi dla próżności polityków
– dlaczego nie? Więcej zobaczycie mody
na naszych zdjęciach niż dom dziecka
pieniędzy z tej akcji charytatywnej

TEKST SYLWIA CZUBKOWSKA
ZDJĘCIA RAFAŁ MILACH

Posłanka
Katarzyna
Piekarska z SLD
na wybiegu
wystąpiła jako
ostatnia.
– Lepiej, by w SLD
kończyły kobiety
– komentowali
złośliwi



Fot. PIOTR FOTEK/REPORTER



Tadeusza Cymańskiego z PiS, który prezentował strój w kategorii sport, jury skrytykowało za mało sportowe połączenie koszuli, swetra i marynarki. Publiczność zaś nagrodziła go oklaskami za odważne rozpięcie tejże marynarki

Fot. PAWEŁ TERLIKOWSKI/FORUM

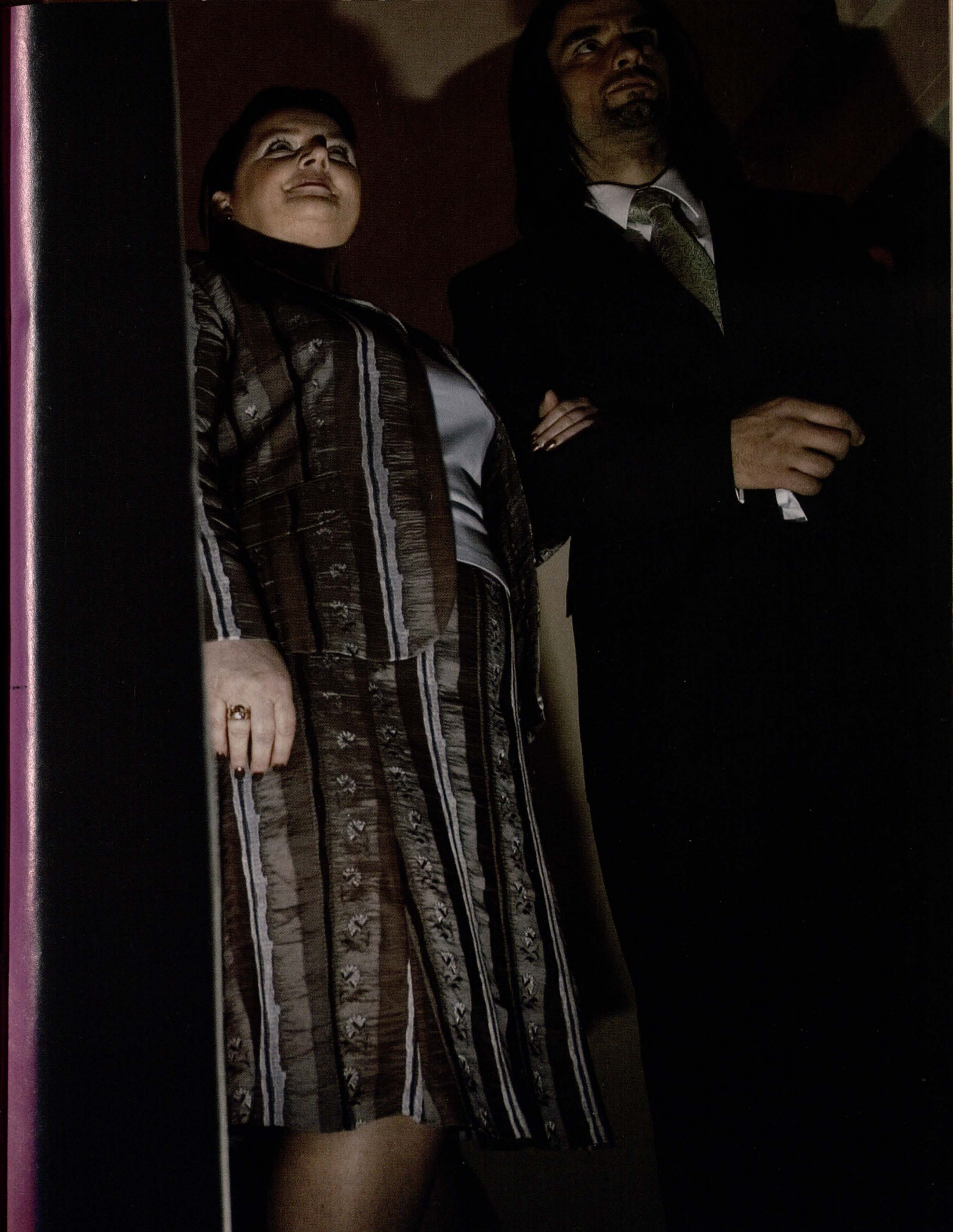
Duży wybór zimnych i gorących przekąsek, wino białe i czerwone, drinki mochito – bankiet w eleganckiej restauracji kosztował ponad 30 tysięcy złotych



Renacie Beger z Samoobrony nie spodobały się ubrania, które prezentowała.
– W domu mam lepsze – mówiła. W dodatku te były na nią wyraźnie za małe



Politycy przyszli na imprezę tłumie ze względu – jak mówią – na jej charytatywny cel. Nikt jednak nie wie, jaki konkretnie.
– Dom dziecka na Podkarpaciu, ale nie pamiętam który – przyznawali w trakcie zabawy



Kiedy posłanka Katarzyna Piekarska (SLD) w czarnej, ręcznie haftowanej sukni i czarnym boa przy dźwiękach samby zębami ściągnęła czarne, długie rękawiczki i rzuciła je w stronę widzów, stała się gwiazdą wieczoru. Zujący gumę Piotr Ślusarczyk (LPR) zawadza-

ko przeczesujący włosy trafił do niemal wszystkich serwisów telewizyjnych. Nowa fryzura Renaty Beger stała się drugim po orędziu prezydenta wydarzeniem dnia.

„Szyk i elegancja połączona z wielką polityką i najnowszymi trendami. Na wybiegu, w strojach wieczorowych, biznesowych i sportowych zaprezentowali się przedstawiciele sześciu partii politycznych” – tak pokazem mody parlamentarnej zachwycali się media. Stroje pochodziły od krajowych producentów odzieży. A politycy rozdawali uśmiechy i zapewniali, że zdecydowali się na udział w imprezie ze względu na jej charytatywny cel. Mieli jednak problem z odpowiedzią na pytanie jaki konkretnie. – Na dom dziecka. Ale nie wiem który – przyznał Mirosław Pawlak (PSL). – Dom dziecka na Podkarpaciu. Organizatorzy mówili który, ale nie pamiętam – tłumaczyła się Beata Bublewicz (PO).

NIE DLA ZABAWY

Po niespełna półgodzinnym pokazie poseł Wojciech Olejniczak uciekł z okrzykiem: – Biegnę oglądać pana prezydenta.

Tadeusz Cymański pobrylował chwilę wśród dziennikarzy, by po killkunastu minutach oświadczyć: – Proszę państwa, muszę już iść. Jestem umówiony do programu pani Moniki Olejnik.

Jednak większość zdecydowała się zostać. – Nie chcieliśmy, by media komentowały, że w chwili gdy ważą się losy parlamentu i Polski, bawimy się, zamiast pracować. Organizatorzy przekonali nas, że najważniejsza jest zbiórka pieniędzy na cel charytatywny, a nie zabawa – wyjaśnia Tadeusz Sławecki (PSL).

A było po co zostać. Cztery rodzaje makaronów, kilkanaście zimnych przekąsek, wino białe i czerwone, drinki mochito i soki. W sumie, jak wylicza restauracja, za 100 złotych na gościa. Bankiet w eleganckiej Villa Foksal kosztował ponad 30 tysięcy złotych. Kilka godzin przed imprezą poseł Ślusarczyk w rozmowie z nami zapewniał, że w imprezie weźmie udział, bo będzie skromna.

W tłumie blisko 350 gości błyszczeli Renata Beger, Katarzyna Piekarska, Tadeusz Sławecki i Janusz Wójcik (Samoobrona). Pozowali do zdjęć z ekspertkami od mody Dorotą Wróblewską, Teresą Rosati i Moniką Jaruzelską. – Pani poseł, proszę o uśmiech. Świetne włosy – czarował Renatę Beger fotograf. Jednak posłanka Samoobrony nie czuła się najlepiej. W prezentowanym kostiumie

było jej wyraźnie za ciasno. Katarzyna Piekarska z zapałem konsumowała ciasteczka i przekąski. Poseł Wójcik niczym lew salonowy przechadzał się z kieliszkiem soku. Przez kilka następnych dni byli medialnymi gwiazdami.

CHARYTATYWA USPRAWIEDLIWIA

Politycy angażują się w akcje charytatywne z okazji Wielkanocy, Bożego Narodzenia, Dnia Dziecka, Dnia Kobiet. Każda okazja jest dobra, by w świetle fleszy pokazać, jak bardzo się ma na sercu dobro głodnych dzieci, chorych dzieci, umierających dzieci.

Koszty takich imprez są niemałe, a pieniądze, jakie udaje się zebrać, często śmieszne. Kiedy w Katowicach ratownicy wydobywali ludzi spod zawalonej hali, w Ostrołęce na balu – oczywiście

charytatywnym – bawił się wiceminister spraw wewnętrznych Arkadiusz Czartoryski. Władze Mazowsza dały na promocję imprezy 24 tysiące złotych. Po podliczeniu wpływów okazało się, że są one o tysiąc złotych niższe od dotacji.

Trzy lata temu w ekskluzywnym hotelu Sheraton bankiet na 500 osób, który towarzyszył pierwszemu pokazowi mody poselskiej, kosztował co najmniej 40 tysięcy złotych – tak wyceniamy podobną imprezę właściciele hotelu. Na Pierwszym Balu Charytatywnym Platformy Obywatelskiej w Małopolsce, który zaszczycili obecnością „reprezentanci najlepszych środowisk świata nauki, przedsiębiorczości i kultury Krakowa i Małopolski”, zebrano... 5960 złotych.

Polityków te słabe wyniki jednak nie zniechęcają. Na tegorocznym balu Samoobrony 25 lute-

go gości zebranych w jednej z najlepszych restauracji we Włocławku zabawić będzie zespół Jazz Music Fine. Karnet dla pary kosztuje 160 złotych. Niestety, bez alkoholu, ale nie ma problemu, można przynieść własny. Na aukcji mają być wystawione kufle, naczynia ceramiczne, katalogi promujące Włocławek. Nie wiadomo, na co będą zbierane pieniądze.

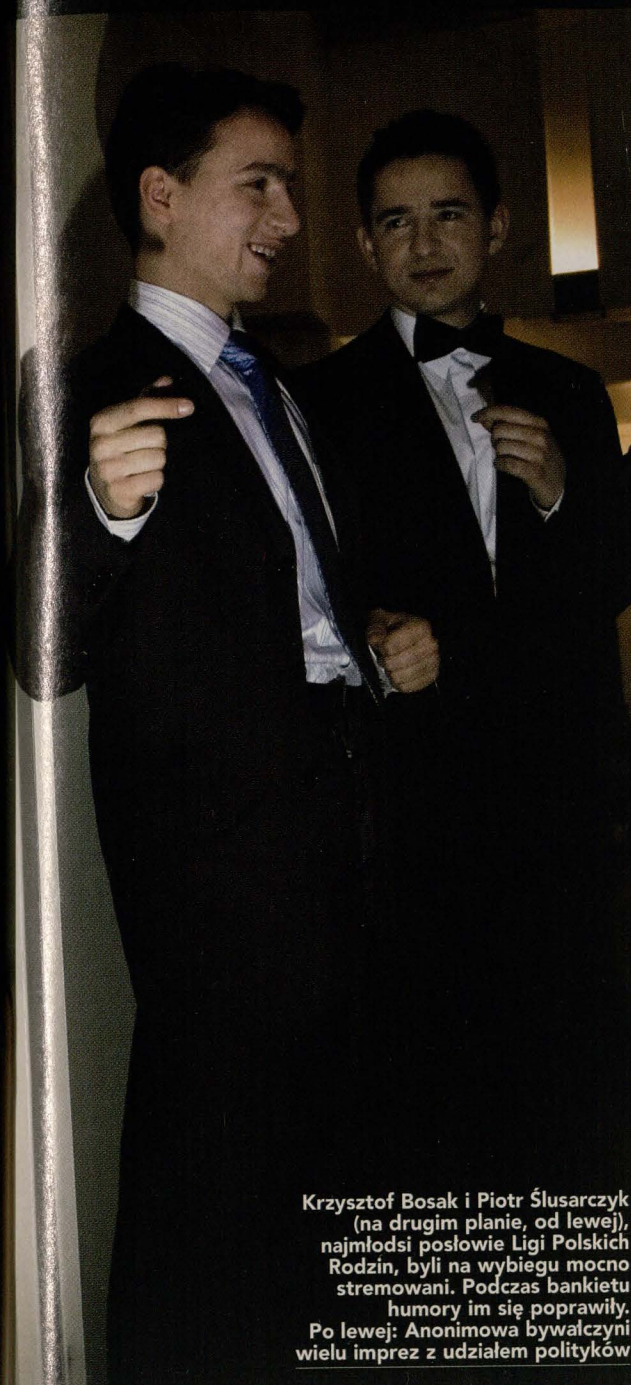
I KTO TO KUPI?

Podobny problem mają organizatorzy tegorocznego pokaz mody parlamentarnej. Pieniądze ze sprzedanych na aukcji ubrań, w których występowali politycy, mają zostać przekazane na dom dziecka. Nikt – ani politycy, ani sponsorzy, ani portal aukcyjny – nie wie, kto będzie beneficjentem imprezy. Organizatorzy wciąż nie chcą tego

zdradzić. – A co by było, gdyby nie udało nam się sprzedać ubrań i nie mielibyśmy co przekazać? – pyta retorycznie Ewa Popławska z Centrum Prasowego „Foksal”. – Może jak już zbiorą pieniądze, to znajdą dom dziecka – zastanawia się asystent posła, który brał udział w pokazie.

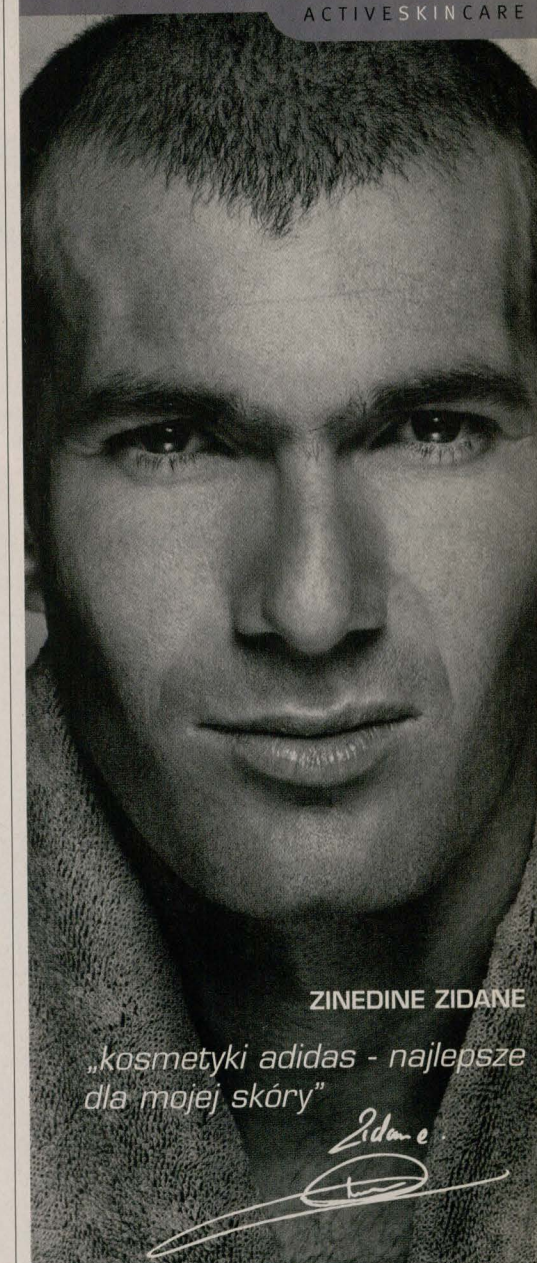
Nie wiadomo także, ile pieniędzy uda się zebrać. Mimo że od pokaz mody minął ponad tydzień, aukcja jeszcze się nie rozpoczęła. Skoro jednak politykom przyznano prawo pierwokupu pokazywanych ubrań, i to o 30 procent taniej, niż wynosi ich cena rynkowa, nie należy liczyć na kokosy. Granatowy garnitur z weluru Jerzy Wójcik będzie mógł zdobyć już za 300 złotych.

SYLWIA CZUBKOWSKA
WSPÓLPRACA ZOFIA BARAŃSKA, ACH



Krzysztof Bosak i Piotr Ślusarczyk (na drugim planie, od lewej), najmłodszy posłowie Ligi Polskich Rodzin, byli na wybiegu mocno stremowani. Podczas bankietu humory im się poprawiły. Po lewej: Anonimowa bywalczyńni wielu imprez z udziałem polityków

Organizatorzy nie chcą powiedzieć, kto ma być beneficjentem pokazu mody. Bo co by było, gdyby nie udało im się sprzedać ubrań i nie mieliby co przekazać?



ZINEDINE ZIDANE

„kosmetyki adidas - najlepsze dla mojej skóry”

Zidane

PRZETESTUJ KOJĄCY KREM PO GOLENIU DLA MĘŻCZYŹN. BŁYSKAWICZNIE ŁAGODZI PODRAZNIENIA I POPRAWIA KONDYCJE SKÓRY.





LEX ZIOBRO

Profesorowie prawa i sędziowie krytykują ministra sprawiedliwości

ZBIGNIEWA ZIOBRĘ, on im wypomina ich przeszłość.

Gorzej, że na tej pyskówce może ucierpieć jakość tworzonego właśnie prawa

Danie ministże, przyszedłem z misją dobrej woli. Chcę panu pomóc. Niech pan skorzysta z okazji i w „Przekroju” przeprosi prof. Cwiąkalskiego.

– Pan chyba żartuje, a za co mam przeprosić?

Choćby za to, że podawał pan nieprawdziwe fakty z jego życiorysu.

– Jeśli podałem nieprawdziwe fakty, to przeproszę. Powiedziałem prawdę poza drobnym przejęzczeniem. Powiedziałem, że kiedy prof. Cwiąkalski był w PZPR, moi starsi koledzy byli prześladowani przez SB. To smutne, że dziś ten sam profesor zarzuca mi i innym politykom PiS, którzy wówczas ryzykowali własne życie, wprowadzanie stalinowskich rządów. „Gazeta Wyborcza” rozdmuchała sprawę właśnie z powodu mojego przejęzczenia.

W czym się pan przejęzczył?

– W datach: powiedziałem o ’68 r., a chodziło mi o ’76 rok i wydarzenia w Radomiu, kiedy został ciężko pobity Ludwik Dorn.

Przejęzczenie naprawione. Ale co z samą oceną przeszłości pańskiego krytyka profesora Cwiąkalskiego? Środowisko prawnicze wystawia mu dobre świadectwo z okresu PRL. A pan w ferworze sporu posłużył się argumentami dyskredytującymi jego przeszłość. Może warto powiedzieć: przepraszam, a teraz rozmawiamy krytycznie o moich pomysłach.

– Nie jestem specjalistą od spraw życiorysów, tylko od przestępców. Niestety, przez specjalistów od spraw prawa karnego, do których należy pan prof. Cwiąkalski, regularnie jestem...

Krytykowany.

– Jestem za krytyką, za sporami, jeżeli one do czegoś sensownego prowadzą i opierają się na rzeczowych argumentach. Ale jeżeli ta krytyka sprowadza się do rzucania insynuacji, inwektyw, to każdy normalny człowiek zareaguje emocjonalnie.

Pan uznał za inwektywę sformułowanie, że w pańskich pomysłach pobrzmięwa nuta czasów stalinowskich, szczególnie jeśli chodzi o traktowanie tzw. chuliganów, czyli sądy 24-godzinne. O to chodzi?

– Pan bardzo łagodzi, nie chodziło tylko o nutę stalinowską. Zarzucono mi, że chcę w resorcie stosować rozwiązania stalinowskie, a niedługo się pewnie dowiem, że i faszystowskie. Przecież to śmieszne!

To były ustroje, które w dosyć prosty sposób wyobrażały sobie zaprowadzenie porządku i sprawiedliwości, i jak rozumiem, sędziowie odnieśli się do tej prostoty. Przypomnieli również, że po wprowadzeniu sądów przyspieszonych dla chuliganów w PRL ich późniejsze efekty były niekorzystne. Więcej takich ludzi niż skazanych normalnie zostało recydywistami.

– Ale nie idzie o prostotę rozwiązań, tylko o zbrodniczy charakter systemu, który je wprowadzał dla własnych celów.

Skoro to się zdarzyło w tamtych czasach, to sygnatariusze to tylko przypomnieli. Można tak to wytłumaczyć.

– Walka z przestępczością nie dotyczy tylko tamtego czasu, pewne rozwiązania, które oni krytykują, np. sądy 24-godzinne, są wprowadzane w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, w Hiszpanii, we Francji. A oni nie mówią hiszpańskie, amerykańskie, brytyjskie, tylko mówią stalinowskie.

Takie mają doświadczenie własne, to pamiętają.

– Ale ich doświadczenia i wiedza prawna nie ograniczają się do osobistych doświadczeń, to są teoretycy prawa o dużej wiedzy, profesorskich tytułach, którzy doskonale wiedzą, że takie rozwiązania funkcjonują na świecie. Czy jeżeli w czasach stalinowskich stosowano tabliczkę mnożenia, to teraz nie należy jej stosować?!

Ależ się pan zaperzył! Po jednej takiej...

– Nie, nie zaperzyłem się po jednej sprawie. Niech pan przeanalizuje dokumenty komisji kodyfikacyjnej zeszłej kadencji

Od początku swojego urzędowania minister Zbigniew Ziobro spiera się z prawnikami. Zaczął w listopadzie, gdy Komisja Kodyfikacyjna Prawa Karnego opublikowała badania, z których wynika, że tylko 0,5 procent sędziów popiera zaostrzenie kar – sztandarową ideę Ziobry. Wkrótce potem minister zaczął zgłaszać projekty zmian w prawie karnym, ich opracowaniem nie zajęła się jednak Komisja Kodyfikacyjna, ale około 40 zespołów ministerialnych urzędników.

Gdy na początku lutego Ziobro odwołał przewodniczącego Komisji profesora Stanisława Wąltosia, bo „jego poglądy są sprzeczne z zamiarami ministra i rządu”, wszyscy członkowie KKPK na znak protestu złożyli rezygnację. Przeciwno ośmieszeniu decyzji niezależnego sądu i wykorzystywaniu katowickiej tragedii do celów politycznych zaprotestowało Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia”, sędziowie ze stowarzyszenia sędziów Sądu Najwyższego w stanie spoczynku i Krajowa Rada Sądownictwa. Ziobro naraził się także adwokatom, proponując, by karać ich między innymi za obrazę sądu i uporczywe przedłużanie procesów, a samorząd zawodowy za brak reakcji.

Pod listem krytykującym treść i formę wprowadzania reform podpisało się dwa tygodnie temu około stu profesorów prawa. Minister uznał ten gest za „emocjonalną reakcję środowiska zagrożonego we własnych interesach”. Jeden z sygnatariuszy listu profesor Zbigniew Cwiąkalski z UJ na łamach „Gazety Wyborczej” porównał komentarz Ziobry do wypowiedzi Czesława Kiszczaka: „profesorowie to pięknoduchy, a klasa robotnicza ma prawo domagać się surowego karania”. Wtedy minister wytknął profesorowi, że ten należał do PZPR i milczał, gdy jego koledzy siedzieli. W obronie Cwiąkalskiego, który po 1981 roku działał w opozycji, stanęli jego koledzy z UJ, a także jego były student Jan Rokita.

Sejmu. Na każdym posiedzeniu, na które przychodziła grupa profesorów, byłem wyzywany od tego, że mam stalinowskie inklinacje. A moja rodzina w okresie stalinowskim poniosła straszne ofiary, dlatego zresztą jestem w PiS, a nie w SLD. Mój dziadek siedział w więzieniu, prokurator żądał kary śmierci, a moja mama, wtedy małe dziecko, była wyzywana jako „dziecko bandyty”!

Historia pańskiej rodziny nie może być argumentem w sporach o kształt prawa.

– Pokazuję tylko, że czuję się dotknięty posądzeniem o stalinizm. Tylko dlatego, że chcę walczyć z bandytyzmem i przestępcami.

Tego celu nikt panu nie odbiera. Zostawmy teraz profesorów i ich niepokój. Panie ministże, jestem zaniepokojony osobiście. Żyłem w PRL, dorastałem w nim, nie byłem w PZPR, siedziałem – jak wielu – w więzieniu z ustawy o stanie wojennym, nie byłem bohaterem, ale starałem się być po właściwej stronie. Tyle słowem wyjaśnienia. Wierzę, że pan chce dobrze, chce walczyć z przestępczością mocniej, szybciej, skuteczniej. Niech pan się jednak włączy w dyskusję o tym, czy pańskie pomysły nie rodzą jakichś zagrożeń. Czy sądy 24-godzinne, gdzie głównym świadkiem jest policjant, nie rodzą jakiegoś zagrożenia? Pamiętam z PRL takie rozprawy, gdzie milicjant był świadkiem, którego zeznania decydowały o winie, i obawiam się powtórkę.

– Szanuję pana wątpliwości i zapewniam, że będziemy starali się skonstruować nasz projekt sądów 24-godzinnych tak, aby mógł pan spać spokojnie. Nawet jeśli część profesorów będzie nam przeszkadzać. Widzę ich frustrację i konsternację, że nie są dopuszczeni do procesu tworzenia prawa, w którym brylowali przez ostatnich 15 lat, mieli z tego wiele profitów.

Mnie się jednak nie podobało, że pan dyskredytował swojego adwersarza jego mało – pańskim zdaniem – bohaterskim życiorysem.

– Nie ulega wątpliwości, że prof. Cwiąkalski był w latach 1972–1981 członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wtedy kiedy np. w 1977 roku SB zabiła w Krakowie Stanisława Pyjasa i były w związku z tym ogromne demonstracje studenckie...

Ale znowu pan brnie w to samo. Panie ministże, co ma wspólnego z zabójstwem Pyjasa prof. Cwiąkalski?

– Ale nie ma nic, proszę mi nie wmawiać, że ja mówię coś, czego nie mówię...

Mówi pan: w czasach, kiedy zamordowano Pyjasa, ten człowiek był w PZPR.

– Pozwoli pan, że ja teraz powiem, pan nie dopuszcza mnie do głosu.

Uprawiam inne dziennikarstwo niż Telewizja Trwam.

– Nie, pan nie dopuszcza mnie do głosu. Prof. Cwiąkalski był członkiem partii, kiedy SB zamordowała Pyjasa. Jako człowiek inteligentny domyślał się, jakie były kulisy tej zbrodni. Dlatego wówczas nie wystąpił z partii. Są pewne wydarzenia, które towarzyszą ludzkim wyborom, uświadamiają im, w jakim systemie żyją, że ten system jest niepraworządny. Pan profesor Cwiąkalski – nie powiedziałem, że należał do szczególnie gorliwych, aktywnych itd. członków Polskiej Zjednoczonej Partii – miał niekrótki okres świadomego członkostwa w tej partii. W czasie kiedy wielu świadomie tego nie robiło jako wyraz manifestacji wobec władzy i systemu. Nie stawiałem zarzutu panu Cwiąkalskiemu, że był „sługusem” władzy ludowej, wskazałem tylko na pewien fakt w jego życiorysie, który to fakt nie daje mu legitymacji, by zarzucać nam teraz komunistyczne skłonności.

Nie brnijmy w to. Panie ministże, z tym porównywaniem do PRL tego, co pan proponuje, to jest trochę tak: rozsądny człowiek w moim wieku, kiedy myśli o zmianach w prawie karnym, to siłą rzeczy odwołuje się do tego, co jako zło zapamiętał z PRL, innego odniesienia nie mam. I w normalny sposób boję się, żeby PRL nie wrócił.

– Szanuję pana lek. Nie wiem dokładnie, więc zapytam: jakie pan ma wykształcenie?

Jestem grafikiem i malarzem.

– A pan prof. Cwiakalski jest znawcą prawa karnego, profesorem, który ma – jak czytamy w gazetach – ogromną wiedzę prawniczą i wie, jak funkcjonują systemy. A mógłby przeczytać np. prof. Osiatyńskiego w „Gazecie Wyborczej”, że sądy 24-godzinne działają w Nowym Jorku w autobusach, dzięki czemu doszło do ukrócenia przestępczości na ogromną skalę.

Sędziowie z Krajowej Rady Sądownictwa też nie przeczytali tego artykułu i dlatego protestują przeciwko pańskim działaniom?

– Poszedłem na pierwsze spotkanie Krajowej Rady Sądownictwa i wygłosiłem bardzo uprzejme i kurtuazyjne przemówienie, mówiąc o tym, co chcę zrobić dla wymiaru sprawiedliwości. Wspomniałem też o takich działaniach, które mogą nas różnić, np. ograniczenie immunitetu sędziowskiego. Dostałem odpowiedź, że to jest stalinowska, sowiecka propozycja. „Sowiecki” odnieniany był tam przez przypadki wielokrotnie. Zażądałem protokołu ze spotkania i mi go wysłali z zastrzeżeniem, że jest tajny. Chyba sędziowie nie bardzo chcieli się chwalić swoimi wypowiedziami. A ja mówiłem, że immunitet chroni sędziów, którzy jeżdżą pod wpływem alkoholu. I dlatego teraz, po tych listach, zareagowałem. Może szkoda, że tak się stało, wolałbym tego nie robić, bo nie jest moim zamiarem grzebanie w życiorysach. Ale problem może być w mentalności niektórych ludzi. Jeżeli ktoś w przeszłości nie miał siły sprzeciwić się systemowi PRL, praworządności socjalistycznej, która była nieprawością... Nie było wówczas w nim tej siły, żeby jak Michnik, Kuroń, Kaczyński czy Macierewicz stanąć i zaprotestować...

To ja teraz zaprotestuję. Panie ministrze, nie można dzisiaj piętnować ludzi za to, że nie byli w PRL przykładami odwagi!

– Ale ja nie piętnuję, proszę mi tego nie wmawiać! Mówię o pewnych psychologicznych przeżyciach, bo wiem, że nie każdy człowiek jest bohaterem. Rozumiem ludzi, którzy nie mieli gotowości do bycia twardą opozycją. Ale oto nastąpiła nowa rzeczywistość, a im się coś pomyliło. Tę wewnętrzną potrzebę sprzeciwu wobec państwa tyrana, niezrealizowaną wtedy, przekładają teraz na państwo demokratyczne. Kiedy opisują państwo, to widzą je, jakby to dalej był PRL, twierdzą, że trzeba ograniczać, że trzeba mu „wybijać zęby”. Jeżeli wybija się państwu zęby, to kto na tym zyskuje? Ci, którzy są bez skrępowań, dla których prawo czy uczciwość, wrażliwość na ludzką krzywdę nie mają żadnego znaczenia. Dla człowieka uczciwego to, że można zastosować podsłuch w przypadku korupcji, nie jest problemem.

Dopóki nie zostanie niesłusznie skazany lub zniszczony śledztwem.

– Jeżeli jest podsłuch, to nie zostanie niesłusznie skazany, podsłuch jest tego gwarancją. Gdyby pod wpływem naszej inicjatywy nie wprowadzono – wbrew profesorom – podsłuchu w 2002 r. do kodeksu, to Pęczak i Dochnal nie siedzieliby dzisiaj w kryminalu.

Pan nie chce dostrzec jednej, potencjalnej wartości: ci profesorowie, przy wszystkich pańskich zastrzeżeniach życiorysowych, są wartościowym dla pana partnerem, bo mają inne niż pan zdanie w sprawie konkretnych rozwiązań prawnych. Z pańskiego z nimi sporu powinno się narodzić dobre prawo. Co do którego ja też nie będę miał obaw, że podobnie jak 20 lat temu będzie mogło tylko zeznaniem policjanta skazać kogoś w trybie przyspieszonym.

– Moje propozycje wcale do tego nie prowadzą, ponieważ tym się różni od komunistycznych, że gwarantują wszelkie standardy praw człowieka. W sądach 24-godzinnych będzie obrońca z urzędu, prokurator, który też jest obowiązany z urzędu brać pod uwagę okoliczności za i przeciw oskarżonego. To nie jest sąd kapturowy okresu PRL.



Moje propozycje (...) gwarantują wszelkie standardy praw człowieka. W sądach 24-godzinnych będzie obrońca z urzędu, prokurator, który też jest obowiązany z urzędu brać pod uwagę okoliczności za i przeciw oskarżonego. To nie jest sąd kapturowy okresu PRL

No, a co będzie w nocy, kiedy oskarżony powie o świadku swojej niewinności, ale świadek nie będzie chciał lub mógł natychmiast się stawić – o ile oczywiście uda się go w nocy znaleźć?

– Sądy 24-godzinne oznaczają tylko tyle, że sąd pracuje na trzy zmiany i jeśli będzie trzeba, to sąd może zawiesić proces na 7 dni, a później go wznowić. Będzie czas na dotarcie do świadka i odebranie od niego zeznań. A jeżeli okaże się to niemożliwe, to wtedy sprawa trafia w normalny tryb postępowania.

A co z wartością sporu merytorycznego między panem a paną respondentami?

– Ale ja panu pokażę jeszcze jeden mechanizm, z mojego punktu widzenia groźny dla państwa. Ostatnio prof. Zoll, również mój krytyk, jako rzecznik praw obywatelskich zaskarżył ustawę o policji, która pozwalała, by w przypadku porwania policja miała prawo złożyć podsłuch u bliskich porwanej osoby za ich zgodą. Bez przechodzenia skomplikowanych, długich procedur, zgody prokuratora generalnego czy sądu. W ten sposób, znam konkretny przypadek, uratowano życie porwanej dziewczynki. Przez natychmiastowy podsłuch porwawce została namierzona i złapana. Profesor Zoll zaskarżył tę możliwość i ten przepis w ciągu roku trzeba zlikwidować. Tak orzekł Trybunał Konstytucyjny, bo profesor jest człowiekiem, który potrafi przekonywać. Autorytet prof. Zolla zadziałał tak, że kiedy następny raz zostanie porwane małe dziecko, to po kilku dniach, bo założymy, że procedura zakładania podsłuchu zostanie skrócona do kilku dni, decyzja zostanie wydana, a to dziecko może już nie żyć.

Panie ministrze, i to jest właśnie pańska metoda. Bo teraz, jak zostanie porwane małe dziecko i coś mu się stanie, to winny będzie prof. Zoll.

– To nie jest moja metoda, tylko pańska prowokacja. Nie będzie winny, bo to nie on porwał dziecko.

A ja panu mówię, jak to brzmi: jeżeli zostanie porwane dziecko i nie będzie można zastosować tego szybkiego podsłuchu, to będzie odpowiedzialny za to Zoll. A poprzednio mi pan powiedział: czy sędzia, który jeździ po pijanemu, ma być bezkarny, i swoją walkę o wpływ na sędziów będzie pan zawsze tym argumentem podtrzymywał.

– Mam zamykać oczy na bulwersujące przykłady?

Nie używać takich, nazwijmy to, skrótów myślowych, bo one zamykają wszelką dyskusję.

– Jak to „skrótów myślowych”? Czy ja coś zmyślam, czy podaję fałszywe fakty? Dotykam kluczowej kwestii – poczucia odpowiedzialności twórców prawa za konkretne zdarzenia, dotyczące konkretnych ludzi, które dzieją się w ramach tego prawa. Zazwyczaj w łeb dostają sędzią, prokurator, policjant albo polityk. A gdzie jest odpowiedzialność tych, którzy tworzą to prawo? Jak mi mówi pan prof. Waltoś, z całym szacunkiem dla niego, czytałem jego znakomite książki...

Pan chyba nie czuje do niego szacunku, więc po co te okragłe znania?

– Dlaczego nie miałbym do niego czuć szacunku?

Bo jest zwolennikiem liberalnych systemów.

– Ja się z nim nie zgadzam, ale naprawdę dużo czytałem jego prac. Lubię się dowiadywać, jak myślą ludzie różni ode mnie. Rzeczywiście się z nim się nie zgadzam, co nie znaczy, że nie mam uznawać go za człowieka, który ma pewne osiągnięcia i własny dorobek.

Wróćmy do odpowiedzialności twórców prawa.

– Oni mówią, że wartością nadrzędną, najwyższą miarą, która świadczy o jakości prawa, jest jego niezmiennosc i stabilność. Słusznie. A kodeks postępowania karnego napisany przez prof. Waltośa...

To nie był kodeks napisany przez prof. Waltośa.

– Był jednym z głównych autorów.

Przed wszystkim uchwalali go politycy.

– Proszę nie żartować, wystarczy porównać projekty, które trafiły do Sejmu z później uchwalonymi. Prof. Waltoś był głównym ekspertem i niemal wszystko to, co mówił, przechodziło. I ten kodeks na przestrzeni zaledwie 7 lat był zmieniany 25 razy i jedna tylko ze zmian obejmowała 250 poprawek. No przecież to jest katastrofa.

To trzeba mu tytuł profesorski odebrać.

– Pan redaktor sobie kpi. Jeśli oddaje pan zegarek do zegarmistrza, a zegarek się nadal psuje, to ile razy będzie pan mu ten zegarek oddawał? Raz? Dwa razy? Bo chyba nie 25. Uważam, że może ktoś być wybitnym teoretykiem, dogmatykiem prawa, ale teoria

ZBIGNIEW ZIOBRO
MA 36 LAT. UKOŃCZYŁ WYDZIAŁ PRAWA I ADMINISTRACJI UNIwersytetu Jagiellońskiego. W 1999 ROKU ZAŁOŻYŁ W KRAKOWIE STOWARZYSZENIE KATON ORAZ CENTRUM POMOCY OFIAROM PRZESTĘPSTW I PATOLOGII SPOŁECZNEJ. PRACOWAŁ W GENERALNYM INSPEKTORACIE CELNYM, BYŁ DORADCĄ MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH I ADMINISTRACJI MARKA BIERNACKIEGO. W 2001 ROKU LECH KACZYŃSKI, ÓWCZESNY MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI, POWOŁAŁ GO NA STANOWISKO PODSEKRETARZA STANU W RESORCIE SPRAWIEDLIWOŚCI. BRAŁ UDZIAŁ W PRACACH KOMISJI ŚLEDZCZEJ BADAJĄCEJ AFERĘ RYWINA I JEST AUTOREM PRZYJĘTEGO PRZEZ SEJM RAPORTU TEJ KOMISJI, KTÓRY ZAKŁADA ISTNIENIE GRUPY TRZYMAJĄCEJ WŁADZĘ W SKŁADZIE: LESZEK MILLER, ALEKSANDRA JAKUBOWSKA, WŁODZIMIERZ CZARZASTY, LECH NIKOLSKI I ROBERT KWIATKOWSKI. JAKO MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI W RZĄDZIE KAZIMIERZA MARCINKIEWICZA ZBIGNIEW ZIOBRO DAŻY DO ZAOSTRZENIA PRZEPISÓW PRAWA KARNEGO. W WOLNYCH CHWILACH – JAK DONOSI STRONA INTERNETOWA WWW.ZBIGNIEWZIOBRO.PL – MINISTER „CENI SOBIE AKTYWNY WYPOCZYNEK NA ŁONIE PRZYRODY W TOWARZYSTWIE NARZECZONEJ, PRZYJACIÓŁ I RODZINY”.

i praktyka nie zawsze chodzą tymi samymi drogami. I dlatego ja w wielu sprawach dotyczących nie tylko polityki karnej przygotowywanie projektów powierzyłem wybitnym sędziom i prokuratorom. Sędzia, który przez 6 lat orzeka, jest bogaty o doświadczenia setek spraw. A najwspanialsza nawet wyobraźnia teoretyka nie przewyższy długich lat doświadczeń.

Ale oni obaj powinni tworzyć prawo w sporze między sobą.

– W czasie przygotowywania projektu w ministerstwie nie może być miejsca na długie spory, bo projekty powstałyby pewnie za 10 lat. Czas na spory przyjdzie w Sejmie. Nie jestem przeciwnikiem dyskusji z prof. Waltośiem. Wręcz przeciwnie. Będę jemu i jego kolegom nawet wdzięczny, jeśli poddadzą nasze projekty najostrejszej, ale rzeczowej krytyce. W tej chwili postawiłem na praktyków. Poszczególne regulacje – jeśli jest potrzeba – konsultowane są z profesorami prawa.

Czyli ma pan tajnych profesorów?

– Nie tyle tajnych, ile takich, którzy nie chcą się afiszować z tym, że ze mną współpracują, i ja to szanuję. To jest zwłaszcza widoczne w przypadku młodych pracowników naukowych. Niedawno miałem przedstawić opracowanie kolejnego projektu i miało wystąpić ze mną dwóch młodych pracowników, jeden na etapie habilitacji, drugi doktoratu, i obaj zrezygnowali. Powiedzieli mi: nie możemy, bo nas zaszczyca.

Czyli nie warto się z panem pokazywać w sferach akademickich.

– Niestety, coś może być na rzeczy.

Pan przygotowuje projekty i w Sejmie może już się żadna głębsza dyskusja nie odbyć. Przegłoszycie, co chcecie.

– Dlatego, przecież w Sejmie są komisje.

Pakt stabilizacyjny został podpisany, macie maszynkę do głosowania.

– Przewodniczący komisji sejmowej ma prawo, a nawet obowiązek zamówić opinie u różnych ekspertów. Będę zabiegał, żeby zostały zamówione również u prof. Waltośa, Zolla, Wróbla. Nie można jednak ode mnie wymagać, bym powierzył przygotowanie zmian prawa dotychczasowym autorom kodeksu karnego. Kodeksy te uważam za nadmiernie łagodne, nieprzystające do rzeczywistości i pełne błędów.

Setki profesorów, sędziów, byłych sędziów podpisuje się pod listami protestującymi przeciwko pańskiemu pomysłom. Wszyscy?

– Listy podpisało poniżej 400 osób, w tym wielu studentów. Tymczasem w Polsce jest blisko 100 tysięcy prawników.

Jednak czy nie ma pan poczucia, że – tu odwołam się do pańskich krakowskich korzeni – zaczyna pan wyglądać jak krakowski Lajkonik walczący z wszystkimi na Starym Rynku?

– Dotąd unikałem tej walki, robiłem swoje. Teraz odpowiem na te zarzuty i dalej będę robił swoje. Będę starał się nie wchodzić w jałowe spory.

Będzie się jeszcze mówiło, że jest pan zbyt młody, może trochę niedouczoney.

– Takich argumentów używał Leszek Miller i jego otoczenie. Nic nowego. Repertuar zarzutów można przewidzieć.

Więc na wszelki wypadek, skoro ma pan zamiłunek, zapytam: na jaką ocenę napisał pan aplikację prokuratorąską?

– Wiem, że „życiwi” rozpowiadają o mnie kłamliwe plotki, że rzekomo nie zdałem egzaminu prokuratorąskiego. Nieprawda. Wyjaśniam – egzamin wstępny zdałem na ocenę dobrą, połówkowy zdałem na ocenę dobrą, egzamin końcowy zdałem na ocenę dobrą.

Czyli średni uczeń? Bo co znaczy ocena dobra w tym systemie?

– Za moich czasów były oceny: bardzo dobra, średnia, dostateczna i niedostateczna.

Czyli nie chce się pan, jak ten Lajkonik, kopać z całym starym rynkiem. Jednak na pewno chce pan być skuteczny. A trudno być skutecznym, kiedy się ma wszystkich przeciw sobie.

– Ale nie mam wszystkich przeciw sobie. Kiedy Lech Kaczyński był tutaj ministrem, również to środowisko protestowało, był identyczny list, tylko wtedy środowisko nie reagowało aż tak

gwałtownie. Bo był wentyl bezpieczeństwa w postaci prezydenta Kwaśniewskiego, który mógł zawetować każde rozwiązanie. Teraz moi oponenti wiedzą, że zmiany mogą mieć charakter definitywny i że definitywnie zostają odcięci od wpływu na rzeczywistość. A była to grupa ludzi decydująca o kształcie polityki karnej przez ostatnich 15 lat w Polsce. I to nagle się kończy. A ja tylko realizuję to, co PiS obiecał wyborcom. Jeżeli wygrałem w Krakowie wybory wynikiem 120 tysięcy głosów, najwyższym w historii jakichkolwiek krakowskich wyborów, to wygrałem dlatego, że uczciwie głosiłem, że będę reformował wymiar sprawiedliwości i doprowadzę do zaostrożenia odpowiedzialności karnej za najcięższe przestępstwa.

A może dlatego, że jest pan ładny?

– A może pan jest złośliwy? Przestępcy w zakładach karnych w Krakowie regularnie nie głosowali na mnie, gdyż najwyraźniej nie jestem ładny, a mówiąc poważnie, z ich punktu widzenia mam „brzydkie” poglądy. Przestępcy wiedzieli, co proponuję. I dzisiaj biorę odpowiedzialność za to, że jeżeli wprowadzę za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą karę 25 lat więzienia, to szefowie „Pruszkowa”, jak wyjdą na wolność i znowu wpadną, to już będą siedzieć przez te 25 lat i mogą mówić, że to przeze mnie. Mamy też trzech prezydentów miast, którzy poszli siedzieć za korupcję. A dlaczego poszli siedzieć? Bo w 2002 roku zagwarantowano bezkarność osobie dającej łapówkę, jeśli powiedziała o tym organom ścigania. A wie pan, kto był współautorem tego przepisu?

Pewnie niejaki Ziobro.

– Profesor Leon Tyszkiewicz, który nie znalazł poparcia kolegów prawników, a otrzymał je od PiS i ode mnie. W przeciwieństwie do protestujących profesorów czuję się współodpowiedzialny za współtworzone przeze mnie prawo.

Nie czuje się pan upokorzony tym, że powstaje Centralne Biuro Antykorupcyjne?

– Wręcz przeciwnie, jestem bardzo zadowolony.

A nie można by tego odebrać jako wotum nieufności wobec służb, które panu podlegają?

– W żadnym razie, to inny rodzaj służb. Prokuratura jest gospodarzem wszystkich śledztw i musi mieć do ich prowadzenia kompetentnego partnera w postaci policji, ABW bądź teraz CBA.

Nie boi się pan takiego scenariusza: mijają wasze cztery lata rządzenia, CBA nie przestanie działać, za cztery lata szefem CBA, w skrajnym przypadku, zostaje np. Jerzy Jaskiernia z SLD. Podoba się to panu?

– Mam nadzieję, że Jaskiernia nie zostanie szefem CBA, ale założymy, że może to być człowiek podobny do Jaskierni. Otóż po pierwsze, mam nadzieję, że zmienimy o tyle państwo, iż skończy się czas bezkarności polityków i ludzi władzy.

Ale CBA będzie działać.

– Jak CBA będzie działało, to każdy, kto stanie na jego czele, będzie wiedział, że za nadużywanie władzy ponosi się konsekwencje. A po drugie, zapewniam pana, że jak ktoś jest uczciwy, to nie musi się niczego bać. Założymy, że będą mnie nawet podsłuchiwali, prześwietlali itd., to ich problem będzie taki, że nic nie odkryją.

Panie ministrze, co też pan za bzdury opowiada! Jak to człowiek uczciwy nie musi się bać! Nie czyta pan, ile jest procesów o niesłuszne skazanie? Nie zna pan historii biznesmena Kluski? Człowiek uczciwy, nie miał się czego bać, a stracił bardzo wiele. A takich przypadków w kraju jest mnóstwo.

– Zanim pan zawoła „bzdura”, niech się pan przez chwilę zastanowi. Sprawa Kluski mogła mieć miejsce dlatego, że aparat państwa jest skorumpowany, że został wykorzystany, żeby wymusić na nim łapówkę. CBA jest powołane właśnie po to, by takie sytuacje ukrócić. By się zająć skorumpowanymi funkcjonariuszami państwa, nie biznesmenami. Wprowadzenie wyższych standardów w sferze służby państwowej spowoduje, że o takie przypadki będzie trudno. Inną sprawą jest to, że gdyby przyjął

Jak CBA będzie działało, to każdy, kto stanie na jego czele, będzie wiedział, że za nadużywanie władzy ponosi się konsekwencje. A po drugie, zapewniam pana, że jak ktoś jest uczciwy, to nie musi się niczego bać. Założymy, że będą mnie nawet podsłuchiwali, prześwietlali itd., to ich problem będzie taki, że nic nie odkryją

pana rozumowanie, że zdarzają się nietrafne działania czy nietrafne wyroki, to należałoby zlikwidować wszystkie sądy, bo sądy mogą się pomylić, policja może się pomylić, to zlikwidujemy policję, a zdarza się skorumpowany prokurator – więc zlikwidujemy prokuraturę! To prowadzi do absurdu.

Nie, wprowadźmy takie procedury, które maksymalnie będą eliminowały możliwość pomyłki. I wprowadźmy zasadę dotkliwej odpowiedzialności państwa za błędy urzędnicze.

– Tu się w pełni zgadzamy. Jedno drugiego nie wyklucza. Dlatego postępowania powinny być pod pewną kontrolą niezawisłego sądu. Jestem też zwolennikiem wprowadzenia instytucji niezależnego prokuratora, który mógłby oskarżać w pewnych przypadkach, bo prokurator generalny podlegający rządowi mógłby wykazywać brak obiektywizmu czy podejrzenie o brak obiektywizmu.

Prokurator generalny, czyli minister sprawiedliwości. I wróćmy do CBA. W tej konstrukcji kontroluje je premier, a nie jakieś niezależne od władzy i partii rządzących ciało.

– Stały mechanizm kontroli może się odbywać przez sejmową komisję spraw wewnętrznych i administracji, gdzie można przesłuchiwać i prowadzić działania, tyle że nie mają one charakteru procesowego. Problem naszego państwa, jeżeli patrzymy na niego przez pryzmat tych spraw, do których mam teraz dostęp, nie tkwił w sile państwa, ale tkwił w jego słabości. Rozmaite grupy wpływu, biznesowo-polityczno-przestępcze, były silniejsze niż instytucje państwa powołane do ich ścigania.

Podoba się panu, kiedy pański kolega partyjny, pan Gosiewski, publicznie powątpiewa w uczciwość adwokatów?

– Wedle mojej wiedzy poseł Gosiewski stwierdził, że Naczelna Rada Adwokacka może stać się przedmiotem zainteresowania CBA. Zapewniam pana, że równie dobrze można to powiedzieć o premierze, ministrze sprawiedliwości i o wszystkich publicznych ciałach i organach. W każdej grupie zawodowej są, niestety, ludzie, którzy się zawodowi sprzeniewierzają. Ja sam, gdy byłem jeszcze na studiach, nie chciałem zostać adwokatem. Miałem dystans do tego zawodu.

Pan się brzydzi adwokatami?

– Przeciwnie. Mam uznanie dla ich ważnej roli w wymiarze sprawiedliwości. Przyznaję jednak, że na studiach miałem wątpliwości, czy potrafiłbym się odnaleźć w roli obrońcy gwałciciela czy mordercy.

To widać i teraz po panu. Ale czy pan dostrzega w przestępcy człowieka?

– Tak jak w ofierze tego przestępcy. Kiedy byłem aplikantem prokuratorskim, zdarzyło się, że zastąpiłem kolegę w sądzie, w trybie uproszczonym. Rozsądna pani adwokat zadała szereg pytań biegłemu. Gdy porównałem jego odpowiedzi z materiałem dowodowym, to zawnioskowałem o zwrot sprawy do prokuratury, uznałem, że oskarżenie jest wysoce wątpliwe. Pomyślałem sobie wtedy, że adwokaci są potrzebni. Ważne jest jednak, aby każdy młody człowiek, który chce być adwokatem, miał na to szansę, a nie tylko ci z rodzin adwokackich. Dlatego otworzyliśmy korporację adwokacką dla tysięcy młodych ludzi, a poseł Gosiewski z tego powodu nie jest przez adwokatów szczególnie lubiany.

„Gazeta Wyborcza” powróciła do sprawy pieniędzy zebranych kilka lat temu przez ojca Rydyka na ratowanie Stoczni Gdańskiej. Z których ojciec Rydyk nigdy publicznie się nie rozliczył. Prokuratura powinna się tym zająć?

– Ta sprawa była kilkakrotnie prowadzona. Wtedy kiedy ministrem sprawiedliwości była Hanna Suchocka z UW i kiedy premierem był Leszek Miller z SLD. Za każdym razem nie stwierdzano popełnienia przestępstwa. Nie ma więc potrzeby do niej wracać.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 17 LUTEGO 2006 R.

www.bukkujeshbankietdla bankierow.pl

Nawet jeżeli kryteria Twoich poszukiwań są wyjątkowo wymagające, sprostamy im z łatwością. Precyzja naszych wyszukiwarek nie ma sobie równych, a baza naszych kontaktów firmowych należy do najlepiej zaopatrzonej i najszybciej aktualizowanej. Spróbuj i przekonaj się, jak szybko i precyzyjnie szuka się na www.pkt.pl



pkt.pl

Polskie Książki Telefoniczne

HANIJA premier z Hamasu

IRENEUSZ NALAZEK Zasypany intencjami

„Proszę Matkę Boską Częstochowską o wyleczenie mnie z choroby bez operacji”, „Z okazji Dnia Babci dla Marianny H. z Lipia zdrowia, nieustannej opatrności Matki Bożej na każdy dzień”, „O zdrowie dla mojej teściowej, aby wiara w narodzone Dzieciątko pomogła wytrwać



Fot. TOMASZ WASZCZUK/AG

w zbliżającej się operacji” – te i dziesiątki podobnych SMS-ów dostawał przez ponad tydzień Ireneusz Nalazek, olsztyński radny SLD i były reprezentant Polski w siatkówce (lata 70., AZS Olsztyn). – Nie mam nic przeciwko temu, by wierni zwracali się w ten sposób z różnymi prośbami. Ale w pewnym momencie stało się to uciążliwe – mówił „Gazecie Olsztyńskiej”. Problem zaczął się, gdy Nalazek, pracownik olsztyńskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, dostał nową służbową komórkę. Kilka dni później jej numer omyłkowo podało Radio Jasna Góra – słuchacze mieli wysyłać na niego prośby o modlitwę i inne życzenia. Po tygodniu radny nie wytrzymał – mimo sprostowań i przeprosin na antenie radia zmienił telefon. Właściwy numer do Radia Jasna Góra to 0-501 360 138. (MIL)

SHAKIRA Dziewczyna z żelaza

W nadreńskim mieście Neuss stoi pomnik Shakiry, piosenkarki pochodzącej z Kolumbii. Pięciotonową, pięciometrową rzeźbę z żelaza wykonał Dieter Patt – starosta okręgu Neuss w Nadrenii Północnej-Westfalii, a zarazem rzeźbiarz – w ramach zacieśniania kontaktów z Kolumbią. Gwiazda przyjechała do Neuss w listopadzie, by przy okazji gali UNESCO obejrzeć statuetkę. – Nie chcę, by ludzie, patrząc na pomnik, myśleli o mnie. Pragnę, by widzieli dziewczynę z kolumbijskiej Barranquilli, która zaczynała z niczym i wyruszyła w świat, by urzeczywistnić swe marzenia – powiedziała wtedy. Teraz jej żelazna podobizna wyruszy z inicjatywy twórcy w trzytygodniową podróż statkiem do Barranquilli, gdzie stanie na jednym z placów. Ponoć tamtejsze władze bardzo się ucieszyły, zorganizowały transport i planują uroczystość z tej okazji. (OZ)



ALESSANDRA MUSSOLINI Caluje z dubeltówki

Uważana do niedawna za neofaszystowskie kuriozum włoskiej sceny politycznej wnuczka il Duce zawiązała oficjalną koalicję programową z partią Silvia Berlusconi. Na konferencji prasowej 17 lutego Berlusconi ogłosił, że do wyborów, które odbędą się za niecałe dwa miesiące, jego Dom Wolności pójdzie wspólnie z Alternatywą Społeczną Alessandry Mussolini.

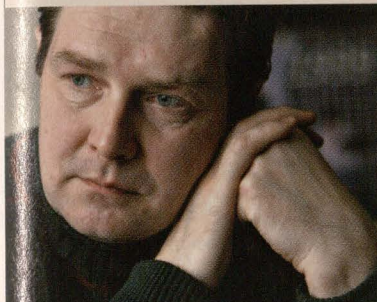
Dla 43-letniej Mussolini to kolejny krok ku szczytom włoskiej polityki. Europosłanka od 2004 roku, gdy jej faszystowska koalicja zdobyła jeden mandat, nie dopuszcza jakiegokolwiek krytyki Duce, na czym zbija swój kapitał polityczny – wielu Włochów uważa epokę faszystów za czas porządku i szybkiego rozwoju. Mussolini słynie z bezpardonowych ataków na imigrantów, namiętnie tropi lewicowe spiski przeciwko „podstawowej komórce społecznej – rodzinie” i domaga się całkowitego zakazu aborcji. Zanim w 1992 roku zaangażowała się w politykę, była aktorką, modelką topless, pozowała dla „Playboya”. Kilka dni temu zmarł jej ojciec Romano Mussolini, trzeci syn dyktatora, ceniony pianista jazzowy. (MAV)



Fot. A. D. PRESS/FREE

ANATOL KARTCHINSKI Bezpaństwowiec

Chce zostać Polakiem, ale wpadł w biurokratyczną czarną dziurę, z której od kilku miesięcy nie może się wydostać. Anatol Kartchinski przyjechał do Polski jako 30-latek w 1993 roku i od tamtej pory mieszka z polską narzeczoną w Olsztynie. Urodził się w Tamopolu na Ukrainie, mieszkał w Uzbekistanie. Miał



Fot. GRZEGORZ CZYKWIN/GAZETA OLSZTYŃSKA

paszport ZSRR, ale w samej Rosji spędził tylko dwa lata służby wojskowej na Wyspach Kurylskich. Nie jest też Niemcem, choć jego córka mieszka w Niemczech, w Kolonii.

W 2003 roku, korzystając z ustawy abolicyjnej, Kartchinski zgłosił swój nielegalny pobyt i oświadczył, że chce zostać w Polsce na stałe. Jego matka była Polką, a ojciec nosił polskie nazwisko, choć po przepisaniu go z radzieckiego paszportu, który osiem lat temu stracił ważność, wygląda obco.

Rok temu wojewoda warmińsko-mazurski odmówił Kartchinskiemu przedłużenia pobytu w Polsce, a w styczniu tego roku wydał decyzję o jego wydaleniu. Paweł Lulewicz, rzecznik wojewody, twierdzi, że petyt nie dochował staranności przy składaniu dokumentów, stąd negatywna decyzja. – Nie mam żadnej ojczyzny, więc nie mam dokąd wyjechać – mówi Kartchinski, do którego nie przynajmniej się ani ambasada Rosji, ani Ukrainy, ani Uzbekistanu. – Urzędników to nie obchodzi i mówią mi: Niech przejdzie się po ambasadach i znajdzie sobie jakąś ojczyznę. (ŁAZ)

Lubię Niesiołowskiego

Po Mahomecie, Czarnej Madonnie zszargana została kolejna świętość – Niesiołowski

Przez moment byłem znany. Pisali o mnie dziennikarze, mówili o mnie w radiu. Cóż, nie był to ten rodzaj popularności, o którym marzę. Wolalbym budzić zainteresowanie świata jako nowy narzeczony Martyny Wojciechowskiej albo chociaż kandydat na kandydata na uczestnika czwartej edycji „Tańca z gwiazdami”.

Musiałoby mi wystarczyć to, że zainteresował się mną Stefan Niesiołowski, którym z kolei interesują się media. Senator PO miał wypowiedzieć następujące słowa: „Zna pan tego sk...syna Zalewskiego? Szukam gnoja, co tak na mnie wypisuje”.

Małe wyjaśnienie, bo to w końcu nie konflikt Szczepkowska-Janda i nie każdy musi wiedzieć, o co chodzi. Otóż senator PO i niegdysiejsza podpora ZChN ma do mnie pretensje za moje dziennikarskie uszczypliwości. Pozwał nas nawet za to do sądu. Nas – bo drugim gnojem ośmielającym się pokpiwać z Niesiołowskiego jest niejaki Robert Mazurek.

Owszem, to prywatnie. Poniekąd można jednak uznać, że ta sprawa ma związek z gorącą ostatnio kwestią granic wolności słowa. Senator uznał, że kpina z niego jest tej granicy naruszeniem, i wypalił z grubej rury „sk...synem”. Po Mahomecie, Czarnej Madonnie zszargana została kolejna świętość – Niesiołowski.

No dobra, ale co ze mną? Czy na mnie można tak brzydko mówić? Po chwilowym zastanowieniu odpowiadam: średnio mi się to podoba, ale proszę bardzo (choć wolalbym, żeby mojej mamy nie tykać). Oto dlaczego. Po pierwsze, nie jestem święty i niczych uczuć religijnych się tu

nie narusza. Po drugie, często sam używam mocnych tekstów pod adresem polityków. Może są bardziej finezyjne (przepraszam za nieskromność) niż epitet Niesiołowskiego, ale rozumiem, że można mi odplacić podobną monetą, czyli mocnym słowem. Tyle że tego samego można by wymagać od Niesiołowskiego. Facet, który nazywa prezydenta Kwaśniewskiego pornogrubašem, a profesora Kochanowskiego klawiszem, mógłby być odrobinę mniej przeczulony na swoim punkcie.

Jest jeszcze trzeci powód, dla którego nie obrażam się na Niesiołowskiego. Otóż ja go lubię. Uważam go za jednego z najlepszych mówców w historii polskiego parlamentaryzmu, porównywalnego z Ignacym Daszyńskim, który czarował jeszcze parlament Austro-Węgier. W dodatku Niesiołowski jest coraz rzadszym w polityce typem rycerza gotowego umrzeć dla sprawy, której sztandar dźierzy. Jakiej sprawy – to już kwestia drugorzędna, o czym świadczy transfer tego polityka z ZChN do PO (do której to partii pasuje jeszcze mniej niż ja do „Przekroju”).

Dlatego na koniec zamiast nokautującej fangi w Niesiołowskiego mała historyjka. W okresie międzywojennym wybitny francuski publicysta Leon Daudet znęcał się nad wybitnym francuskim politykiem Arystydesem Briandem. W ramach tych tortur wymyślił sobie, że paryskich sutenerów nazywać będzie arystydesami. Zabawne? Briandowi pewnie nie było do śmiechu. Ale swą wielkość francuski polityk udowadniał nie na sali sądowej i nie w pyskówkach z dziennikarzami, tylko zupełnie gdzie indziej.

IGOR ZALEWSKI



Fot. BOGDAN KRZĘTEL



Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl



Komentarz (czytać powoli)

Państwo – wielokrotnie powtarzał Jarosław Kaczyński podczas swojej piątkowej relacji z frontu. Wiarus rozbijania układów mówił, że dopiero teraz naród odzyska/odzyskuje swoje państwo i jego instytucje. Swoje państwo i jego instytucje*.

W codziennej i znoej praktyce odzyskiwania naród będzie reprezentowany przez PiS, co jest słuszne, bo „PiS jest partią zwykłych ludzi”. PiS jest partią zwykłych ludzi. Ale chyba za to „niezwykłych członków”, bo tak emocjonalnie opisane przez prezesa Kaczyńskiego stajnie Augiasza może oczyścić tylko Herkules. Stajnie Augiasza może oczyścić tylko Herkules. Tu sobie zażartowałem, więc muszę wyjaśnić, że celem tego żartu nie jest w żadnym razie ochrona mafijnych układów oplatających Polskę ani paraliżowanie insynuacjami operacyjnego trudu ministra Wässermana. A kto tak pomyślał, ten jest po prostu głupi. Jest po prostu głupi. Państwo, w imieniu narodu przejęte przez PiS, ma być skuteczne, czyli wszechwładne, i przejęte kompletnie, bo inaczej nie rozbije układów. Inaczej nie rozbije układów. Dotychczasowe sto dni przejmowania pokazuje, że musimy się uzbroić w cierpliwość, jeśli chodzi o rozbijanie i ostatecznie „zrywanie kurtyny”, bo najpierw naród (reprezentowany przez PiS) musi wszystko przejąć, czyli wejść w swoje prawa właścicielskie, i się rozzejrzeć. Jeśli diagnoza prezesa Kaczyńskiego jest słuszna, to zobaczy układy, korupcję, sitwy, nieprawości, sploty interesów i mnóstwo majątku zagrabionego państwu. Diagnoza prezesa Kaczyńskiego jest słuszna. Jeżeli skala tych zjawisk jest taka, jak ją prezes opisuje, to przynajmniej przez jakiś czas – zanim naród, czyli PiS, wytworzy alternatywny, zdrowy system – będzie musiał zarządzać tym chorym i na wskroś przeżartym. Tego może duma i honor prezesa nie wytrzymać. PiS wytworzy alternatywny, zdrowy system.

* Pomysł rytmicznych powtórzeń niektórych fraz zaczerpnąłem ze studni premiera Kazimierza Marcinkiewicza.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



REALIZACJA ŚMIAŁYCH KONCEPCJI
RZĄDU.

© MARCIN MACIEJOWSKI

Polska znów w awangardzie

Od dojścia PiS do władzy wszyscy wieszczą Polsce spektakularną rewolucję. Jedni polityczną, inni ustrojową, jeszcze inni moralno-obyczajową. Tymczasem widowiskowej rewolucji z obaleniem pomników i przemianowywaniem ulic jak nie było, tak nie ma. Za to rzeczywista, podsłonna transformacja zdaje się umykać naszej uwadze. A niesie ogromne zmiany.

Polska jest pierwszym krajem w Europie, gdzie rządy objęła koalicja populistów: socjalkonserwatywnych (PiS), wiejskich (Samoobroną) i narodowych (LPR). Trzy partie rządzące tworzą nową klasę polityczną, a celem zawarcia paktu jest nie tylko stabilizacja rządu, ale także utworzenie frontu przeciw starym establishmentowi, „układowi”, który dotychczas nadawał ton polityce.

Zasadniczą zmianę widać w sposobie egzekucji władzy. Zamiast wywracać filary demokratycznego państwa, populiści wprowadzają kulturę polityczną, która zmienia rolę i sposób funkcjonowania jego instytucji. Zamiast niszczyć opozycję, narzucają jej język demagogii, którym ich oponenci nie potrafią się posługiwać, a w którym rzeczowy dyskurs jest praktycznie niemożliwy. Co ciekawe, na poziomie praktycznego zarządzania państwem populiści prowadzą bardzo powściągliwą, mało innowacyjną politykę.

Zmienia się sposób działania w przestrzeni publicznej. Zamiast cenzurować istniejące media, populiści próbują stworzyć własne forum. Preferencja dla ojca Rydzka wynika nie tyle z poparcia dla „radiomaryjnej” opcji w Kościele, ile z chęci dotarcia do elektoratu, na którym populiści oparli swój sukces wyborczy. Wykluczeni, bo to oni są na celowniku jako najbardziej podatni na demagogię, nie oglądają stacji komercyjnych dla klasy średniej (TVN24) ani nie czytają wielkomięskiej prasy („Gazeta Wyborcza”). „Zwykli Polacy” znajdują swoich polityków w TV Trwam i „Nasz Dziennik”.

Te trzy zjawiska mają niewiele wspólnego ze znanymi formami demokracji. Jeśli wierzyć niemieckiemu badaczowi populizmu Karłowi-Rudolfowi Korte, tak zaczyna się populistyczna poliarchia, czyli odmiana demokracji, w której populiści wypełniają scenę polityczną, a demagogia wypiera z debaty publicznej rzetelną wymianę opinii i racjonalną krytykę idei. Dotąd poliarchia istniała tylko na papierze. Polska znów jest w awangardzie.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

TYLKO W VIVIE! WIELKA LOTERIA URODZINOWA TRWA!

VIVA! CASINO

KUP VIVĘ!
KOLEJNE SZANSE
NA WYGRANĄ

TERAZ GRAM z VIVĄ!

WIELKA URODZINOWA LOTERIA TRWA!

ANNA POMIERZA
„Przeukochanym czuje się bezpieczna i spełniona”

ROBERT REDFORD
Dlaczego opuścił Hollywood

MATEUSZ KUSZNIEREWICZ
Po raz pierwszy opowiada o swojej noweli

NAJPIĘKNIEJSZA 2005
Katarzyna Cichopek
„ZWIĄZAŁAM SIĘ z WSPANIAŁYM MĘŻCZYZNĄ”

cooler

DZIENNIKI MOTOCYKLOWE

AYGO

AYGO

Możesz kupić także VIVĘ! z hitem filmowym na DVD

SETKI EKSKLUZYWNYCH NAGRÓD!

trzy szybkie...

Amator kaczek – rozmowa z wicepremierem Ludwikiem Dornem

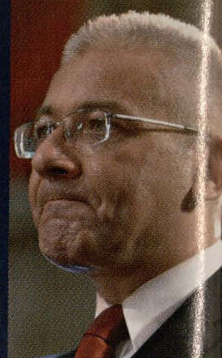
Sensacyjne lato!

Od czerwca do końca sierpnia Polskę czeka najazd znanych artystów muzycznych. Zacznie się już 9 czerwca na stadionie Legii, gdzie swój kolejny koncert w Polsce zagra Depeche Mode. 18 czerwca na lotnisku na Bemowie pojawią się The Rolling Stones. Również w czerwcu w Sali Kongresowej zagra łączący argentyńskie tango z muzyką elektroniczną Gotan Project. Miłośników ciężkich brzmień ucieszy wiadomość o występie zespołu Tool – 24 czerwca w Katowicach. Z kolei fani alternatywnej piosenki powinni zapamiętać datę 30 czerwca, gdy w Poznaniu na festiwalu Malta zagrają Antony & The Johnsons, Devendra Banhart, Animal Collective i Joanna Newsom, a premierę będzie miała opera Rogera Watersa „Ca ira”. Impionująco zapowiada się też sierpniowy festiwal Open'er w Gdyni. W ciągu trzech dni na lotnisku Babie Doły wystąpi 10 zagranicznych i wielu polskich artystów. Potwierdzono już przyjazd grup Franz Ferdinand i Placebo oraz Pharrella Williamsa. Prawdopodobnie zagra też brytyjski The Streets. JO



ROBERT MAZUREK

- 1 Jest pan lepszym kiperem czy kucharzem?
– Kucharzem, bo na dobre wina musiałbym wydać fortunę. Choć i na gotowanie mam mało czasu. Ostatnio zrobiłem węgierską zupę rybną halaszle i upiekłem kaczkę w pomarańczach po parysku...
- 2 Urbański piecze kaczkę, pan piecze kaczkę, dajcie spokój, bo wyjdzie, że mam obsesję! A ja chciałem rozmawiać o winie.
– Ale my wszyscy jesteśmy wielkimi amatorami kaczek, a Jarek, jak opowiada o biesiadzie, to zawsze się rozmarzy: „I jeszcze ta kaczuśia...”. A wino? Do kaczkę podałbym średniej jakości chilijskie Pinot Noir. A u prezydenta na kolacji...
- 3 Wiem, jadł pan kaczkę.
– Nie, piłem bardzo dobre wino bordoskie, jakieś Grand Cru.



LUDWIK DORN

PODRÓŻE Z CHIPEM

ZA KILKA DNI ROZPOCZNIE SIĘ WYDAWANIE NOWYCH WZORÓW PASZPORTÓW. ALE PRAWDZIWA NOWOŚCIĄ POWIJE OD WRZEŚNIA, KIEDY POJAWIĄ SIĘ W NICH ELEKTRONICZNE CHIPY

Przeciwnikom Unii Europejskiej nie zalecamy zmiany paszportu: na nowych książeczkach oprócz napisu „Rzeczpospolita Polska” i godła drukowany będzie jeszcze napis „Unia Europejska”. Polacy coraz częściej podróżują, będą więc mieć do zapewnienia pieczętkami 40 stron, zamiast 32. – Nowa książeczka będzie bardziej kolorowa. Pojawia się w niej też rysunki związane z motywem podróży – opowiada Maciej Kiedrowicz z MSWiA. Paszport będzie wyzwaniem nie tylko dla fałszerzy, ale i fotografów – zdjęcie paszportowe będzie nie z półprofilu, ale en face.

Jednak prawdziwy przełom czeka nas po 28 sierpnia. Po tym dniu w tylną okładkę wklejany będzie 32-kilobajtowy chip (chipa takiej pojemności używały pierwsze komputery ZX Spectrum). – Na chipie zapisany będzie biometryczny obraz twarzy. Z czasem, za jakieś trzy lata, inne dane. Jeszcze nie wiadomo, czy będą to odciski palców, czy skan tęczówki. Decyzję podejmą państwa Unii – mówi Maciej Kiedrowicz. Nie zapadła jeszcze decyzja, czy po wprowadzeniu chipów wzrośnie cena paszportów. JUL



Nadruk na nowych paszportach ma być dużo trwalszy niż na dotychczasowych

SIŁA SPOKOJU KONTROLERA

Zarząd Komunikacji Miejskiej w Gdyni poszukuje absolwentów pedagogiki specjalnej do pracy jako kontroler biletów. – To jeden z najbardziej nienawidzonych zawodów – mówi Marcin Gromadzki z ZKM w Gdyni. – Gapowicze biją, kopią kontrolerów, a jedna pani odgryzła naszemu pracownikowi kawalek ucha. A studenci pedagogiki specjalnej mają zajęcia z metod rozładowywania konfliktów i sposobów radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych – wyjaśnia Gromadzki. Kandydat ma mieć ponadto powyżej 190 cm wzrostu i miłą aparycję. Na cztery wolne stanowiska zgłosiło się kilku nastu specjalistów. Wybrańcy zainicjują pracę od marca. (MIL)



Piotr Adamczyk gra w filmie Karola Wojtyły

Karol na zdjęciach

Trzy tygodnie, jakie fotograf Judyta Papp spędziła na planie filmu „Karol – człowiek, który został papieżem”, zaowocowały kilkudziesięcioma wyjątkowymi zdjęciami. – Obrazują one, jak widzimy i pamiętamy papieża Jana Pawła II – mówi Judyta Papp. 15 spośród tych zdjęć zostanie wystawionych na charytatywnej aukcji na rzecz Fundacji TVN „Nie jesteś sam”. Aukcja zorganizowana na rzecz wsparcia domów dziecka odbędzie się w Warszawie w hotelu Le Royal Meridien Bristol 27 lutego o godzinie 18.30. SYLV

BRUTALNY, NIE SERYJNY

MIESZKAŃCY KRAKOWA NA WYROST DRŻĄ PRZED WAMPIREM, KTÓRY JAKOBY MORDUJE KOBIETY I CWIARTUJE ICH WŁÓKI

Zaczął się w pierwszych dniach grudnia: w okrytej złą sławą dzielnicy Podgórze znaleziono fragment kobiecych włosów – bez rąk, nóg i głowy. Informacja o makabrycznym odkryciu ruszyła w miasto i zaczęła żyć własnym życiem. Zanim policja się zorientowała, pół Krakowa trzęsło się ze strachu przed seryjnym zabójcą morderującym kobiety i dzieci. Matki zakazywały córkom wychodzić po zmroku na ulice, wróciły wspomnienia sprzed ośmiu lat, gdy w Wiśle znaleziono skórę, zdartą przez nieznanego dotąd sprawcę z jakiejś młodej kobiety. – Gdy tłumaczymy ludziom, jak jest naprawdę, słyszymy, że policja coś ukrywa – mówi młodszy inspektor Dariusz Nowak, rzecznik

małopolskiej policji, która od kilku tygodni bezskutecznie wybija krakowianom z głowy historię z wampirem. Bo wampira nie ma, jest brutalny zabójca, który zabił kobietę i poćwiartował jej włoski. Do śledztwa zaangażowano nawet elitarne Archiwum X – grupę policjantów wstawioną schwytnie wielu zabójców sprzed lat. Bezskutecznie. Jedynym sukcesem jest odnalezienie na początku lutego koło Tyńca głowy zamordowanej. – Zabójca, cwiartując włoski, chciał umożliwić ustalenie, kim była zamordowana. Najwidoczniej bał się, że poznając jej tożsamość, wpadniemy na jego trop – mówi z nadzieją jeden z krakowskich policjantów. GREG



Pracownicy Akademickiego Centrum Kultury na polecenie rektora likwidują wystawę zdjęć znanych osób, prezentujących koszulki z nieprawomyślnymi napisami

UWIELBIAM GWAŁTY (NA WOLNOŚCI SŁOWA)

MIELI WALCZYĆ O WOLNOŚĆ, A PRZEGRALI Z CENZURĄ – W LUBLINIE ZAMKNIĘTO WYSTAWĘ „TISZERT DLA WOLNOŚCI”

Lubelska wystawa „Tiszert dla wolności” (koszulki z prowokacyjnymi napisami typu „Jestem gejem”) miała być pokazana w Akademickim Centrum Kultury „Chatka Żaka”. Ale zamknięto ją, zanim została oficjalnie otwarta. Poszło między innymi o koszulkę „Nie płakałem/am po papieżu”. Książd Mięczyński, rzecznik abp. Józefa Żyćńskiego i szef duszpasterstwa akademickiego, zorganizował akcję przeciw wystawie – wysyłanie sprzeciwiających jej listów i maili. W efekcie w poniedziałek prof. dr hab. Wiesław A. Kamiński, rektor UMCS, podjął decyzję, że wystawa nie zostanie otwarta.

W odwiec Helsińska Fundacja Praw Człowieka odwołała lubelską edycję festiwalu „Prawa człowieka w filmie”. Profesor Zbigniew Hołda, członek zarządu Helsińskiej Fundacji, który w czasie stanu wojennego siedział z profesorem Kamińskim w jednej celi, nie może się nadziwić decyzji rektora. Z kolei Antoni Adamowicz, prezes Fundacji dla Wolności, dodaje: – Z nieoficjalnych informacji wynika, że rektor UMCS podjął decyzję pod wpływem nacisków Kościoła. To daje dużo do myślenia na temat wolności i niezależności w Polsce. JUL

POLICJANCI PRZEBIERAŃCY

PO KILKUNASTU DNIACH POSZUKIWAŃ PRZEBRANI ZA KOBIETY TARNOWSCY POLICJANCI ZŁAPALI NA GORĄCYM UCZYNKU SERYJNEGO ZŁODZIEJĄ

Tarnowski rabuś bez słowa dał się załapać w kajdanki dwóm eleganckim paniom w średnim wieku. – Wybrała zawsze kobiety, zawsze pod pięćdziesiątkę, zawsze dobrze ubrane. Słusznie przypuszczała, że w torebce noszą sporo gotówki – wyjaśnia asp. sztab. Andrzej Sus, rzecznik policji w Tarnowie. Od grudnia rabuś zaatakował 12 razy. W biały dzień na przystanku autobusowym przewrócił kobietę i zaczął ją dusić. Napad widziało kilkanaście osób. Nikt nie zareagował. Wtedy komisarz

Marcin Skóra, z zamiłowania teatroman, wymyślił mistyfikację. Przed policjantami nieodpłatnie otworzyły się drzwi teatralnej charakterystyki. – Przeprowadziliśmy casting. W grę wchodziło policjanci szczupli, niscy i urodziwi – mówi Skóra. Dwaj posterunkowi, na których padło, nie byli zachwyceni. Ale mieli poczucie misji. – Największą trudność sprawiło im naśladowanie kobiecego chodu. Przyznam, że chodziło dość wyzywająco – twierdzi komisarz Skóra. Przebieranka trwała dwa tygodnie. W lutowy wieczór mistyfikatory dostrzegli mężczyznę wyrwywającego kobiecie torebkę. W perukach i kozaczkach odwieźli złodzieja do aresztu. ASZ



Obaj policjanci (na zdjęciu jeden z nich) zaprotestowali tylko raz: gdy charakterystyka chciała przedłużyć im rzeszę

Na kłopoty – owijanie

W Polsce na problemy z erekcją cierpi 1,5 miliona aktywnych seksualnie mężczyzn – to aż 10 procent męskiej populacji. Przyczyny tej przypadłości mogą być dwójakiego pochodzenia. Część panów cierpi z powodów organicznych – na przykład nadciśnienia czy choroby wieńcowej. U pozostałych problem bierze się z czynników natury psychicznej – lęku przed kobietami czy wcześniejszych niepowodzeń seksualnych.



Po trzech nocach mężczyzna dowiódł się, czy jego problem leży w wyobraźni, czy w ciele

W wyjaśnieniu przyczyn kłopotów może pomóc specjalny test. Jego działanie opiera się na zjawisku samoistnych nocnych wzwodów. U zdrowego mężczyzny każdej nocy jest ich kilka. Jeśli zaburzenia erekcji mają podłoże psychogenne, to liczba nocnych wzwodów nie ulega zmianie. Jeśli natomiast problem wynika z przyczyn „technicznych”, nocne wzwody są rzadkie lub zupełnie zanikają. Sam test jest bardzo prosty do przeprowadzenia. Składa się z kilku pasków przypominających połączone perforacją znaczki pocztowe. Kładąc się spać, wystarczy owinąć nasadę prącia paskiem, a rano sprawdzić, czy perforacja została rozerwana. Taką próbę powtarza się przez trzy noce. Oczywiście uzyskana informacja to tylko wstęp do dalszego leczenia problemu, ale przynajmniej już na tym etapie wiadomo, skąd biorą się kłopoty. Test można dostać za darmo, wypełniając zamówienie na stronie www.akcja36.pl lub dzwoniąc na infolinię 0-801 66 00 99. PSTAN

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Rewanżyzm, triumf insynuacji, łże-elita III RP, tylko bardzo głupi ludzie – dlaczego takim językiem zaatakował swoich przeciwników szef PiS?

WOJCIECH MAZOWIECKI

W nowym w Sejmie Jarosław Kaczyński wygłosił drugie exposé, zaraz po wystąpieniu Kazimierza Marcinkiewicza. I znów było to wystąpienie ważniejsze. Jakby prezes PiS chciał odwrócić naszą uwagę, żeby nie wyszło na jaw, że premier nie ma nic do powiedzenia – poza ogólnikami, propagandą sukcesu i zwróceniem uwagi narodowi na „ciężką pracę” każdego ze swoich ministrów.

Tymczasem mowa Kaczyńskiego w ubiegły piątek w Sejmie była największym dotychczas atakiem na wszystkich przeciwników PiS i IV RP. Przez 50 minut przemawiał bez kartki w stylu dyktatorskim, przywołując do porządku, grożąc, szantażując, obrażając, posuwając się do kłamstw, wyrażając rękoma. Skutecznie zatem skupił później wyłączną uwagę komentatorów.

Opozycję, zwłaszcza Platformę Obywatelską, oskarżył o hamowanie niezbędnych reform pod hasłem... ich wprowadzania: „Powstała nawet koncepcja, którą, jeśli posłużyć się nomenklaturą nauk historycznych, można określić jako restauracyjną: dużo zmienić, żeby wszystko pozostało po starym” – mówił. Prawnicy to według niego „odtworzący się front obrony przestępców, który atakuje wściekle ministra Ziobrę”. A wszyscy przeciwnicy PiS, w tym media, to „łże-elita III Rzeczypospolitej”, która „stanęła tutaj do walki w zwartym ordynku”. I dzięki temu – w spiskowej wizji Kaczyńskiego – „w Polsce dzisiaj mamy do czynienia z triumfem insynuacji”.

Nazwiska nie padły, ale zostali wskazani konkretni, rozpoznawalni wrogowie Kaczyńskiego. Leszek Balcerowicz: „to jest koniec rządów lobby finansowego, to jest koniec rządów pewnego pana, który uchodzi za wielkiego, a który prawie zawsze się mylił”. I Andrzej Zoll: „pamiętam, co zrobił Trybunał Konstytucyjny pod przywództwem pewnego bardzo znanego prawnika, dziś niesłychanie aktywnego (...). Pamiętam tamto tchórzostwo, tamten obrzydliwy oportunizm”.

Co się dzieje? Czy uważany za dobrego przecieź analityka i wyrachowanego polityka Kaczyński poddał się emocjom i zadawnionym urazom? Czy też świadomie zaostrza ton walki, atakując wyprzedzająco? Chyba jedno i drugie.

TAKO RZECZE JAROSŁAW



PROSTA MANIPULACJA STATYSTYKĄ

„Jeśli dobrze pójdzie, to w tym roku uzyskamy 50 procent wzrostu dochodu narodowego w porównaniu z 1989 rokiem. To jest roczny wzrost wyraźnie poniżej 3 procent” – oceniał Kaczyński za słabe jego zdaniem tempo rozwoju III RP. Bo choć „PRL zostawił nam bardzo wiele problemów”, to „przecież nie zgliczca, nie gruzy”.

Manipulacja polega na tym, że Kaczyński do porównań użył roku 1989 (ostatniego roku PRL), a nie 1990 (początku III RP). Nie wspominał ani słowem, iż w wyniku narastającej recesji produkt krajowy brutto w latach 80. wciąż spadał. Dopiero po wejściu w życie w 1990 roku planu Balcerowicza PKB zaczął rosnąć, i to w sposób nieporównywalny z innymi gospodarkami demoludów. W krytykowanym 17-leciu gospodarka polska osiągnęła najwyższy wzrost wśród krajów postkomunistycznych.

„Paradoksalnie, wzrost rozpoczął się od transformacyjnej recesji lat 1990–1991 – pisał w 2004 roku ekonomista Witold Orłowski. – Po dziesięcioprocentowym spadku, odzwierciedlającym zresztą po części eliminację zbędnej produkcji, której na normalnym rynku nikt nie miał ochoty kupić, PKB zaczął rosnąć w tempie szybszym niż kiedykolwiek w przeszłości”.

Taka ocena ekonomisty nie pasuje jednak do wizji Kaczyńskiego. Pokazuje za to dobrze jego umiejętność manipulacji faktami.

WIZJA PAŃSTWA

„Co to bowiem jest dobre państwo? – pytał Kaczyński. I sam odpowiadał: – Jest to państwo kierowane przez demokratycznie wybraną władzę, na podstawie prawa, poprzez prawo, w sposób skuteczny. Aparat państwowy wykonuje to, co zostało polecane na podstawie prawa przez

władzę. To jest państwo, gdzie decyzje gospodarcze wynikają nie z nacisków różnych lobby, ale z programu”.

Program partii programem narodu? Tak to w tej wizji wygląda. Kiedyś nazwał to po imieniu Edward Gierek: partia kieruje, rząd rządzi.

W wizji państwa Kaczyńskiego – i w przemówieniu z ubiegłego tygodnia, i w exposé z listopada – nie pojawiają się jakiegokolwiek instytucje kontrolujące, niezależne od władzy. Przeciwnie, PiS je systematycznie likwiduje. W tej wizji cała władza powinna znaleźć się w rękach PiS, bo tylko ta partia z definicji jest uczciwa. Taki też ma program, na podstawie którego należy zdominować aparat państwowy. Widać to na przykładzie Centralnego Biura Antykorupcyjnego: sztandarowego projektu PiS, który nie potrzebuje jakiegokolwiek kontroli poza własną, PiS-owską. W jej obronie poseł Przemysław Gosiewski, przewodniczący PiS w Sejmie, gotów jest nawet rzucać fałszywe oskarżenia o korupcję wobec Naczelnej Rady Adwokackiej. Przecież nie bez aprobaty Jarosława Kaczyńskiego.

Dobre państwo ma zapewniać bezpieczeństwo, w tym międzynarodowe. Dla Kaczyńskiego w tej dziedzinie istnieje dla Polski tylko problem bezpieczeństwa energetycznego. A NATO, Unia? Czy coś takiego nastąpiło w III RP? Tego nie zauważa, bo nie pasuje mu do wizji zagrożenia. Więcej, przecież Kaczyński nie przypomni swego dawnego powściągliwego stanowiska wobec Unii ani tego, że postulował nawet opóźnienie terminu naszego do niej wstąpienia.

MEDIA, WRÓG OD CZASÓW PRL

Najlepszy rząd w III RP to zdaniem Kaczyńskiego, poza obecnym, rząd Jana Olszewskiego sprawujący władzę pół roku: od grudnia 1990 do czerwca 1991 roku. „I ten rząd – twierdzi Kaczyński – niesłychanie brutalnie i kłamliwie atakowano. I w Polsce, i za granicą zaczęto nagłe głosić, że po wielkich sukcesach Balcerowicza – polegały wtedy na spadku dochodu narodowego – zaczęła się wielka czarna dziura w polskiej gospodarce. A jak było naprawdę? Czas rządu Olszewskiego to czas, kiedy polska gospodarka po przeszło dwóch latach spadku

zaczęła się znów rozwijać. Łgano w żywe oczy. Wprost, bezczelnie”.

Z tą bezczelnością to różnie bywa. Jak widać choćby po przypisywaniu Olszewskiemu zasług Balcerowicza. Ważne tylko, by zaatakować jako pierwszy. To właśnie uczynił Jarosław Kaczyński, odkurzając najbardziej nieudolny gabinet, pamiętany jedynie z dzikiej lustracji i teczki ministra Macierewicza pełnych insynuacji.

Olszewski jest jednak szefowi PiS potrzebny do zaatakowania mediów, najbardziej krytycznych wobec obu jego ulubionych rządów.

„W PRL ta kontrzeczywistość, rzeczywistość funkcjonująca w życiu oficjalnym, w mediach, była elementem stałym, można powiedzieć, konstytutywnym tej formacji ustrojowej. Bardzo wiele tej kontrzeczywistości, tego zupełnego braku szacunku dla faktów pozostało także w III Rzeczypospolitej – mówił Kaczyński. – Ale we wspomnianych już przeze mnie latach 2003–2004 coś się zmieniło. Doszło do sytuacji, w której to, co czytamy, i to, co widzimy, jakoś się do siebie zbliżyło. No, ale obecnie mamy do czynienia z bardzo energiczną odbudową tego, co było przedtem – ta kontrzeczywistość znów triumfuje”.

Ciarki przebiegają po plecach, jeśli się weźmie pod uwagę, że tego dnia w publicznej telewizji „Wiadomości” nie zrelejonowały tej debaty ani wystąpienia Kaczyńskiego. Tylko głupi błąd? Czy raczej przygotowywanie argumentów i gruntu pod „słuszne” programowe zmiany w TVP?

W Sejmie nie było żadnej polemiki z Kaczyńskim. Zrobiły to dopiero wszystkie media nazajutrz. Jakby to one stawały się wobec niego jedyną realną opozycją. Nic dziwnego, że tak ostro Kaczyński je krytykuje, a te, które może, na pewno wykorzysta.

DYKTATURA

Jarosław Kaczyński wyraźnie się radykalizuje. Chyba nie wytrzyma krytyki ani nawet jej nie rozumie – wszędzie węszy spisek. Nie dysponuje większością, musi się układać z takimi partnerami jak LPR i Samoobrona. Dziś jeszcze może się nie czuć odpowiedzialny za rządzenie.

Ale czas upływa na jego niekorzyść, więc musi jak najszybciej zdefiniować wroga, który

utrudnia „słuszne” zmiany. To działa na ludzi i dostarcza działaczom PiS argumentów do codziennych potyczek. Język Kaczyńskiego pokazuje prosto światu dobra (my) przeciwstawiany światu zła (krytycy). Ten obraz łatwo przemawia do wyobraźni, a przeciwników stawia w trudnej sytuacji – trzeba się nieźle namęczyć, by odkryć wszystkie manipulacje i półprawdy.

Kaczyński wie, że kiedyś, coraz pręcej, społeczeństwo rozliczy PiS. A społeczeństwu nie przykłej łatki tak łatwo jak wszystkim wrogom, których wzywa, by „porzucili paraliżujący rewanżyzm”. Teraz zyskał trochę czasu.

Wcześniej, 13 lutego, mieliśmy inny dowód miotania się szefa PiS – sześciogodzinny spektakl niepewności, czy prezydent rozwiąże parlament. Pokusa dla braci Kaczyńskich była olbrzymia, nadarzała się szansa wzięcia większości parlamentarnej – teraz albo nigdy. Przeważał ostatecznie rozsądek Lecha, który bardziej niż Jarosław kieruje się racjami państwa. Jednak ten ostatni nie cofnie się przed wciąganiem autorytetu władzy prezydenckiej do rozgrywek partyjnych. Czy na tym tle dojdzie do konfliktu braci? Czy raczej Jarosław – który źle znosi krytykę, bo mać mu ona chłodną analizę – upartyjni i radykalizuje Lecha? Niestety, to bardziej prawdopodobne.

„Powtarzam, nie będzie w Polsce dyktatury. Tylko ktoś bardzo głupi może wierzyć w tego rodzaju zagrożenie. Nie będzie autorytaryzmu. Bo też tylko bardzo głupi ludzie mogą w to wierzyć. Natomiast będzie w Polsce porządek” – zaklinał w ubiegłym tygodniu Jarosław Kaczyński, zapewniając, jak bardzo miłuje demokrację służącą „zwykłym Polakom”, a nie elitom konserwującym „układ” (jeszcze jedno magiczne słowo służące do oskarżeń bez dowodów).

Cała oracja Kaczyńskiego utrzymana w retoryce PRL dowodzi jednak czegoś odwrotnego. Mimo że demokracja w Polsce jest silna i zapewne się obroni przed wodzem PiS, nie można nie uważać poważnego zagrożenia. Dziś wielu ludzi w Polsce określenie „tylko bardzo głupi” może odnieść do siebie. Kaczyński zostawia swym przeciwnikom jedynie taki wybór: jesteś ze mną albo co najmniej głupi. Więc i ten komplement przyjmiemy z radością. ■



TEKST MILENA RACHID CHEHAB
ZDJĘCIA PRZEMYSŁAW POKRYCKI

OLBRZYM W FARTUCHU SKLEPOWEJ

Ponad dziewięć tysięcy sklepów, które należą do gminnych spółdzielni, mogłoby stworzyć wielką sieć handlową. Ale najpierw trzeba przekonać 300 tysięcy właścicieli tych sklepów

Kupisz u nas i lep na muchy, i „jabłuszko sandomierskie”. Pułapkę na myszy i taką większą, na szczury, też kupisz. No i chleb. A masło jest prawdziwe, niepoplępane. I gwoździe są: trójki, czwórki i piątki. Wszystko jest. Jak to w życiu – mówi Ewa Koczyk ze sklepu spożywczo-przemysłowo-monopolowego w Podbieli koło Karczewa.

– Mamy wszystko, pani, tylko kupować – zachwala pani Zosia z GS-u w Pilawie, przy przejeździe kolejowym. – Suwaki czy guziki dostaniesz tylko u nas, cała okolica się tu zaopatruje. Menażki czy prawdziwej oranżady to gdzie indziej ze świecą szukać. A u nas? Proszę – w stałym asortymencie!

*Oto staje nas wolna gromada
Budowniczych tworzących swój świat,
W których złoty cielec już nie włada,
A nowego w nim życia tkwi ład*

(„Hymn spółdzielców”, 1925)

Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska” świętują swoje 60-lecie, choć idee spółdzielczości sięgają XIX wieku. Dziś w sklepach ukrytych pod tą marką kwitnie prężny skansen PRL-u. Fi-

runki w oknach, kwiaty na parapetach („kaktusowate, bo kto by to wszystko codziennie podlewał”), ceny odbite specjalnymi pieczętkami, piece kaflowe w kącie, księga wniosków i zażaleń („obecnie już raczej przykurzona”), wagi odważnikowe z nieistniejącej już Lubelskiej Fabryki Wąg („jak się nie daj Boże zepsuje, to kiła-mogła”) i spis inwentarza wiszący na zapleczu.

– Nie ma sensu niczego zmieniać – mówi pani Zosia ze spożywczego w Pilawie. – Nowości ludzie nie lubią. Odkąd pracuję, przekonałam się, że kupią to, co znają.

Prywaciarzy, co dookoła sklepy postawiali, nie znosi, bo klientów zabierają i tylko czekają, aż wszystkich dookoła zrujnują. Nie znosi też nazwy „ekspedientka”, bo kojarzy jej się z kobietami z dużych supermarketów, które na sklepie góra trzy miesiące popracują, bo wywiewa je rotacja. Co innego „sklepowa” – nazwa z tradycjami, zawód też, nawet fartuch ma ten sam.

W GS-ie pracuje ponad 30 lat, wielu klientów zna od dziecka, tym bardziej jej przykro, że przychodzą coraz rzadziej. – Kiedyś to całe dnie w kolejce stali, nocami koczowali pod sklepem, a teraz szkoda gadać – martwi się pani Zosia. – Dzienny obrót to średnio 500 złotych, mimo że weszliśmy do sieci Groszek i dajemy ceny z ich gazetki.

Niektóre spożywcze GS-y dzielą bowiem szyld – działając na zasadzie franszyzy – z popularnymi w mniejszych miejscowościach sklepami Żabka, Groszek, Lewiatan. Ale GS-y na głowę biją te sieci liczbą sklepów: Żabka, Lewiatan, Groszek nie mają w sumie czterech tysięcy sklepów, gminne spółdzielnie prowadzą ich ponad dziewięć tysięcy. Głównie wielobranżowych, AGD, rolniczych i odzieżowych. Tym ostatnim powodzi się najgorzej. A jednak wszystkie sklepy GS, które się ostały, przynoszą zyski lub wychodzą na zero. – Te, które były deficytowe, już upadły, bo skończyły się czasy dokładania – mówi Alfred Domagalski, prezes Krajowej Rady Spółdzielczej.

– Sklepy GS mają szansę na sukces gospodarczy, jeśli zjednoczą się pod jedną marką, na przykład na zasadzie franszyzy – ocenia Ireneusz Jabłoński, ekspert z Centrum im. Adama Smitha.

W pawilonie handlowym w Borowiu najmłodsze sklepowe oddelegowane są do spożywczaka. Tu na co dzień ruch jest największy

W SPRZEDAŻY

PLYTA ZWYKŁA 3,2 mm 275 X 122
PLYTA ZWYKŁA 5 mm 275 X 122
PLYTA LAKIEROWANA 3,2 mm 183x270
(biała i brązowa)



Przejeżdżający przez wieś miastowi kupują w GS-ie wszystko, jak leci. I cieszą się, bo takich skarbów to już nigdzie nie ma



Sklep GS-u w Lipinach, tak jak w innych polskich wsiach, jest centrum życia towarzysko-kulturalnego

Sklepowe nie ukrywają, że tęsknią za czasami, gdy naród godzinami stał w kolejkach do lady GS-u

Sklepy popularnych sieci w mniejszych miejscowościach

Sklepy 1462 gminnych spółdzielni 9000* w całej Polsce

Żabka 1788 w całej Polsce

Lewiatan ponad 1600 sklepów w całej Polsce

Groszek 435 sklepów w 10 województwach

* część sklepów GS działa na zasadzie franszyzy pod szyldem jednej z trzech pozostałych wymienionych sieci

czy narzędzi rolniczych. W takich placówkach, na przykład w Kolbuszowej, śląskich Wilamowicach czy podzeshowskim Dynowie, zatrudnia się po kilkaset osób, a dzięki temu, że działają w wielu dziedzinach, rolnicy należący do tamtejszych spółdzielni są praktycznie samowystarczalni.

– GS-y były pomyślane jako punkty zaopatrzenia i zbytu dla rolników, jako odpowiedź na wszystkie ich potrzeby. W wielu wypadkach ta idea się ostała – mówi Domagalski. Po 1989 roku, gdy każdy członek GS-u miał wpłacić około 180 złotych, żeby dokapitalizować spółdzielnię, część zrezygnowała z dotychczasowych udziałów. Ale niespecjalnie im się to opłaciło, bo w sumie za udziały dostawali po około 20 złotych. Ci, którzy pracują w gminnych spółdzielniach, też nie najlepiej na tym wychodzą, bo pensje są w granicach minimum i uzależnione od sprzedaży, która z roku na rok spada. Zatrudnione na część etatu sklepowe mają więc gwarantowane miesięcznie około 370 złotych, a resztę dostają jako procent od obrotów – w sumie zarabiają średnio około 900 złotych.

Nam nie trzeba ni władzy, ni złota, Bowiem duch nasz sprawuje nam rząd. Prawem naszym braterska wspólnota, Wszelki wyzysk wyniszczym jak trąd.

Dumą większości GS-ów są piekarnie, w których pieczywo wypieka się według starych receptur, bez żadnych polepszczy. – To właśnie po „chleb firmowy” przychodzi najczęściej klientów. – Nawet z sąsiedniej wsi przychodzą, bo mówią, że żaden u prywatniarza nie smakuje tak jak państwowy – chwali sobie pani Wanda z GS-u w Lipinach, gmina Mrozy, nie dostrzegając chyba, że spółdzielnia nie reprezentuje państwa.

Ze stałego asortymentu sklepowe polecają również serek homogenizowany Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej „Rolmlecz” (opakowany w stylu „złote lata 80.”, 2,30 złotego za 150 gramów), mleko w worku (grubość folii dostosowana do norm unijnych, OSM Końskie, 1,74 złotego za litr), a pani Mirosława z GS-u odzieżowego w Borowiu (powiat garwoliński) zwraca naszą uwagę na trykot męski za jedyne 9,40 złotego.

– Podobnie jak inne artykuły w naszym sklepie wyprodukowany jest z czystej polskiej bawełny. Chińszczyzny to tu pani nie znajdzie, wszystkie krajowe – zachwala.

– W GS-ach szczególny nacisk kładziemy na polską produkcję, a jeśli jest to produkcja spółdzielni pracy, to już w ogóle raj – mówi prezes Domagalski.

Sklepowe zapewniają, że mocno już nieświeżą sałatkę szwedzką, przeterminowane lody ciepłe czy dziwnie zielonkawę wędliny klienci GS-ów znają co najwyżej ze wspomnień. Teraz cała załoga dba, żeby klient był przede wszystkim zadowolony. – Już nawet nie wiemy, jakie atrakcje wymyślać, bo na głowie stajemy, żeby do nas przychodzili – załamuje ręce pani Zosia.

Niskie ceny zapewnić ma komisja kontrolująca w składzie kierownik spółdzielni (przewodniczący) i księgowia spółdzielni (członek komisji). Przy najmniej raz w tygodniu taka komisja przyjeżdża na „kontrol” cen, a raz lub dwa razy w roku w każdym sklepie odbywa się remanent (zwany też remanentem). – A jak ktoś chce kupić coś, czego nie ma na stanie, od razu to zamawiamy. Po europejsku! – twierdzi pani Zosia.

Dzięki tak indywidualnemu podejściu do klienta w GS-ie we wsi pod Jarosławiem pojawia się laitem co tydzień jeden egzemplarz „Tygodnika Powszechnego”. Zamawia go co roku przyjeżdżający na wakacje do domu student polonistyki.

Specjalne zamówienia to jednak zmora sklepowych. – W lecie ktoś zamówił mrożone danie prowansalskie, to dotąd leży, bo delikwent się nie zgłosił – martwi się pani Ewa z wielobranżowego w Podbieli. – Jak się przeterminuje, trzeba będzie zwrot zrobić, na szczęście hurtownia przyjmuje bez problemu.

Panią Ewę jeszcze bardziej denerwuje disco żel, który zamówiła na ubiegłego sylwestra. Z tą, jak mówi, „totalną porażką” w pięciu egzemplarzach męczy się już ponad rok, choć brokat w kulce za 7,30 złotego typowała na hit sezonu.

W wiejskich sklepach nie schodzą też produkty reklamowane w telewizji, zwłaszcza chemiczne. Na półce u pani Ewy znajomy ze szklanego ekranu jest tylko Vizir, ale leżący obok Ixi bije go na głowę. – Najpierw jakiemuś klientowi zamarzy się nowy Cif ze specjalną formułą czyszczącą, ale jak okazuje się, że musi za niego zapłacić 13,20, a starego dobrego Magika będzie miał za połowę tej ceny, wybór jest prosty – nie ma wątpliwości sklepowe z 10-letnim stażem.

Z dłonią w dłoni, jak żywe ogniwa, Świat opleciem tańcuchem swych rąk

Dla pani Hani ze sklepu „art. gospodarstwa domowego, art. techniczne” w Borowiu (powiat garwoliński) zalegającym na półce koszmarem jest stojący od roku szampon Elsève za 8,99. Kluje w oczy zwłaszcza obok szamponu pokrzywowego, który nie dość, że naturalny (na co klienci zwracają uwagę), to przede wszystkim o 50 mililitrów większa butelka kosztuje 5,30 złotego. Pani Hania całą nadzieję upatruje więc w miastowych, którzy – jak tylko robi się ciepło – odwiedzają sklep położony na popularnej trasie Warszawa–Stoczek Łukowski–Siedlce. Jadący do babci na wieś kupują wszystko, jak leci: szpadle, gracki, konewki, wiadra emaliowane, siekiery, nawet 15-litrowy gąsior. I wszystko im się podoba. Oglądają gwoździe 15-calowe, kosę, oślekkę, rusztę parnikową, powróśla czy zęby do brony i cieszą się jak dzieci, bo takich skarbów to już nigdzie nie ma. W te dni utarg wzrasta nawet dwukrotnie.

Dla miastowych bowiem sklepy GS to czysty folklor. Asortyment jak z podręcznika PRL-owskiego zaopatrzeniowca, sklepowe w charakterystycznych fartuchach (obowiązują tylko w spożywczakach) czy niespotykane już godziny otwarcia – najczęściej od 6.30 do 16.30. Ale na przykład w Drzewcach, gmina Nałęczów, sklep przy remizie czynny jest tylko do południa, a w położonej 30 kilometrów dalej Łucce, gmina Lubartów, w chleb, mydło i powidło można się zaopatrzyć między godziną 6 a 9 i 15 a 18 oraz przez pierwszy kwadrans każdej pozostałej godziny.

I choć mówi się, że w GS-ach jest wszystko, pewnych rzeczy i zwyczajów tu nie uświadczysz. Przede wszystkim koniec z kupowaniem „na zeszty”. – Najwyżej chleb, ale i to w drodze wyjątku – mówi pani Teresa z pilawskiego GS-u (naprzeciwko szkoły). – U nas wszystko jest zafakturowane, więc się musi zgadzać. Poza tym co by to było, gdyby kontrol ze spółdzielni przyszła, a tu wszyscy na kresce? – przekonuje.

Sklepowe z GS-ów dbają też, aby pod sklepem nie było „skoroświtów”, czyli odstrasających klientki panów zjawiających się skoro świt na kilka głębszych. Pani Ewa takich jegomości od zawsze wygania na tyły sklepu. A rok temu zaplecze sklepu zaadaptowała na coś w rodzaju świetlicy dla tych „najwieńszych klientów”. W pomieszczeniu stoi telewizor Rubin, kilka ławek, a od niedawna także piec, który panowie muszą sami rozpalać. U pani Wandy w Lipinach alkohol pojawia się w małych ilościach i zwykle okazynie: gdy miejscowi umówią się na spotkanie albo naradę w jakiejś sprawie, GS odgrywa rolę gospody.

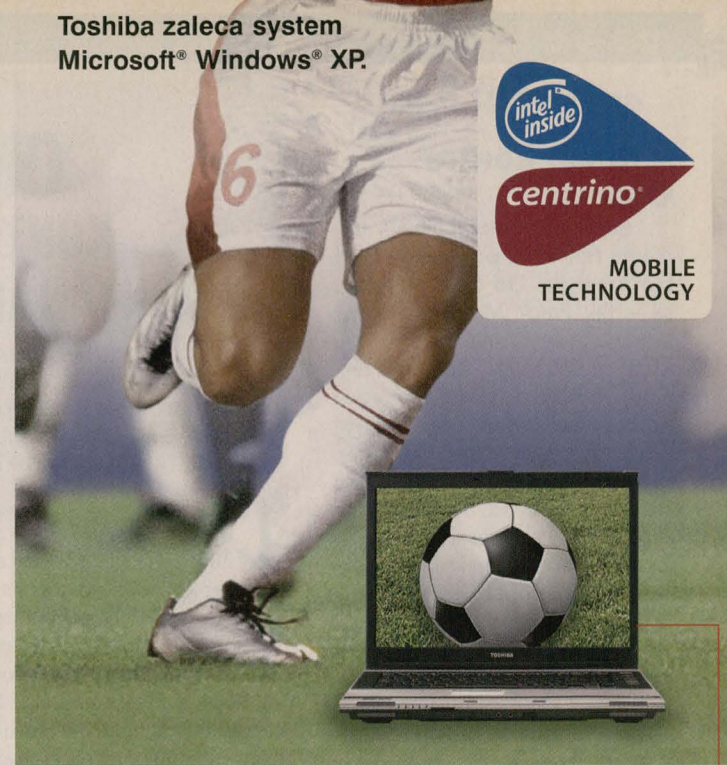
Poza tym sklepy nie różnią się niczym od tych sprzed lat. A w tym wypadku przenieść się w czasie jest bardzo łatwo. Wystarczy wyjechać parę kilometrów za miasto.

Tylko prezes Krajowej Rady Spółdzielców martwi się, że mający 80 lat tekst „Hymnu Spółdzielców” (słowa Kazimierz Andrzej Czyżowski, muzyka Lucjan Rogowski) jest trudny i nie oddaje ducha naszych czasów. Dlatego rozpisze konkurs na nowy hymn. Propozycje można wysłać pod adresem Krajowej Rady: ul. Jasna 1, 00-013 Warszawa.

MILENA RACHID CHEHAB

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

Toshiba zaleca system Microsoft® Windows® XP.



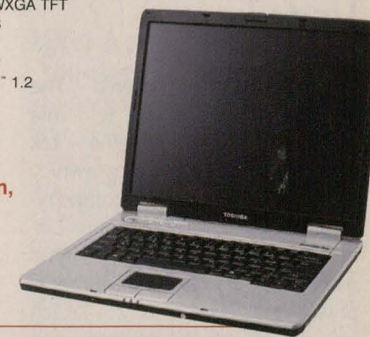
Najlepsi zawodnicy świata czekają – włącz ich do swojej drużyny.

Satellite M70-192

- technologia przenośna Intel® Centrino® z procesorem Intel® Pentium® M 760 (2 GHz, magistrala systemowa FSB 533 MHz, 2 MB pamięci podręcznej drugiego poziomu), z kartą sieciową Intel® PRO/Wireless 2200 BG oraz chipsetem Mobile Intel® 915 PM Express
- Microsoft® Windows® XP Home
- pamięć operacyjna 512 MB
- wyświetlacz 15,4" Toshiba TruBrite WXGA TFT
- ATI Mobility™ Radeon® X700, 128 MB
- 60 GB (5,400 rpm), Serial ATA
- DVD Super Multi (Double Layer)
- Wireless LAN (802.11b/g), Bluetooth™ 1.2
- głośniki stereo Harman Kardón®

4.990 zł netto

Stylowy szerokokątny ekran, duże możliwości



Satellite L20-121

- technologia przenośna Intel® Centrino® z procesorem Intel® Pentium® M 750 (1,86 GHz, magistrala systemowa FSB 533 MHz, 2 MB pamięci podręcznej drugiego poziomu), z kartą sieciową Intel® PRO/Wireless 2200 BG oraz chipsetem Mobile Intel® 915 PM Express



- Microsoft® Windows® XP Home
- pamięć operacyjna 512 MB
- wyświetlacz 15" TFT
- 60 GB (5,400 rpm), Serial ATA
- DVD Super Multi (Double Layer)
- Wireless LAN (802.11b/g)

3.790 zł netto

Wyjątkowa wartość w lekkiej konstrukcji

Batman kontra Osama

– Superman dołożył kiedyś samemu Hitlerowi, podobnie Kapitan Ameryka. Od tego przecież są – tak Frank Miller tłumaczy, skąd wziął się pomysł na nowy album o Batmanie. Ze stworzeniem komiksu poświęconego problemowi terroryzmu słynny rysownik (znany przede wszystkim jako twórca „Sin City”) nosił się już ponoć od nowojorskich zamachów 11 września 2001 roku. Szczegóły projektu zdradził jednak dopiero na tegorocznym konwencji komiksu WonderCon w San Francisco. Gotham zaatakują Al-Kaida i Batman stanie do walki z Osamą ben Ladenem – tak w skrócie przedstawia się fabuła „Holy Terror Batman”. Miller ma za sobą sześć miesięcy intensywnej pracy nad albumem, na razie ukończył 120 stron z planowanych 200. Komiks trafi na rynek zapewne nie wcześniej niż w przyszłym roku. AK

Wyróżnij się Wyróżnij się



www.aygo.pl



www.aygo.pl

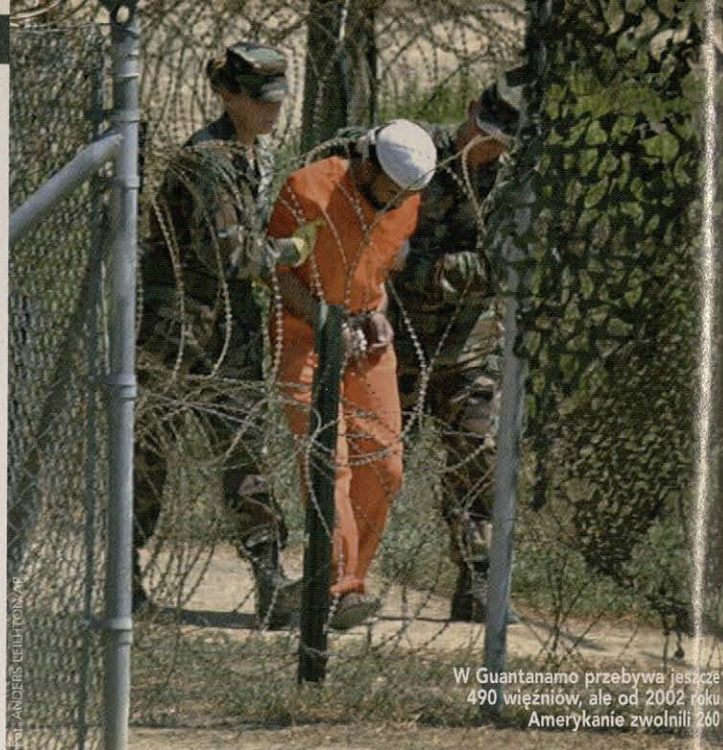
Linda kontra Disney

Wykorzystanie piosenki „The Lion Sleeps Tonight” w filmie „Król Lew” było nielegalne – tak przynajmniej twierdzą prawnicy rodziny afrykańskiego kompozytora owego utworu Salomona Lindy. Stworzył on „Mbube” (tytuł pierwotny) w 1939 roku i sprzedał prawa autorskie. Po 25 latach od śmierci artysty powinny one jednak wrócić do jego spadkobierców. Żyjąc obecnie w ubóstwie na przedmieściach Johannesburga rodzina Lindy wytoczyła wytwórni Disneya proces i żąda należnych tantiem. Od kiedy filmowi Timon i Pumba zaśpiewali „wim-o-weh o-wim-o-weh”, popularność piosenki wzrosła fenomenalnie. Doczekała się około 160 nagrań (między innymi R.E.M.), była wykorzystana w 13 filmach i setkach reklam. Idzie więc o równie fenomenalną kwotę 15 milionów dolarów! KP

ONZ KONTRA GUANTANAMO

ZAMKNAĆ OBÓZ „JAK NAJSZYBCIEJ” – APELUJE SEKRETARZ GENERALNY ONZ KOFI ANNAN. AMERYKANIE POZOSTAJĄ GŁUSI NA KRYTYKĘ

Czterej Brytyjczycy pakistańskiego pochodzenia we wrześniu 2001 roku jadą w swaty do Pakistanu. W odpowiedzi na apel miejscowych duchownych ruszają do Afganistanu, by nieść pomoc ludności cywilnej poszkodowanej w amerykańskich nalotach. Stamtąd podejrzani o terroryzm trafiają na Kubę, do amerykańskiego więzienia dla wrogów Stanów Zjednoczonych. Na podstawie ich historii Michael Winterbottom nakręcił film „Droga do Guantanamo”, nagrodzony w ubiegły weekend Srebrnym Niedźwiedziem na festiwalu w Berlinie. Ów fabularyzowany dokument można uznać za przejaw antibushowskiej propagandy. Trudniej odrzucić zarzuty zawarte w opublikowanym 16 lutego 54-stronicowym raporcie Komisji Praw Człowieka ONZ, wycieczającym wszystkie naruszenia prawa międzynarodowego, jakich dopuszczano się w Guantanamo, w tym o zakazanych meto-



W Guantanamo przebywa jeszcze 490 więźniów, ale od 2002 roku Amerykanie zwolnili 260

dach przesłuchań, obrażaniu uczuć religijnych, przemocy psychicznej i fizycznej stosowanej także przez personel medyczny. Pięciu autorów raportu przez pół roku zbierało informacje wśród ponad 200 więźniów wypuszczonych już z obozu. Większość trafiła do Guantanamo po dostarczeniu ich Amerykanom przez „łowców terrorystów”, Pakistańczyków i Afgańczyków, którzy wydali ich za pieniądze. Obecnie w Guantanamo przebywa 490 więźniów. Komentując raport, Kofi Annan wyraził nadzieję, że obóz zostanie

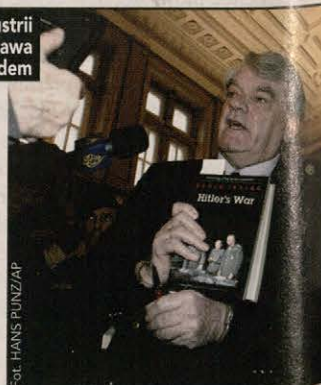
zamknięty „jak najszybciej”. Rzecznik Białego Domu w ogóle nie odniósł się do zarzutów zawartych w raporcie. Powiedział tylko, że to „odgrzewane kotlety”, których nagłaśnianie dyskredytuje ONZ. Tymczasem o zakończenie bezprawia w Guantanamo zaapelował również Parlament Europejski, a do chóru krytyków obozu dołączył znany obrońca praw człowieka, południowoafrykański arcybiskup Desmond Tutu. Przyrównał on metody stosowane przez Waszyngton do praktyk reżimu RPA w czasach apartheidu. MAV

SĄDZONY ZA SŁOWA

W AUSTRII ROZPOCZĄŁ SIĘ PROCES DAVIDA IRVINGA. KONTROWERSYJNY BRYTYJSKI HISTORYK ZOSTAŁ OSKARŻONY O NEGOWANIE HOLOCAUSTU

67-letniemu autorowi „Wojny Hitlera” zarzuca się, że 17 lat temu w Austrii stwierdził publicznie, iż nie istniały komory gazowe. Grozi mu za to 10 lat więzienia. Obecny proces Irvinga to nie pierwsza jego potyczka z prawem. Już w 1984 roku aresztowano go w Austrii i przekazano Niemcom, ale historykowi udało się wyjechać do Wielkiej Brytanii. Dopiero w 1992 roku niemiecki sąd skazał go na grzywnę o równowartości trzech i pół tysiąca funtów. W 2000 roku Irving przegrał swój najgłośniejszy proces – z amerykańską profesorką Deborah Lipstadt, którą oskarżył o znie-

śławienie po tym, jak wymieniła jego nazwisko wśród historyków negacjonistów. Irving został zatrzymany przez austriacką policję przed trzema miesiącami i przebywa w areszcie. Z jego wypowiedzi w pierwszym dniu procesu można wnosić, że postanowił częściowo wycofać się ze swoich twierdzeń. – Pomyliłem się. Historia to drzewo, które stale rośnie. Jest coraz więcej dokumentów, coraz więcej się dowiadujemy, ja też od 1989 roku wiele się nauczyłem. Tak, istniały komory gazowe. Tak, miliony Żydów zginęły – powiedział brytyjskim korespondentom. Dodał jednak,



Proces w Austrii to nie pierwsza sprawa Irvinga przed sądem

że zarzuty wobec niego dotyczą kwestii swobodnego wyrażania opinii. Dyskusja o granicach europejskiej wolności słowa jest dziś, po publikacji karykatur Mahometa, szczególnie ożywiona. Sprawa Irvinga znajdzie zapewne finał przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu. JK

GÓRA POŁKNĘŁA WIOSKĘ



GIGANTYCZNA LAWINA BŁOTA POGRZEBAŁA ŻYWCEM CO NAJMNIEJ 900 MIESZKAŃCÓW WIOSKI GUINSAUGON NA FILIPIŃSKIEJ WYSPIE LEYTE

Wielkie błoto nadeszło, kiedy wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło. Po dwóch tygodniach ulewnych deszczów wyszło słońce. Mimo ostrzeżeń ewakuowani kilka dni wcześniej mieszkańcy wrócili do swoich domów. Zbyt wcześnie. O dziesiątej rano w piątek zbocze górującego nad osadą wzgórze zmieniło się nagle w rwącą lawinę błota o głębokości 6–10 metrów. Nie ocalał żaden budynek. Błoto zatopiło szkołę podstawową, w której przebywało 200 uczniów i nauczycieli, a także

siedzibę lokalnych władz, gdzie zebrało się 300 mieszkańców. – Wygląda to tak, jakby ta wioska zniknęła z powierzchni ziemi – mówi Roger Mercado, deputowany lokalnego zgromadzenia na Leyte. Florencio Libaton pamięta, że kiedy usłyszał odgłosy lawiny, oboje z żoną biegiem ruszyli do szkoły. Trójka ich dzieci zginęła pod toniami błota. Zwały ziemi zabiły także ich matkę. Uratowano tylko pana Libaton. W pierwszych godzinach akcji ratunkowej z udziałem armii filipiń-

skiej i 30 amerykańskich marines udało się ocalić niewiele ponad 50 osób. Potem ratownicy znajdowali tylko zwłoki. W poniedziałek w polowie odsłonił budynek szkoły. Nie usłyszeli żadnych odgłosów życia. Część ekspertów uważa, że katastrofę spowodowała nielegalna wycinka lasów pod uprawy rolne na przeludnionej wyspie. Wielu fachowców twierdzi jednak, że podstawową przyczyną lawin błotnych są rekordowe ulewory oraz wielkie trzęsienia ziemi w rejonie katastrof. RYB

ZMIENNA CECILIA

POPULARNY KANDYDAT NA PREZYDENTA FRANCJI NICOLAS SARKOZY MA NOWE KŁOPOTY MAŁŻEŃSKIE – TWIERDZI WŚCIBSKA PARYSKA PRASA

Według „Le Journal du Dimanche” minister spraw wewnętrznych został znów opuszczony przez jego piękną żonę i doradcę Cecilie Sarkozy. W ubiegłym roku Francja żyła doniesieniami o romansie pani ministrowej i notowania Sarkozy’ego zaczęły po raz pierwszy spadać. W styczniu zwolennicy ministra spraw wewnętrznych odetchnęli z ulgą: Cecilia zdecydowała się wrócić do męża. Nie na długo. W ubiegły weekend dziennik francuski poinformował o ponownym odejściu Cecylii, która – tym razem podobno na dobre – wyjechała do Nowego Jorku. 51-letni Sarkozy, faworyt prawicy w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, wielokrotnie apelował do mediów, aby nie zajmowały się jego życiem prywatnym. Bezskutecznie. We Francji wchodzi na rynek powieść z kluczem, „Między sercem i rozumem” pióra Valerie Domain, która w beletrystycznej formie opowiada dzieje małżeństwa państwa Sarkozy. We Francji prawo zakazuje publikacji szczegółów prywatnego życia polityków. RYB



Cecilia i Nicolas Sarkozy – przed dwoma laty najpopularniejsza para Francji

Zeppelin Łużkowa

STEROWCE MAJĄ POPRAWIĆ BEZPIECZEŃSTWO W ROSYJSKIEJ STOLICY

Moskiewska policja otrzymała w darze od burmistrza Jurija Łużkowa pięć sterowców. Z ich pokładu policjanci będą efektywniej monitorować korki na drogach, śledzić przestępców, a także zapobiegać atakom terrorystycznym. Jeśli zeppelin się sprawdzi, władze miasta zamierzają powiększyć flotę moskiewskich sterowców. Produkcję zeppelinów – nieco mniejszych i bezpieczniejszych niż na początku XX wieku – wznowił od 1997 roku ich pierwotny producent z niemieckiego Friedrichshafen. Są sprzedawane głównie do celów reklamowych. W 2004 roku jeden z nich miał reklamować japońskie Expo 2005, lecąc z Friedrichshafen do Japonii przez kilka europejskich miast, w tym Paryż, Berlin, Sztokholm i Genewę. Niestety, wyprawa nie doszła do skutku, bo zgody na przelot nad swoim terytorium odmówiły władze... Rosji. JO



Próbny lot rosyjskiego zeppelinu na Syberii

Znowu idzie zima (na Marsie)

Kilka cieplejszych dni obudziło w nas nadzieje na nadejście upragnionej wiosny. Tymczasem specjaliści z NASA zajmujący się misją łazików marsjańskich Opportunity i Spirit rozpoczynają właśnie przygotowania do zimy na Czerwonej Planecie. Pora chłodu rozpocznie się tam w sierpniu i trzeba zabezpieczyć przed nim oba urządzenia. Chodzi przede wszystkim o Spirita, który znajduje się daleko od równika planety i z każdym dniem jego baterie słoneczne otrzymują coraz mniej energii. Dlatego postanowiono skierować go na zbocze zwane McCool Hill, gdzie przetrzymuje z bateriami skierowanymi na północ. Opportunity jest znacznie bliżej równika, więc przygotowania do zimy są mniej ważne, ale i jego postanowiono umieścić w bezpiecznym kraterze. W zimie temperatura na Marsie spada do -130 stopni Celsjusza. PSTAN



Człowiek neolitu budował osady, ale naprawdę rządziły lwy

Kto kogo łowił?

Pierwotny człowiek jako pan stworzenia i łowca tępiący wszystko, co żywe, to zwykła bzdura. Do takiego wniosku doszli naukowcy z Emory University w Atlancie. Ich zdaniem przez tysiące lat byliśmy raczej ofiarami niż myśliwymi. Stanowiliśmy smaczkę dla dużej grupy kotowatych, psowatych, krokodyli, a nawet ptaków drapieżnych. I całe szczęście, bo taka presja wymusiła wzmocnienie zachowań społecznych, które przyczyniły się do ewolucyjnego sukcesu homo sapiens.

Inne gatunki, jak choćby szympansy, które z racji warunków bytowania mniej narażone były na ataki tak wielu drapieżców, nie wytworzyły równie złożonych i mocnych więzi grupowych. Dlatego mimo podobnych możliwości mózgu to im, a nie nam, grozi dziś wyginięcie. PSTAN

Film Stevena Spielberga „Monachium” ukazał agentów Mossadu jako zbieraninę oryginałów nękaną wyrzutami sumienia. Naprawdę to najsprawniejszy i najbardziej brutalny wywiad świata, który działa szybko i bezwzględnie. Pomagają mu tysiące izraelskich ochotników

Nad ranem 4 września 1972 roku przebrana w dresy grupa palestyńskich terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień przeskoczyła przez płot, udając sportowców, a potem wdarła się z automatami kalasznikow do hotelu w wiosce olimpijskiej w Monachium. 11 członków izraelskiej ekipy olimpijskiej wzięto za zakładników. Dwóch zginęło w hotelu, a dziewięciu na lotnisku podczas nieudanej próby odbicia ich przez niemiecką policję. Policja zastrzeliła pięciu palestyńskich terrorystów, trzech przeżyło i zostało aresztowanych.

Po dniu przerwy igrzyska olimpijskie mimo tragedii dokończono. Pod koniec października trzech zamachowców z Czarnego Września RFN wymieniła na pasażerów porwanego samolotu Lufthansy. Terrorysty odzyskali wolność i powrócili triumfalnie na Bliski Wschód. Wówczas oburzona premier Golda Meir nakazała Mossadowi likwidację uczestników i organizatorów winnych masakry w Monachium.

Mossad zlikwidował dwóch spośród trzech terrorystów oraz ośmiu domniemanych organizatorów zamachu. Akcji odwetowych dokonano między innymi w Rzymie, w Paryżu, na Cyprze i w Atenach. Żaden z dokonujących egzekucji agentów nie miał jednak, inaczej niż w filmie, wyrzutów sumienia. Potwierdzają to agenci Mossadu – oficerowie K. i G. – oraz dwaj byli dyrektorzy agencji w filmach dokumentalnych o tej operacji emitowanych pod koniec stycznia w brytyjskich stacjach telewizyjnych Channel 4 i BBC2.

– Film Spielberga jest bardzo oderwany od rzeczywistości – mówi „Przekrojowi” Uri Huppert, autor książki „Izrael na rozdrożu”. W kraju, który na co dzień przeżywa wojnę z terrorem, mało kto filozofuje na temat eliminacji wroga. – I nikt nie ma wyrzutów sumienia. Nie mieli ich także prawdziwi agenci w latach 70. – mówi Huppert. Jego zdaniem Mossad nie narodził się ani nie działa z potrzeby zemsty, lecz w samoobronie narodu otoczonego przez morze wrogich państw arabskich i organizacji terrorystycznych.

W ŚLADY GIDEONA

Jako jedyna na świecie służba wywiadowcza Mossad od lat 60. oficjalnie dokonuje zabójstw wrogów państwa Izrael. Autorem tej doktryny był Meir Amit (dyrektor Mossadu w latach 1963–1968). Wyspecjalizowany oddział zabójców, czyli „kidon”, szkoli się w miasteczkach treningowych na pustyni Negeb.

W innym ośrodku szkoleniowym Mossadu w Gilot na północ od Tel Awiwu stoi mauzoleum zbudowane z białego piaskowca. Na jego ścianach widnieją nazwiska i daty śmierci ponad 550 poległych w różnych zakątkach świata agentów Mossadu i innych izraelskich agencji. Pusta ściana czeka na kolejne nazwiska.

MAREK RYBARCZYK

MOSSAD WSZECHMOGĄCY, CHOĆ OMYLNY



W 1976 na lotnisku w Entebbe w Ugandzie w brawurowej akcji izraelscy komandosi odbili pasażerów porwanego przez terrorystów samolotu. Plan operacji przygotował Mossad. Na zdjęciu wykorzystany przez Izraelczyków czarny mercedes, taki, jakim jeździł wówczas ugandyjski dyktator Idi Amin, po powrocie komanda do Tel Awiwu



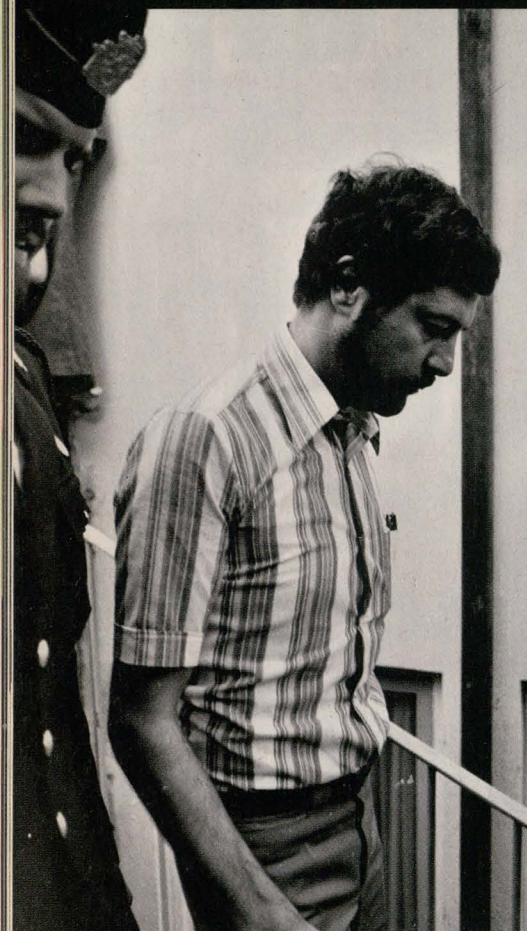
Emblemat Mossadu widnieje na internetowej witrynie agencji, gdzie można także wypełnić podanie o pracę

O potęgę izraelskiego wywiadu decyduje nie tylko ofiarność agentów, lecz przede wszystkim surowy system szkolenia. Agent wywiadu, czyli „katsa”, staje się częścią „rodziny”, ale jednocześnie trybikiem w bezwzględnej maszynie. – Agent nie jest człowiekiem. Jest bronią – mawiał jeden z wyższych oficerów Mossadu. – Szkolenie rozwija w agencji bezwarunkowy odruch zabijania. Ja albo on. Strzelasz tyle razy, ile zdołasz. Kiedy upadnie, podchodzisz, by dla pewności dobić go kulą w skroń – wspomina były agent Mossadu Victor Ostrovsky, autor demaskatorskiej książki

„By the Way of Deception” („Za pomocą podstępny”) do dziś zakazanej w Izraelu.

W poszukiwaniu prehistorii Mossadu trzeba cofnąć się do września 1929 roku, kiedy na apel rabinów pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie zebrał się tłum Żydów. W zarządzanej przez Brytyjczyków Palestynie Żydzi zademonstrowali w ten sposób Arabom determinację w dążeniu do własnego państwa. Na modlących się posypał się grad kamieni i puszek wypełnionych żwirem. Ze względu padły także pojedyncze strzały arabskich snajperów. Jeszcze tego samego wieczoru na zebraniu

Aresztowany w Norwegii Dan Aerbel, członek komanda Mossadu, które w 1973 roku w Lillehammer omyłkowo zastrzeliło marokańskiego kelnera Ahmeda Bouchiki. Na zdjęciu z prawej: Policijna rekonstrukcja zamachu



Fot. DAGBLADET/ALL OVER PRESS NORWAY/EAST NEWS

starszyny żydowskiej przypomniano, że od epoki króla Dawida los Żydów był zależny od wywiadu. Nie na darmo jeden ze starożytnych sędziów izraelskich Gideon podkraść się do namiotów wrogów, by podsłuchiwać ich rozmowy.

Pomysł stworzenia silnej organizacji wywiadowczej czekał na realizację niemal ćwierć wieku. W 1948 roku po walkach z Brytyjczykami i Palestyńczykami powstał Izrael. W grudniu 1949 powołano Instytut do spraw Koordynacji, czyli Mossad. Miał on koordynować pracę różnych, często skłóconych, służb specjalnych nowego państwa, a formalnie podlegał ministerstwu spraw zagranicznych. Dwa lata później doszło do poważnej reorganizacji i od marca

1951 roku do dziś Mossad podlega bezpośrednio premierowi. Organizacja odpowiada za całą działalność szpiegowską za granicą. Ponadto w kraju działa izraelski kontrwywiad Szin Bet oraz wywiad wojskowy Aman.

W 1954 roku dyrektor Mossadu Irel Harel przyjechał do Waszyngtonu, by spotkać się z szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej Allenem Dullesem. Podarował mu sztylet z inskrypcją: „Strażnik Izraela nie drzemie ani nie śpi”. Dulles zapewnił go, że będzie czuwał razem z nim. Sojusz Mossadu z CIA zaowocował pomocą techniczną. Izraelczycy uzyskali dostęp do najnowocześniejszych amerykańskich urządzeń i szpiegowskich gadżetów.



Fot. SCANNAP/WPA



Porwany w Rzymie przez Mossad Mordechai Vanunu, który ujawnił istnienie izraelskiego arsenału atomowego w drodze na proces w Izraelu

terowanie, a lekarze opatrują rany postrzałowe bez powiadamiania władz. Sajanim otrzymują jedynie zwrot poniesionych kosztów” – pisze Gordon Thomas, autor książki o Mossadzie.

Pomocnicy muszą być w stu procentach pochodzenia żydowskiego. Oficer wywiadu katsa odwiedza sajanim co trzy miesiące. Liczba ochotniczych współpracowników Mossadu w poszczególnych krajach świata idzie w tysiące. Wspomagają oni także izraelski wywiad gospodarczy.

Żydowska diaspora to skarb dla Mossadu – wielomilionowa baza, z której rekrutują się agenci i agentki. Jedną z nich była Cheryl Hanin z Florydy. W 1986 roku Cheryl, udająca zagubioną amerykańską turystkę Cindy, poderwała

do chwili, gdy spostrzegł Cindy i – jak twierdzi – sam do niej podszedł na londyńskim placu.

EGZEKUCJA I DEZINFORMACJA

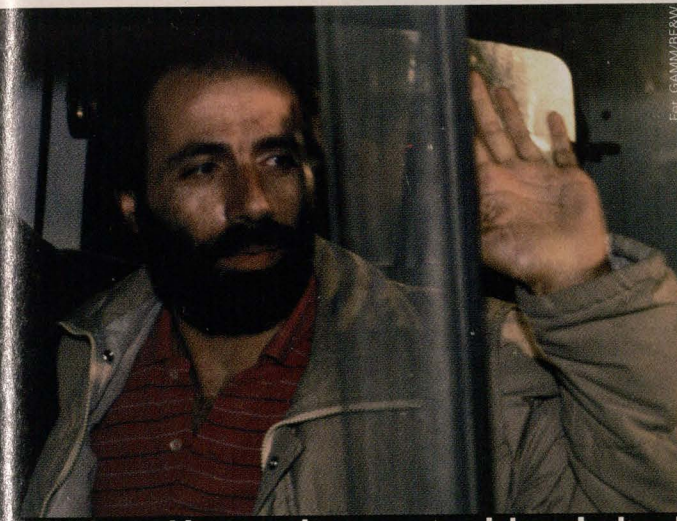
Władze Izraela nie wahają się przed eliminacją ludzi, których uznają za zagrożenie dla państwa. W 1988 roku na osobisty rozkaz premiera Icchaka Rabina z rąk komando Mossadu zginął w Tunezji zastępca Jasera Arafata Abu Dżihad. Dwa miesiące później w RPA znaleziono pozabawione rąk i nóg ciało biznesmena Alana Kidgera dostarczającego do Iraku sprzęt, który mógł posłużyć do produkcji broni chemicznej.

Z drugiej strony wielokrotnie potwierdzona skuteczność izraelskiego wywiadu sprawia,

ła, kanadyjskiego eksperta do spraw balistyki, który współpracował z Irakiem przy produkcji tak zwanego superdziała, śmiertelnego zagrożenia dla Izraela. W 1990 roku w Brukseli zginął on na progu swego mieszkania. Zamach zlecił premier Icchak Szamir. Po egzekucji wydział wojny psychologicznej Mossadu zaczął podsuwać prasie własną wersję wydarzeń. Wedle niej Bull miał zginąć z rąk ludzi Saddama Husajna podejrzewających zdradę.

FAŁSZYWA AL-KAIDA

Ibrahim, Palestyńczyk ze Strefy Gazy, wysłał pod koniec 2001 roku list do rubryki kulturalnej w gazecie „East Jerusalem Post”. Nieopatrznie



Fot. GAMMA/BEAV



Szczałki szejka Jassina zamakowanego w marcu 2004 roku przez izraelską rakiętę. Lidera Hamasu namierzali agenci Mossadu

Kiedy Mossad jest przekonany o swoich racjach, uderza błyskawicznie i bezwzględnie. W RPA jego agenci obcięli ręce i nogi biznesmenowi, który pomagał irackiej armii

na londyńskim Leicester Square Izraelczyka Mordechaja Vanunu, który ukrywał się w Londynie dzięki pomocy „Sunday Timesa”. Vanunu dysponował zdjęciami z tajnego ośrodka nuklearnego w Dimona, gdzie Izraelczycy produkowali głowice jądrowe, choć zapewniali Amerykanów, że nic takiego nie ma miejsca.

Vanunu wysledzili w jednym z londyńskich hoteli brytyjczy sajanim. Podobno wcześniej, gdy usiłował sprzedać swoją opowieść gazecie „Sunday Mirror”, do Mossadu zatelefonował właściciel gazety, rzekomy współpracownik tej agencji, magnat medialny Robert Maxwell.

Do akcji wkroczyła piękna Cindy. Zabrała Vanunu na kawę i do kina, a potem do siostry do Rzymu. W jej mieszkaniu czekała grupa agentów Mossadu ze strzykawką wypełnioną środkiem obezwładniającym. 30 września 1986 roku Vanunu został potajemnie wywieziony do Izraela, gdzie sąd skazał go na 18 lat więzienia. Większość wyroku spędził w całkowitej izolacji.

Vanunu jest dziś wolny. Mieszka w betonowym osiedlu w arabskiej, wschodniej części Jerozolimy. Zrelaksowany, opalony mężczyzna lubi prześadywać w ogrodach przy katedrze w Jerozolimie. Nie wolno mu opuszczać kraju ani rozmawiać z dziennikarzami. Ale Vanunu lubi łamać ten ostatni zakaz. Chętnie opowiada o swoim spotkaniu z Mossadem sprzed 20 lat i wraca

że przypisuje mu się udział w najbardziej fantastycznych operacjach. Świat wciąż huczy od plotek o tajnych akcjach Mossadu. Podobno to Mossad po awanturze i groźbie zdrady ze strony multimilionera zamordował Roberta Maxwella na jego własnym jachcie. Podobno Mossad pośrednio odpowiada za śmierć księżnej Diany, gdyż jej kierowca Paul Henri był szantażowany przez Izraelczyków, którzy domagali się od niego współpracy. Podobno Mossad podsłuchiwał inne wywiady świata (w tym polski), którym sprzedał skażony wirusem program komputerowy Promis. Podobno na długo przed wybuchem skandalu wiedział o związku Clintona z Moniką Lewinski, bo założył pluskwę na jej aparacie telefonicznym. To Mossad wreszcie przekazał Janowi Pawłowi II informacje o prawdziwym mocodawcy zamachu na placu Świętego Piotra (miał nim być Iran). Te sensacje pojawiają się w nielicznych publikacjach o Mossadzie – książkach Gordona Thomasa i Victora Ostrowsky'ego. Oczywiście źródła autorów są anonimowe, obaj twierdzą jednak, że rozmawiali z wieloma byłymi agentami, a nawet szefami agencji. Część plotek o potędze Mossadu z pewnością rozpowszechnia jego specjalna komórka wojny psychologicznej.

Dezinformacja to ważna część pracy Mossadu. Dobrym jej przykładem jest sprawa Geralda Bul-

podał swoje dane personalne. Trzy miesiące później odezwał się do niego tajemniczy rodak. Ahmed przedstawiał się jako biznesmen, któremu Ibrahim miał niby przypominać syna. Przypadli sobie do gustu, ich kontakty były coraz bardziej przyjacielskie. Ahmed dzwonił, wypytywał Ibrahima o jego poglądy i religijność, chciał rzekomo zainwestować pieniądze w Strefie Gazy, potrzebował współnika. Gdy zdobył zaufanie Ibrahima, wyłożył kawę na ławę. – Jestem człowiekiem ben Ladena – powiedział. Cel był prosty – stworzenie komórki Al-Kaidy w palestyńskiej Strefie Gazy. Ibrahim miałby się zająć jej organizacją.

Mężczyzna nabrał jednak podejrzeń, a być może po prostu się wystraszył. Nie wiedział, co robić, więc powiedział o wszystkim palestyńskiej policji. Ta przekazała sprawę wywiadowi Autonomii, a ten wreszcie namierzył Ahmeda i ogłosił, że tajemniczy biznesmen to agent Mossadu. Potem gdy Ariel Szaron powie w 2002 roku o tworzących się w Palestynie strukturach Al-Kaidy, służby rządzącego wówczas Autonomią Jasera Arafata wyciągną mu sprawę Ahmeda i kilka podobnych przypadków. Wszystkie telefony i e-maile, za pomocą których kontaktowali się domniemani współpracownicy ben Ladena, miały prowadzić do Izraela.

Jeżeli przyjąć wersję Palestyńczyków, to operacja wiązania Palestyńczyków z ben Ladenem zaczęła się tuż po zamachach 11 września, gdy świat

WYDZIAŁY MOSSADU

- **Wydział gromadzenia informacji** – największy, odpowiada za operacje szpiegowskie i obsługę biur zagranicznych, często działających pod przykrywką izraelskich służb dyplomatycznych
- **Wydział akcji politycznej** – zajmuje się współpracą z zaprzyjaźnionymi wywiadami i kontaktem z państwami, z którymi Izrael nie utrzymuje oficjalnych stosunków
- **Metsada** – operacje specjalne – zabójstwa polityczne, sabotaż, działalność paramilitarna (na przykład w Syrii i Libanie), częścią Metsady jest Kidon
- **Wydział LAP, Lohamah Psychlogit** – wojna psychologiczna, propaganda i dezinformacja
- **Wydział studiów i badań** – monitoruje i analizuje sytuację w różnych regionach świata. W jego skład wchodzi oddzielna komórka do spraw broni nuklearnej
- **Wydział techniki** – odpowiada za projektowanie, produkcję i konserwację szpiegowskich urządzeń i gadżetów

(Źródło: www.globalsecurity.org, Intelligence Resource Program)

Jednym z najsłynniejszych izraelskich szpiegów był urodzony w Egipcie ortodoksyjny Żyd Eli Cohen. W 1959 roku rozpoczął półroczny kurs szpiegowski – uczył się walczyć wręcz, strzelać, włamywać, obsługiwać radiostację i układać szyfry. Po szkoleniu potrafił wykonać bombę z powszechnie dostępnych materiałów.

Przerzucony do wrogiej Syrii Cohen udawał przedsiębiorcę i próbował pozyskać wpływowych przyjaciół. Dzięki jednemu z nich, siostrzeńcowi syryjskiego prezydenta, Cohen mógł odwiedzić rejon wzgórz Golan. Zdjęcia z wycieczki przesyłał do Izraela. – Jest wart tyle, ile cała dywizja wojska – mówił o Cohenie Meir Amit.

ARMIA SAJANIM

W 1965 roku Cohen wpadł w ręce syryjskiego kontrwywiadu. 18 maja został powieszony na centralnym placu Damaszku. Meir Amit zrozumiał, że agenci Mossadu muszą mieć szersze zaplecze. Stworzył wyjątkowy system „sajanim”, czyli ochotniczych pomocników żydowskich w kluczowych krajach świata. Agenci (katsa) pozyskują sajanim, apelując do ich patriotyzmu i odpowiedzialności za państwo żydowskie.

„Sajanim prowadzący wypożyczalnię samochodów dostarczają agentowi Mossadu środków transportu bez wymaganych dokumentów. Właściciele agencji nieruchomości zapewniają zakwa-



Fot. GETTY IMAGES/EAST NEWS

Hitlerowski zbrodniarz Adolf Eichmann w izraelskim więzieniu Ramla w 1961 roku. Rok wcześniej Mossad porwał go z Buenos Aires, gdzie ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem. Eichmann został osądzony i stracony w maju 1962 roku



Fot. BUNNEN/EAST NEWS

Abu Dauda, jednego z organizatorów masakry w Monachium, Mossad dopadł w sierpniu 1981 roku w warszawskim hotelu Victoria. Poważnie ranny terrorysta przeżył jednak zamach i wykurował się w NRD



Dyrektorzy Mossadu. Z lewej: Meir Amit (1963–1968), autor doktryny eliminacji wrogów Izraela. Obok obecnie kierujący agencją Meir Dagan

MOSSAD W LICZBACH

- **1200–1500** pracowników etatowych, w tym oficerów wywiadu (katsi)
- **Kilkanaście tysięcy** ochotników pomocników (sajani) na całym świecie (w samym Londynie około 2 tysięcy)
- **35 tysięcy** bezpiecznych mieszkań w najważniejszych miastach świata
- **około 350 milionów** dolarów rocznego budżetu (dane za rok 2004)
- Kidon – oddział do zabójstw politycznych i operacji specjalnych liczy **48 osób**, w tym 6 kobiet (1998 rok)

(Źródło: książki o Mossadzie Gordona Thomasa i Victora Ostrovsky'ego)



Gilot na północ od Tel Awiwu. Mauzoleum ponad 550 izraelskich agentów i szpiegów, którzy zginęli w tajnych operacjach

wstrząśnięty tragedią szukał winnych po całym globie. Premier Izraela Ariel Szaron zabiegał o poparcie dla twardej polityki wobec Palestyny. Początkowo Ariel Szaron bronił tezy o powstaniu palestyńskiej Al-Kaidy, ale później rzecznik jego MSZ zaczął prostować słowa premiera. – Po co mielibyśmy wymyślać podobne historie? Przecież Hamas, Islamski Dżihad i Hezbollah są tym samym co Al-Kaida – mówił Gilad Milo. Zdaniem innych ekspertów w Jerozolimie od kilku lat gra się kartą Al-Kaidy. – Im większa Al-Kaida, tym bardziej potrzeba Mossadu – mówi nasz rozmówca.

Obalenie Saddama Husajna pozwoliło Mossadowi na o wiele lepsze usadówienie się w Iraku, skąd izraelski wywiad obserwuje sąsiedni Iran – dziś zagrożenie numer jeden dla bezpieczeństwa Izraela. Według niepotwierdzonych doniesień wpływowego dziennika arabskiego „Al-Hajaj” w pobliżu irackiej Basry na wyspie Um al-Rassas pojawiły się izraelskie punkty obserwacyjne – 50-metrowe kolumny, z których Mossad może śledzić rozwój irańskich instalacji nuklearnych. Przeciwdziałanie irańskiemu programowi nuklearnemu uważane jest za zadanie numer jeden izraelskiego wywiadu. Izrael na pewno ma plan ataku na irańskie instalacje jądrowe – twierdzi amerykański ekspert od Bliskiego Wschodu Micah Halpern.

Według niemieckiego tygodnika „Der Spiegel” plan ataku opracowano już w 2003 roku i – jak twierdził w rozmowie z gazetą jeden z przedstawicieli izraelskiego lotnictwa – „jest on trudny, ale nie niewykonalny”. Izrael zamierza też wspomagać ewentualną akcją zbrojną Stanów Zjednoczonych. Halpern twierdzi, że Ariel Szaron miał w czasie jednego ze spotkań z George'em W. Bushem pokazać mu mapę ze zdjęciami namierzonych przez izraelski wywiad irańskich obiektów. Mossad odgrywa też kluczową rolę przy uczuleniu na irańskie zagrożenie zachodnich mediów. „Agenci Mossadu dostarczają zagranicznym dziennikarzom informacji na temat polityki nuklearnej Iranu” – twierdzi dziennik „Haaretz”.

– Przez kilka dziesięcioleci Mossad, poza zamachami i szpiegostwem, zajmował się cichą dyplomacją z Palestyńczykami i operacjami ratowania Żydów poza granicami Izraela – mówi „Przekrojowi” Yossi Melman, dziennikarz „Haaretz” zajmujący się Mossadem. Jego zdaniem ten okres dobiegł końca. Obecnie Mossad bierze udział w wojnie z terrorem i powstrzymywaniu krajów takich jak Iran.

PRÓBOWAĆ DO SKUTKU

Nie zawsze Mossad był tak skuteczny jak podczas porwania Vanunu z Włoch czy pojmania

i potajmego wywiezienia z Argentyny do Izraela hitlerowskiego zbrodniarza Adolfa Eichmana w 1960 roku.

W ostatnich latach Mossad miał kilka poważnych wpadek. Latem 2004 dwóch agentów zatrzymano w Nowej Zelandii, kiedy nielegalnie próbowali sobie wyrobić paszporty tego kraju. Wcześniej, w roku 1997, gdy Mossad bezskutecznie próbował otruć przywódcę Hamasu Chaleda Maszala, jego agenci posłużyli się fałszywymi paszportami Kanady. Sprawa wyszła na jaw i wywołała wojnę dyplomatyczną z Otawą. Izraelski ambasador został odesłany do domu, a dyplomacja państwa żydowskiego musiała przeprosić i przyrzec, że więcej tego nie powtórzy. Powtórzyła. W lipcu 2004 roku Nowa Zelandia zareagowała na kolejny paszportowy skandal furją, stosując sankcje dyplomatyczne. Po kilku miesiącach milczenia Izrael znów musiał przeproszać.

Największą wpadką Mossadu była jednak sama próba zamordowania Maszala. W 1997 roku został otruty w Jordani, ale agenci, którzy podali mu truciznę, wpadli w ręce jordańskich służb. Izrael został poniżony – w zamian za życie swoich ludzi musiał dostarczyć do Jordani antidotum na truciznę, a także wypuścić z więzień wielu palestyńskich liderów, w tym nieprzejednanego wroga Izraela szejka Jassina.

Przytrafiające się Izraelczykom niepowodzenia nie powinny jednak osłabiać czujności ich wrogów. Po siedmiu latach od uwolnienia szejka Jassina Mossad wytropił go i zabił wystrzeloną ze śmigłowca rakietą, kiedy szejek wyjeżdżał z meczetu na wózku inwalidzkim.

MAREK RYBARCZYK
WSPÓŁPRACA JAKUB KUMOCZ;
JONATHAN COOK, JEROZOLIMA

KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻKI GORDONA THOMASA
„SZPIEDZY GIDEONA”, MAGNUM, WARSZAWA 2005

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl
w serwisie www.media.wp.pl

Nowa URODA

CENA TYLKO

4,99 zł

WIĘKSZY FORMAT!

169 sprawdzonych kosmetyków z polskich sklepów



Styl Gwen Stefani: adrenalina i platyna

26 produktów antystresowych

BEAUTY EXPERT

uroda

www.uroda.pl

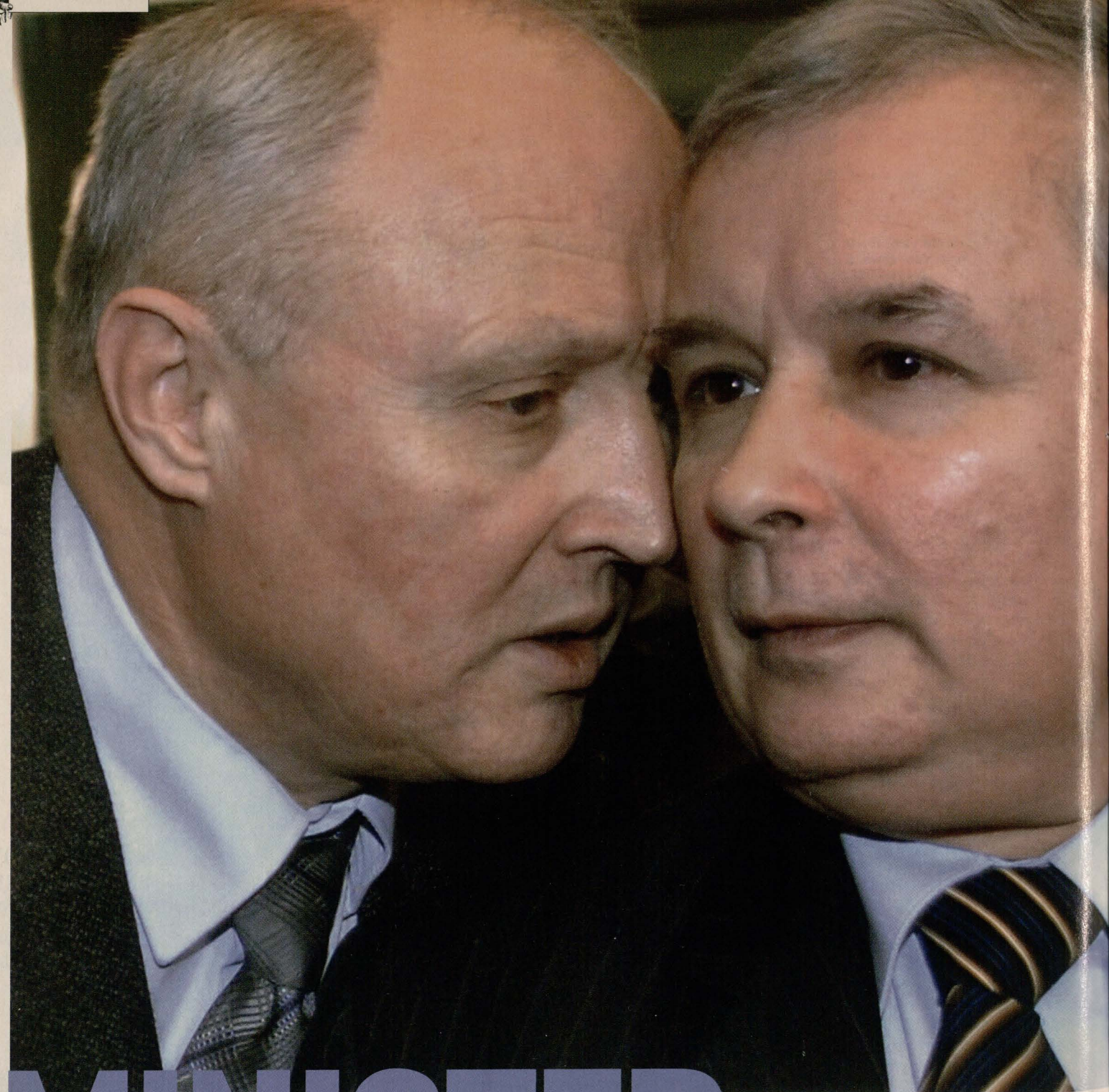
AKADEMIA URODY
IDEALNA CERA W 30 SEKUND
■ JAK UŻYWAĆ KOREKTORA?

PO RAZ PIERWSZY!
LEKSYKON STYLIZACJI WŁOSÓW
■ Do czego służą: guma, galaretka i klej

Nowy wiosenny wizerunek!

■ zrób najmodniejszy makijaż ■ kup dużą torbę, bluzkę w paski, coś białego i ... **BĘDZIESZ SEXY!**

CZYTASZ I... WYGLĄDASZ!



Wojciech Jasiński (z lewej)
z prezesem PiS Jarosławem
Kaczyńskim, styczeń 2006 roku

MINISTER NIEPRYWATYZACJI

Dla kariery **WOJCIECHA JASIŃSKIEGO** decydujące znaczenie ma przyjaźń z braćmi Kaczyńskimi. Nie przeszkadza mu nawet PZPR-owska przeszłość

SYLWIA CZUBKOWSKA

Byliśmy w miarę normalnymi ludźmi i robiliśmy to samo, co dziś robią młodzi – wyjaśniał dziennikarzom pytany o swoją znajomość z Kaczyńskimi od czasów studenckich. – Piwko? – dopytywał się Mikołaj Kunica, dziennikarz „Wiadomości”. – Bywało – przyznał Jasiński. – Koleżanki?

– To akurat z Jarosławem Kaczyńskim nie – ze śmiechem odpowiedział. Kilka godzin później przyjął z rąk Lecha Kaczyńskiego nominację na ministra skarbu. A „Wiadomości” ocenzurowały materiał o piwku i koleżankach.

Jednak zbytwna wylewność nie jest największym problemem Jasińskiego. W latach 70. i 80. był członkiem PZPR, rządzącej partii komunistycznej. – Przeszłość komunistyczna to wśród polityków nic niezwykłego, ale u członka PiS to już zastanawiające – zauważa Julia Pitera, posłanka PO. To Platforma zwróciła uwagę na to, że życiorys Jasińskiego jest pełen białych plam.

Działacze PiS nie widzą problemu. – Niemal od początku wiedzieliśmy, że Wojtek należał do PZPR – broni Jasińskiego poseł PiS Marek Suski. – Gdy parę lat temu na spotkaniu PiS żartowaliśmy sobie z PZPR, ktoś powiedział: „Wojtek to chyba ma co nieco na sumieniu”. Wtedy on wstał i ogłędnie, ale krytycznie wypowiedział się na temat partii robotniczej. Coś w tym stylu: „Nie jest to szczególny powód do dumy, ale byłem młody”. Zresztą ufają mu pan prezydent i pan przewodniczący, to i my też ufamy.

Jasiński twierdzi, że był ledwie szeregowym członkiem. – Może miał zadanie rozsądzania PZPR od środka? – sugeruje poseł Suski.

Tyle że wcale nie wiadomo, czy Jasiński w PZPR był tylko szeregowym funkcjonariuszem. W Sejmie posłowie opowiadają, że pracował w wydziale wewnętrznym urzędu miejskiego, że odpowiadał za wydawanie dowodów, a może nawet opiniował wydawanie paszportów. Sam zainteresowany milczy na ten temat, nawet pytany o ten epizod podczas debaty sejmowej. Na umówione ze mną spotkanie nie przyszedł, więc nie mogłam skonfrontować poselskich plotek z ich adresatem.

ALFABETYCZNY PRZYJACIEL

Jasiński miał właśnie jechać z rodziną na narty na Słowację, ale niestety został ministrem i nici z wycieczki. Ma cztery mieszkania. Korzysta tylko z dwóch. W jednym, w Płocku, mieszka jego żona, w drugim, warszawskim, on sam. Pozostałe dwa kupił, by zarabiać na ich wynajmowaniu.

W PiS działa od samego początku, należał do grona 54 założycieli partii. Posłem jest już dru-

gą kadencję, ale dotąd jego gwiazda nie błyszczała nazbyt jasno. Jest członkiem zarządu głównego PiS, ale na razie był „prawie liderem”. Prawie został członkiem komisji śledczej do spraw PZU (ostatecznie zamiast niego trafił tam Przemysław Gosiewski), prawie został przewodniczącym zarządu PiS (na stanowisku pozostał Jarosław Kaczyński), po październikowej wygranej PiS w wyborach prawie został ministrem Skarbu Państwa (niespodziewanie pojawił się Andrzej Mikosz).

Sam nigdy nie przejawiał wielkich politycznych ambicji. Nawet jego żona Ewa przyznaje, że nie ma on politycznego powołania. – Mój mąż nie nadaje się do żadnego załatwiania, to spokojny człowiek. Polityką interesował się już od czasów studenckich, ale to było tylko takie hobby.

Losy Jasińskiego przesądziły właśnie czasy studenckie oraz... alfabet. Kiedy w 1967 roku za drugim podejściem udało mu się dostać na prawo na Uniwersytecie Warszawskim, jego najbliższymi kolegami zostali bracia Kaczyńscy. Trafili do jednej grupy ćwiczeniowej, bo mieli nazwiska na J i K. Dobrali się idealnie. On – prosty chłopak z podpłockiego Gostynina – w towarzystwie obytych i popularnych wśród kolegów warszawiaków zaczął nabierać pewności siebie. Oni znaleźli w nim wiernego kompana.

Bogdan Możdżyński, dziennikarz motoryzacyjny i ich kolega z roku, wspomina: – Wojtek w przeciwieństwie do Kaczyńskich był nieśmiały, cichy, na pewno nie był błyskotliwy. To taki typ cienia, który pójdzie za swoim panem wszędzie, gdzie mu pan każe. Panem dla Wojtka był Leszek.

Kaczyńscy już wtedy mieli wyraźne antykomunistyczne poglądy, jednak nie przeszkadzało im to, że Jasiński działał w Związku Studentów Polskich, a nawet że był sekretarzem komisji domów studenckich. Jak się okazało, nie mniej ważne od poglądów politycznych było wymykanie się z nudnych zajęć na piwo. Jasiński chętnie wspomina te studenckie czasy. Jak choćby pewną popijawę w Harendzie, po której okazało się, że żaden z nich nie wziął pieniędzy i nie mają czym zapłacić. Lech Kaczyński musiał pobeć na uniwersytet, by pożyczyć pieniądze i wykupić dwójkę współtowarzyszy.

Z tamtych czasów pozostała serdeczność, z jaką Lech Kaczyński powoływał go na urząd ministra. – Wojciechu, przyjmujesz ten ciężar na swoje barki, ale jestem pewien, że dasz sobie radę – mówił prezydent.

SAMOTNE SAKSY

Po studiach, na początku lat 70., Kaczyńscy zaczęli działać w opozycji. Jasiński musiał odpracować stypendium, które Polska Kasa Oszczędności przyznała mu na studia. Wrócił w rodzinne strony, do Płocka. Ożenił się z poznaną do studiów Ewą. Urodziło im się dwoje dzieci.

W 1976 roku wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zaczął pracować jako inspektor kredytowy w oddziale NBP w Płocku, a następnie jako inspektor w płockim urzędzie miasta. Na początku lat 80. przeszedł do Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem”, był kierownikiem spółdzielczego domu handlowego Zgoda i zakładał tam Solidarność. W 1983 roku został radcą prawnym.

W 1986 roku zdecydował się na wyjazd. Na blisko dwa i pół roku wyjechał samotnie do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku miał się wszelkich zajęć. Pracował na budowach, stacjach benzynowych, malował mieszkania. Do Polski wrócił w grudniu 1989 roku. Trafił do pracy swojej żony.

Ewa Jasińska była płocką dziennikarką, do 1989 roku pisała do „Trybuny Ludu”, organu prasowego partii. Głównie relacjonowała tam posiedzenia płockiego PZPR. W 1989 roku zaczęła pracę w „Tygodniku Płockim” i tam pojawił się jej mąż.

– Kiedy zjawił się u nas, imponował zagranicznym obyciem – wspomina Lena Szatkowska, wówczas dziennikarka, dziś sekretarz redakcji „Tygodnika Płockiego”. – Był pełen pomysłów. Zaproponował założenie Towarzystwa Przyjaciół „Tygodnika Płockiego”.

Z jego inicjatywy powstał także dodatek do tygodnika „Pro in Press, dla Ludzi Sukcesu i Chcących Osiągnąć Sukces”. „Pro in press”, czyli „promocja w prasie”. Jasiński go redagował. Starł się propagować wiedzę o gospodarce rynkowej i biznesmenach. – Przyjechał z Ameryki, więc wyjaśniał, co to jest kapitalizm, akcje, obligacje – śmieje się Szatkowska. Równolegle prowadził kancelarię radcy prawnego.

Po trzech miesiącach, w 1990 roku, zdobył jednak pracę delegata pełnomocnika rządu do spraw reformy samorządu terytorialnego w województwie płockim.

ZA LECEM

W 1992 roku ponownie spotkał Lecha Kaczyńskiego i już się go trzymał. Najpierw wszedł do Porozumienia Centrum jako doradca. Potem do Najwyższej Izby Kontroli – kolejno na stanowiska: dyrektora delegatury NIK w Warszawie, dyrektora Zespołu Finansów i Budżetu i dyrektora Departamentu Budżetu Państwa.

Po odejściu Kaczyńskiego z NIK Jasiński zakończył karierę w NIK i przeszedł do biznesu. Został członkiem rady nadzorczej Banku Ochrony Środowiska i prezesem zarządu spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Srebrna. To wtedy Jasińskiemu przyklejono łatkę ekonomisty.

– Dzięki temu, że Wojtek poznał podczas swojego pobytu w Stanach Zjednoczonych, jak wygląda i jak funkcjonuje wolny rynek, mógł to wykorzystać przy kierowaniu spółką – tłumaczy

Oficjalny życiorys nowego ministra skarbu na jego stronie internetowej rozpoczyna się dopiero od 1990 roku



15 lutego 2006 roku prezydent Lech Kaczyński nadzwyczaj serdecznie nominował Wojciecha Jasińskiego na urząd ministra skarbu

poseł PiS Marek Suski, także ówczesnie członek zarządu Srebrnej. Srebrna to własność fundacji Nowe Państwo powołanej przez Kaczyńskich w 1993 roku – po trosze, by wydawać prasę partyjną, po trosze, by zarabiać na potrzeby PC.

Także z tym okresem swojej kariery Jasiński pożegnał się bez żalu. Kiedy Lech Kaczyński został w 2000 roku ministrem sprawiedliwości, Jasiński zrezygnował z pracy i przeszedł za nim do ministerstwa. Został wiceministrem. Zajmował się reformą struktury terytorialnej sądownictwa i sprawami kadr w resorcie, tyle że pracownicy ministerstwa pracujący z nim w tym czasie mają problemy, by cokolwiek sobie o nim przypomnieć. – Wojtek, mimo że z wykształcenia jest prawnikiem, nie czuł się dobrze w ministerstwie. Z zawodem przez lata nie miał wiele wspólnego, więc starał się robić jak najmniej, byleby czegoś nie zawalić – przyznaje jeden z polityków PiS.

Został zdymisjonowany w sierpniu 2001 roku, natychmiast po odejściu Lecha Kaczyńskiego. I zaraz potem wystartował w wyborach do parlamentu jako numer jeden na liście PiS z Płocka.

ŻYJE TYLKO POLITYKĄ

W Sejmie nie dokonał niczego oszałamiającego. Był członkiem komisji finansów publicznych i komisji Skarbu Państwa. Właśnie tam poznał go Paweł Poncyliusz: – Jest skuteczny, choć nie jest to typ trybuna ludowego, który chwyta za serce – tłumaczy partyjnego kolegę.

Od kiedy został posłem, zaczął coraz rzadziej bywać w Płocku. – Pan poseł nigdy nie opuszczał swoich dyżurów w biurze poselskim, które miał we wtorki – broni go Ewa Szymańska, szefowa biura.

Jednak do rodziny na weekendy przyjeżdżał już sporadycznie. – Jego żonę Ewę widywano praktycznie zawsze samą. Zaczęto coraz częściej mówić, że między nimi nie dzieje się dobrze – opowiada jeden z dziennikarzy lokalnej gazety.

Ewa Jasińska, która w 1991 roku została redaktorką naczelną „Tygodnika Płockiego”, po trzech latach została zwolniona z tej funkcji. W 1994 roku zaczęła pracować w urzędzie miasta. Została dziennikarką ratuszowej gazety „Sygnały Płockie”, a wkrótce awansowała na jej redaktorkę naczelną.

Córka Paula poszła w ślady ojca i studiowała prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Zdała na aplikację i zaczęła pracować w sądzie w Warszawie. Syn Piotr studiuje psychologię w Poznaniu.

Poparcie Kaczyńskich dla Jasińskiego nie było tajemnicą. – Ale Wojtek to nie jest gapa, które sa-

ma sobie nie da rady – zaznacza Paweł Poncyliusz, poseł PiS. Tego, że potrafi postawić na swoim, dowiódł w Płocku, kiedy wybuchł konflikt między nim a Miłosławem Milewskim prezydentem miasta, też politykiem PiS. Milewski, którego pozycja w płockim PiS była bardzo silna, chciał dokonać przewrotu i przejąć w oddziale partii władzę. Jednak wszyscy stanęli po stronie Jasińskiego. – Działacze otwarcie pytali prezydenta, co dla nich zrobił, podkreślając, że Wojtek jednemu pomógł pracę dla szwagra załatwić, innemu pomógł przy kłopotach z fiskusem – opowiada lokalny dziennikarz.

W ubiegłorocznych wyborach do Sejmu trzykrotnie poprawił wynik z 2001 roku i zdobył więcej głosów spośród wszystkich kandydatów w okręgu. Jego pozycja stale rosła. Podczas październikowych negocjacji PO i PiS w sprawie utworzenia wspólnego rządu Jasiński szefował zespołowi PiS do spraw makroekonomicznych i budżetu państwa.

Ma dość oryginalne poglądy jak na ministra skarbu odpowiedzialnego za prywatyzację. – W Polsce prywatyzację prowadzono za szybko, i to nie bardzo służyło interesom gospodarki polskiej – mówił dwa miesiące temu „Gazecie Wyborczej”. Uważa, że nie należy się spieszyć z prywatyzacją, choć tegoroczny budżet zakłada z tego tytułu 5,5 miliarda złotych wpływów. Zapowiadał też utrzymanie państwowej kontroli w najważniejszych spółkach, takich jak KGHM, Orlen, PZU, PKO BP czy PGNiG. Nie jest też entuzjastą szybkiego wprowadzenia w Polsce euro. Przy debacie budżetowej i dyskusji o dofinansowywaniu przez państwo pytał: „Dlaczego stadiony, a nie świątynie?”. Potem tłumaczył, że to tylko żart, ale w budżecie zostało 20 milionów na Świątynię Opatrzności.

Kiedy pierwszy raz nie został ministrem skarbu, choć obstawali za nim bracia Kaczyńscy, nieoficjalnie mówiło się, że to efekt sprzeciwu Kazimierza Marcinkiewicza. Premier miał niespecjalnie cenić Jasińskiego jako ekonomistę, szczególnie za jego zaciętrzewienie przeciwko prywatyzacji. Sam Jasiński też niespecjalnie zabiegał o to stanowisko, bo wołał szefować sejmowej komisji finansów.

Po dymisji Andrzeja Mikosza powróciła jego kandydatura na ministra skarbu. Jednak tygodnie mijały i nic się nie działo. Niespodziewanie PiS wystawił kandydaturę Jasińskiego na członka Krajowej Rady Sądownictwa. To wtedy wyciągnięto mu jego PZPR-owskie korzenie. Podczas głosowania nad kandydatami SLD i Platforma Obywatelska zaczęły się dopytywać o przeszłość Jasińskiego. Naprowadziły je na to informacje od płockich działaczy SLD.

Jasiński na zadane podczas debaty pytania o swoją przeszłość nie odpowiedział. Powstrzymał go Jarosław Kaczyński.

SYLWIA CZUBKOWSKA
WSPÓLPRACA MILENA RACHID CHEHAB

Więcej artykułów o rządzie Marcinkiewicza w wp.pl w serwisie [www.wiadomosci.wp.pl](http://wiadomosci.wp.pl)

VITA

NAJPOPULARNIEJSZY MAGAZYN O ZDROWIU I ZDROWYM STYLU ŻYCIA

VITA MAGAZYN O ZDROWIU

Tablica do kolekcjonowania część 2

SPRAWDŹ, CO ZROBIĆ W PRZYPADKU

TWÓJ DOMOWY PORADNIK MEDYCZNY

Praktyczne wskazówki: jak pomóc sobie i rodzinie

SPOSÓB POSTĘPOWANIA ZALEŻY OD ROZLEGŁOŚCI ORAZ GŁĘBOKOŚCI RANY, CZYLI OD STOPNIA OPARZENIA

TYLKO 3,50 zł (w tym 7% VAT)

NOWA • WIĘKSZA • CIEKAWSZA

VITA MAGAZYN O ZDROWIU

Cholesterol nie jest zły

SPRAWDŹ, CZY NIE MASZ GO ZA MAŁO

ROŚLINNE KURACJE na poprawę pamięci, odporności i nastroju

WYBRALIŚMY DLA CIEBIE

Najlepsze

LEKI, KOSMETYKI, PRODUKTY SPOŻYWCZE

Schudniesz do wiosny

PRZYSPIESZ PRZEMIANĘ MATERII I SPALANIE TŁUSZCZU

NIE DAJ SIĘ ZŁAMAĆ OSTEOPOROZIE

NIEWAŻNE, ILE MASZ LAT, MUSISZ SIĘ BRONIĆ

www.vita.pl

DIETETYKA: prawda o mikrofalówce

PSYCHOLOGIA: inteligencja seksualna mężczyzn

SMACZNIE I ZDROWO: obiad błyskawiczny

Zasady pierwszej pomocy

Co i jak możesz zrobić

WIĘKSZY format

NIŻSZA cena

Już w kioskach!

NIEPOTRZEBNI MOGA NADEJŚĆ

Nazywani są „mafią wrocławską”, choć chyba bardziej pasowałaby do nich nazwa „hurtownicy wrocławscy” – razem w parę lat zrobili tyle filmów, ile cała polska kinematografia w ostatnim ćwierćwieczu. Hurtowo zbierają też nagrody na hurtowo organizowanych w Polsce offowych festiwalach. Gdyby spisać ich wszystkie pomysły, zapewne wyszedłby z tego tom grubości książki telefonicznej (i oczywiście byłaby to tylko pierwsza część). Bracia Dominik i Piotr Matwiejczukowie oraz Bodo Kox w ubiegłym roku zgarnęli wszystko, co było do zgarnięcia w offie, a zwieńczeniem ich sukcesów był festiwal w Gdyni, gdzie w konkursie kina niezależnego dostali nagrody – Dominik za „Ugór”, Piotr za „Homo Father”, a Bodo za role w obu tych filmach.

Off powoli staje się dla nich za ciasny, ale też oni sami czują, że powoli wyrastają z offu jak z krótkich spodenek. Nic więc dziwnego, że przymierzają się do skoku na kinowy mainstream.

– Dobijamy się do bram niebios, wielkiej, cudownej, wspaniałej świątyni sztuki filmowej! – Bodo Kox zrywa się z fotela w swoim wrocławskim domu, a konkretnie w zamieszkiwanej przez niego piwnicy. – Chcemy wyjść z undergroundu, robić filmy mające szansę lecieć w kinie czy w telewizji – dodaje już nieco spokojniej.

ŚMIECHU WARTO

„Bołączka sobotniej nocy”, „Koszmar minionej zimy”, „Marco P i złodzieje rowerów”, „Dzieci w kukurydzy”, „Seks, kłamstwa i takie tam...”, „Uslane trupami”, „Lzi Rajder” – ten przegląd tytułów mówi jasno, że „wrocławska mafia” chodziła do tej samej szkoły co Quentin Tarantino, czyli wypożyczalni kaset wideo, że to pożeracze filmów (Matwiejczukowie nawet umawiają się ze mną pod kinem) oraz że lubuje się w parodiach jak mniej więcej trzy czwarte offowych twórców. Ale żarty Matwiejczuków różnią się od pozostałych sprawnością realizacji, metrażem (wiele z nich trwa grubo ponad godzinę), a przede wszystkim poczuciem humoru. Oto pierwszy z brzegu przykład: „Koszmar minionej zimy”, wariacja na temat horrorów, w której duch przedstawia się jako Józef Tkaczuk, a tajemniczy zabójca okazuje się sfrustrowanym łowcą skór. Gdy ktoś, pukając do drzwi, woła: „Otwierać, policja! Szybko, bo jesteśmy zabiegani!”, przerażony chłopak mówi znajomym: „To nie może być policja, oni nigdy nie są zabiegani!”.

– Naszą bronią jest poczucie humoru – twierdzi Bodo Kox. – A tego właśnie najbardziej brakuje dziś w mainstreamie. Ludzie są zmęczeni Hollywoodem i łódzkim nudziarstwem i my możemy dać im coś zupełnie nowego, wnieść do kina prawdę i świeżość!

Prawdę i świeżość próbowali już przemycić inni niezależni: grupa Sky Piastowskie („Ze życie ma sens”) czy Przemysław Wojcieszek („Zabij ich wszystkich”, „Głośniej od bomb”). Ciekawe, że kiedy Wojcieszek się profesjonalizował, zainteresowanie jego filmami wśród widzów okazało się znikome. Sky Piastowskie też nie poszli za ciosem. Offowa rewolucja zgasła, zanim na dobre się zaczęła. Matwiejczukowie na nowo próbują rozniecić jej ogień.

BEZ OBCIACHU

Ale choć humor jest ich „najlepszą bronią”, wrocławianie mają dość traktowania ich jako „bandy przyglupów, która bawi się w kino”. – Nie chcemy już się bawić, chcemy robić kino – deklaruje Piotr Matwiejczuk. Oznacza to koniec parodii i zajęcie się poważniejszymi sprawami. Gdy słucha się ich pomysłów, włosy dęba stają – bo mało który z uznanych reżyserów porywa się na tematy tak skomplikowane, delikatne tudzież kontrowersyjne. Ale bracia, tak jak szli na całość

Mamy dość zabawy w kino, teraz będziemy robić kino! – deklarują bracia **MATWIEJCZYKOWIE**.

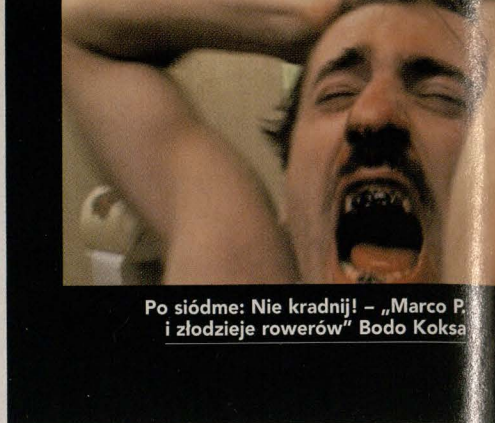
– Ludzie myślą, że chcemy kręcić w piwnicy amatorską kamerą i wołać „uhuhu”. Tak, chcemy, ale na wielką skalę! – wtóruje im **BODO KOX**

Bodo Kox (lat 29, zielona koszula) i Piotr Matwiejczyk (lat 26) gotowi są walczyć o swoje kino. Dominik Matwiejczyk (lat 27, pod ścianą) uważa jednak, że pora wydorosnąć i skończyć z partyzantką





Oto Polska z pierwszego przemiału: Polska ciasnych mieszkań w blokach, mrożonych pierogów i firanek w oknach



Po siódme: Nie kradnij! – „Marco P. i złodzieje rowerów” Bodo Koxa



Babcia offu – Regina Grudzień



Gdy brat bratu jest faszystą – „Ugór” Dominika Matwiejczyka



W domach z betonu jest wolna miłość! „Homo Father” Piotra Matwiejczyka

Fot. BODO FILM, PARADOX FILM, MUFLON PICTURES

rażę. W kinie głównego nurtu (Dominik nie znosi słowa „profesjonalne”, bo sugeruje, że ich filmy profesjonalne nie są) to niemożliwe – droga od pomysłu do dystrybucji często trwa całe lata.

Ale zalet jest więcej – ze względu na permanentny brak funduszy (ich dotychczasowe produkcje kosztują po kilka tysięcy złotych) Matwiejczykowie i Kox filmy kręcą w domach znajomych, przy okazji więc niechętni pokazują kawałek nieprzebranej za nic, gołej w swej banalności, zwyczajności i brzydocie Polski. To Polska z pierwszego przemiału, z ciasnymi mieszkaniami w blokach, regałami, zestawami wypoczynkowymi, mrożonymi pierogami na obiad, firankami, wersalkami, pnącymi się na ścianach kwiatkami, starymi samochodami, smętnymi barami, opustoszałymi wsiami pełnymi pokracznych domów. – To nie jest poniemiecka rudera, tylko rudera z lat 80. – mówi o swoim często grającym w filmach domu na wsi Piotr. Ostatnio stracił pół dnia, żeby przerobić swój pokój na „pokój 10-letniej dziewczynki”. – A „Homo Father” kręciliśmy u Antkowiaka na chacie – dodaje. Dawid Antkowiak to jego stały aktor. Bo jeśli filmy Matwiejczyków różnią się od całej offowej produkcji, to również dzięki aktorom.

CZŁOWIEK BANER

Offowcy obsadzają głównie kumpli z podwórka – swoich rówieśników. Ale Matwiejczykowie i w tym poszli dalej – wylansowali na postać offu swoją babcię Reginę Grudzień. Zagrała w 10 ich filmach, a na ostatnim festiwalu Barejada odebrała nagrodę dla najstarszej aktorki kina niezależnego. Babcia stuknęło już 80 lat i czasem trudno jej zapamiętać rolę, jednak autentyczności i swobody przed kamerą mogłaby jej pozazdrościć niejedna aktorka amatorka. Piotr opowiada, że razem z bratem uczyli babcię aktorstwa, demonstrując jej poszczególne sceny lub tłumacząc: – Babciu, uderz go mocniej, przecież to twój wyrodny syn!

Na Barejadzie Regina Grudzień zachowała się, jak na profesjonalistkę przystało – rozplakała się na scenie, odbierając pluszowego Specjalnego Misia, ale już za kulisami zaczęła wybrzydząć: „Eeeee, tylko tyle? I żadnych pieniędzy?” – śmieje się Piotr.

Największą gwiazdą kina Matwiejczyków jest jednak bez wątplenia Bodo Kox – pierwszy offowy aktor, który w tym środowisku zrobił karierę i zaistniał w masie krewniaków i kolegów przewijających się przez plany offowych produkcji. – Oto twarz offu: przyszcze, krzywe zęby – przed-

stawia się efektownie Bodo Kox, technik handlowiec, poeta, absolwent dziennikarstwa, lider post-punkowej grupy Eviva L'Arte!, która nie zrobiła kariery, bo jej frontman nie umiał śpiewać.

Choć zaistniał dzięki graniu u Matwiejczyków, Bodo Kox podkreśla, że przede wszystkim jest reżyserem. Ma właśnie za sobą premierę pełnometrażowego debiutu – „Sobowtóra” – i z przejęciem czeka na pierwsze reakcje. Bardzo słusznie nazywa siebie „człowiekiem banerem” – trochę dziwakiem, trochę błaznem z charakterystyczną „gębą” i ekstrawagancką fryzurą, a na pewno kimś, kto skłonny jest do wszelkich szaleństw, byle tylko zostać dostrzeżonym. A jak ktoś dostrzeże Koxa, dostrzeże też jego filmy, o co przecież chodzi.

Ostatnie jego szaleństwo to zmiana tożsamości. Udało mu się przekonać urzędy (za nic nie powie

jak), że musi zmienić imię i nazwisko. Z dumą pokazuje mi nowiuteńki dowód osobisty wystawiony na Bodo Koxa i zdecydowanie odmawia powiedzenia, jak nazywał się wcześniej.

NIECH NAS ZOBACZA

Od kiedy Kox wybił się na reżyserską niepodległość, drogi „mafii wrocławskiej” powoli zaczęły się rozchodzić. Założyli firmy producenckie – Bodo Film, Muflon Pictures, Paradox Film – i zamierzają się z nich utrzymywać, tak jak dziś utrzymują się z festiwalowych nagród i sprzedaży filmów do telewizji (kanały Kino Polska i TVP Kultura są dla offu zbawieniem). Matwiejczykowie pisują też scenariusze do seriali i sitcomów, Dominik prowadzi warsztaty filmowe. Na razie Piotr pożyczka więc od Dominika. Z kolei Bodo

(– Nie parałem się pracą zarobkową od 2004 roku!) od mamy i babci.

Najbardziej zdeterminowany do opuszczenia offu jest Dominik. Woli, żeby traktować go poważnie, i nie jest zachwycony szaloną sesją fotograficzną dla „Przekroju”. Piotr deklaruje, że ceni sobie offową wolność. Choć jeśli znajdzie się „dobry wujek z kasą”, z pewnością nią nie pogardzi. Bodo Kox z kolei, jak na baner przystało, chętnie wygłupia się przed obiektywem.

Wygłupy wygłupami, ale wszyscy trzej oczekują, że sportretują ich jak poważnych artystów i ludzi kina, a nie amatorów i wariatów. Problem w tym, że jako wariaci podobają mi się najbardziej.

MAŁGORZATA SADOWSKA

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

w swoich parodiach, tak samo chcą iść na całość jako twórcy dojrzały.

Choć Dominik skończył właśnie komedię, „Krótką historię czasu” (zapewnia, że wiosną zobaczymy ją w kinach), w planach ma opowieść opartą na wydarzeniach sprzed roku, gdy dwaj mężczyźni wyrzucili z pociągu młodą dziewczynę. Nie mówiąc już o historii nawiązującej do dramatu w Jedwabnem. Piotr z kolei pisze scenariusz komedii o... księdzu i prostytutce, którzy zamieniają się osobowościami, na dniach zaś kończy swoją najnowszą produkcję, „Beautiful”, której bohaterowie walczą o dziecko (jedna para je straciła, druga gotowa jest oddać swoje nowo narodzone). Czekają na obiecane pieniądze z firmy Cezarego i Weroniki Pazurów, by zamknąć budżet „Wstydu”, którego tematem jest gwałt.

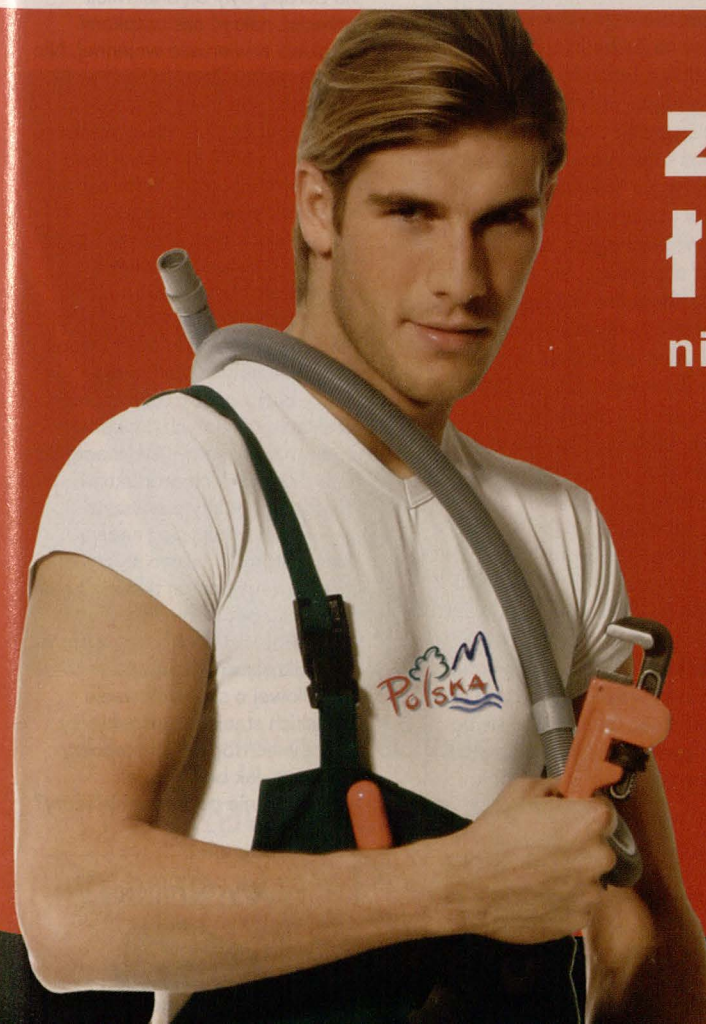
– My nie znamy poczucia obciachu – mówi mi Bodo Kox. I choć ma na myśli tupet w pozyskiwaniu do filmów znanych aktorów (grali u nich Robert Goner, Joanna Szczepkowska, Cezary Pazura, Mateusz Damięcki, czy Krzysztof Globisz), to określenie w ogóle pasuje do tego, jak działa „mafia wrocławska” – całkowicie pozbawiona kompleksów wobec „wielkich”, głęboko przekonana o swoim nieuchronnym sukcesie, pewna, że sprosta każdemu tematowi, i przeświadczona, że na ich filmy czeka dziś polska publiczność. Jeśli istnieje dla nich przeszkoda, są nią wyłącznie pieniądze, niezbędne, by poprawić jakość produkcji. Być może właśnie ów „brak obciachu” sprawia, że filmy „mafii” są straszliwie nierówne.

Krytyk filmowy Michał Chaciński, który był jurorem konkursu kina niezależnego w Gdyni, obserwuje karierę Matwiejczyków (Kox dopiero rozkręca się jako reżyser), jest przekonany, że mainstreamowy sukces braci zależy właśnie od tego, czy „zachowają najważniejsze zalety offu, czyli niepokorność i potrzebę opowiadania o tym, o czym nie mówią inni”. – Bez tego przepadną, bo technicznie i reżysersko ich filmy ustępują na razie produkcjom profesjonalnym – dodaje. – A twórców zachowawczych, za to z dużo lepszym warsztatem mamy w Polsce mnóstwo i nie potrzebujemy więcej. Szczerze mówiąc, nie potrzebujemy nawet tych, których mamy.

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Matwiejczykowie udowodnili, że potrafią sięgnąć tam, gdzie nie sięga wzrok innych. W „Ugorze” Dominik pokazał kawałek rzadko fotografowanej Polski – wieś, w której dwaj bracia wiodą pozbawioną przyszłości egzystencję, całą energię poświęcając na oszukiwanie chorej matki, że gospodarstwo świetnie prosperuje, podczas gdy dawno wszystko wyprzedali. Jego głośna „Krew z nosa” mówiła o chłopaku, który marzy, żeby zostać hiphopowcem i wyrwać się z blokowiska, lecz droga do tego wiedzie przez dilerkę. „Homo Father” Piotra rozgrywa się na blokowisku, ale jego bohaterami nie są blokersi, lecz... geje.

Tak oto Matwiejczykowie zademonstrowali zalety niskobudżetowego kina – może ono reagować błyskawicznie na sprawy, które akurat stają się go-



znajdziesz łatwo, nie tylko hydraulika!

Kiedy w Twoim mieszkaniu pęknie rura, Ty nie pękaj!
Natychmiast sięgnij po Panoramę Firm!
W książce telefonicznej i w wyszukiwarce www.pf.pl
znajdziesz łatwo hydraulika, który poradzi sobie z awarią!

Pamiętaj! W Panoramie Firm znajdziesz łatwo to, czego szukasz!



NAJLEPSZA KSIĄŻKA TELEFONICZNA W POLSCE!



Reklama w Panoramie Firm: 0 801 801 600



Cuda statystyki

Mimo zmian ustrojowych w Polsce cuda towarzyszą nam niezmiennie. Szkoda, że dotyczą tylko statystyki

Statystyczne cuda, czyli życie sobie, a statystyki sobie. I na ile mnie pamięć nie zawodzi, to jak żyję już ponad 50 lat, było tak zawsze. W socjalizmie cuda takie wynosiły nas na 10. pozycję wśród gospodarczych potęg świata. A władza całkiem poważnie tym się szczyliła i narodowi co rusz obwieszczała, jak to daleko jedynie słuszny ustrój nas zaprowadził. Z drugiej strony niskie zarobki, cyklicznie powtarzające się pustki w sklepach, brak wyboru, polowania na odzieżowe i meblowe odrzuty z eksportu, telewizory, pralki i lodówki, później przydziały mięsa, cukru, wyrobów czekoladopodobnych mogły sugerować, że w takim państwie społeczeństwo to jeden wielki obraz nędzy i rozpacz. Ale okazywało się, że jakimś cudem Polak potrafił zadbać o siebie. W konfrontacji z szarzyzną bloków i ulic wyglądał całkiem nie najgorzej, garnków nie wypełniał kartkami, a i mimo reglamentacji cukru jakoś bimbru potrafił napędzić.

Dzisiaj na szczęście do takiej ekwilibrystyki życiowej uciekać się nie trzeba, ale pojawiły się inne problemy i cuda statystyczne pozostały. Bo jak wytłumaczyć to, że ostatnio statystycznie bezrobocie w Polsce wzrosło, a jednocześnie tylko od początku roku ponad sto tysięcy Polaków wyjechało stąd za chlebem? I w sumie już ponad milion osób pracuje poza krajem. Intuicyjnie każdy chyba czuje, że coś tu jest nie tak. Ludzi w wieku produkcyjnym z kraju ubywa, a bezrobotnych przybywa. Statystyki się pewnie nie mylą. One jednak nie uwzględniają tego, że Polak nauczony przez lata, aby jakoś sobie w życiu radzić, przekazał to samo własnym dzieciom, które mimo zmiany ustroju próbują wszystkimi możliwymi sposobami wyjść na swoje. Najbardziej jest więc prawdopodobne, że wielu spośród zarejestrowanych bezrobotnych podejmuje pracę poza Polską, figurując w oficjalnych statystykach jako osoby bez pracy. I w ten sposób, mimo że w rzeczywistości coraz więcej ludzi wyjeżdża, bezrobocie statystycznie na nowo lekko rośnie.

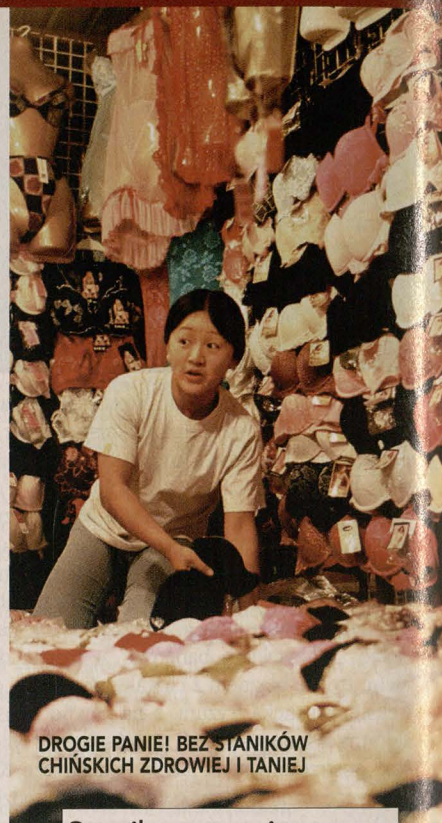
To jest jednak margines w stosunku do innych statystycznych cudów. W Polsce pracuje zaledwie co druga osoba w wieku produkcyjnym. Prawie trzy miliony osób zarejestrowanych jest jako bezrobotni. Ale uwaga! Brakuje rąk do pracy. Problemy ze znalezieniem pracowników – zarówno wykwalifikowanych robotników, jak i inżynierów – ma już 14 procent polskich przedsiębiorców. Braki zgłasza co czwarta firma budowlana i produkująca meble, co trzecia z przemysłu drzewnego i wytwarzającego

sprzęt transportowy. Powód – rozmijanie się kształcenia z potrzebami firm. Ale to tylko jedna strona medalu. Z drugiej strony według badaczy rynku pracy nie jesteśmy dostatecznie pracowici, dyspozycyjni, nie potrafimy wykazać się żadną inicjatywą, nie jesteśmy twórczy ani skłonni do poświęceń. Czyli kandydaci na pracowników może i są, ale nie tacy, jak trzeba. Dodatkowo spośród trzech milionów bezrobotnych około miliona wcale się tym nie przejmuje i nie szuka pracy. Żyją najpierw z zasiłku dla bezrobotnych, potem z zasiłku z pomocy społecznej, a 30–40 procent z nich dorabia na czarno. I w ten sposób nędzy w narodzie gołym okiem jakoś nie widać, chociaż statystyki są przynębiające.

I co dalej? Obawiam się, że szybko zbyt wiele się nie zmieni. Bo nasz rynek pracy to w tej chwili istna kwadratura koła. Polscy pracownicy są tani. To dobrze i źle zarazem. Dobrze, bo niższe koszty pracy dają szansę na większą konkurencyjność w stosunku do droższych pracowników na Zachodzie. Źle, bo niskie płace wcale nie mobilizują ludzi do poszukiwania pracy, przekwalifikowywania, wysiłku, dyspozycyjności, pracowitości i rezygnacji z zasiłków. Dorabiają w szarej strefie i jakoś sobie radzą. Źle, bo osoby bardziej rzutkie, mobilne i z kwalifikacjami nie chcą pracować w Polsce za trzy tysiące złotych brutto, skoro młody inżynier w Niemczech, Irlandii, Islandii może zarobić także trzy tysiące, ale euro, i to na rękę, a jeśli jest bardzo potrzebny, do tego dostanie pieniądze na mieszkanie i sprowadzenie rodziny. Mamy więc dwa wyjścia. Albo radykalnie podnieść płace, by poszukiwani fachowcy poczuli sens pracy we własnym kraju i nie uciekali w świat. Jest to jednak mało prawdopodobne, bo firmy przestałyby być konkurencyjne. Albo otworzyć się na import pracowników ze Wschodu, którzy będą chcieli pracować za niższe stawki. I to jest bardziej prawdopodobne. I w ten sposób będziemy mieli kolejne cuda. Miliony bezrobotnych i oficjalny import zwykłych robotników, ale i fachowców. Nie są to jednak tylko polskie cuda. Tego samego doświadczają Niemcy i inne państwa, gdzie całkiem dobrze radzą sobie tańsi przybysze z nowych krajów unijnych. I cuda takie żyć będą tak długo, jak długo utrzymywać się będą różnice w poziomie rozwoju i poziomie płac. W UE kilkadziesiąt jeszcze lat.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1



DROGIE PANIE! BEZ STANIKÓW
CHIŃSKICH ZDROWIEJ I TANIEJ

Stanikowa wojna

Jak do tej pory wszystkie prognozy dotyczące inwazji Chin na Europę były błędne. Mieli przecież nakryć nas czapkami w jakiejś zawierusze wojennej. Nic z tych rzeczy. Zaczęło się od przykrycia naszych torsów T-shirtami. Za tym poszły chińskie figi, slipy i bokserki okrywające europejskie pupy. A teraz zabrali się do okrywania biustów europejskich pań. Także w Polsce chińskie biustonosze zalewają targowiska. Tani model kosztuje zaledwie 5 złotych. Coś z górnej targowiskowej półki można kupić już za 14 złotych. Za krajowy nieżył biustonosz trzeba zapłacić w sklepie 60 złotych. I właśnie ceną przegrywamy. Ale znamy już słabości chińskich produktów. Nie dość, że przy pierwszym praniu deformują się i nadają na śmietnik, to często są szyte z farbowanej, ostrej tkaniny, która wywołuje podrażnienia skóry. Toteż Polska Izba Bielizny z Łodzi zwróciła się do Inspekcji Handlowej o skontrolowanie chińskich staników. Inspektorzy ruszą więc tropem biustonoszy. Ciekawe, jak będą badali wywoływanie podrażnienia skóry?

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Będą wolne usługi

Związkowcy z różnych państw zaprotestowali się w krajach unijnych przeciwko dyrektywie Duńczyka Fritsa Bolkesteina, byłego komisarza do spraw rynku wewnętrznego w UE, przewidującej otwarcie granic dla swobodnego świadczenia usług. Zachodnie związki zawodowe protestujące pod hasłem „Europa – tak, socjalny dumping – nie” obawiają się, jak zwykle w takich sytuacjach, że rodzime firmy usługowe zostaną wyparte przez tańszych usługodawców z Europy Wschodniej. Dziwne, że nasi także pojechali protestować do Strasburga, po 200 z Solidarności i OPZZ. I co ciekawe, byli to górnicy i nauczyciele, których w żaden sposób dyrektywa nie dotyczy. Parlament Europejski jednak pod naciskami się nie ugiął i dyrektywę przyjął. Gdyby związkowcom udało się zablokować liberalizację usług, wyrządziłby niedźwiedzią przysługę swoim krajom. Przede wszystkim dlatego, że według prognoz nowe prawo pozwoli na stworzenie w UE dodatkowo 600 tysięcy nowych miejsc pracy i przyczyni się do przyspieszenia wzrostu gospodarczego. Także w Polsce, ale przede wszystkim w krajach najwyższej rozwiniętych.

Fałszywe smaki

Masło ekstra wcale nie musi być takie całkiem ekstra. Prawdziwe powinno zawierać 82 procent mlecznego tłuszczu. Tymczasem Inspekcja Handlowa wykryła, że wielu producentów dodaje do takiego masła tanie oleje roślinne, w żaden sposób nie informując o tym konsumentów. Rachunek jest prosty. Kilogram oleju palmowego sprowadzanego najczęściej z Malezji kosztuje w Polsce w hurcie 2,30 zł. Za masło kupione po cenach hurtowych zapłacić trzeba pięć razy więcej. Masło z olejem ma więc w sklepie cenę konkurencyjną i miłośnik prawdziwego masła przy zakupie masła niby-ekstra może się nabrać na ekstraokazję. Takie sztuczki robi się także z masłem śmietankowym, które jest oliwnym, z serami żółtymi i topionymi, które udają gatunkowe. Nawet śmietana nie musi być śmietaną, ale oliwnym miksem. Nie ma więc cen ekstra. Bo to, co naprawdę ekstra, musi najczęściej ekstra kosztować.



KOKOSOWY
INTERES
W... MASEŁKU

FOT. ZEFAL/CORBIS

Wyróżnij się



www.aygo.pl



Jedno z najlepszych biur na ziemi... nie jest na ziemi.

Bezprzewodowy Internet,
zasilanie laptopa
oraz super wygodny fotel

tworzą przyjemną atmosferę do pracy podczas lotu.

Warszawa - Nowy Jork

Business PLN 4 410

Warszawa - Chicago

Business PLN 4 560

Warszawa - Pekin

Business PLN 6 995

Ceny nie zawierają podatków i opłat za wystawienie biletu. Oferta ważna do 31 marca 2006. www.flysas.pl



Scandinavian Airlines

ILE KOSZTUJE DZIECKO
od urodzenia do pełnoletności
(w przeliczeniu na złote)

KANADA
– 495 tysięcy

USA
– 540–840 tysięcy

WIELKA BRYTANIA
– 900 tysięcy

NIEMCY
– wychowanie dwójki dzieci
to 750 tysięcy, a jednego
zaledwie o 20 procent mniej

FRANCJA
– małżeństwo z dzieckiem
do lat 15 wydaje 20–30 procent
więcej niż małżeństwo
bezdzietne, z dzieckiem
od 16 do 25 lat
– 35–40 procent więcej

ILE KOSZTUJE DZIECKO?

Na dzieci wydajemy
znacznie więcej,
niż nam się zdaje.
Warto wiedzieć ile.
Chociaż gdyby dzieci
traktować jako zwykłą
inwestycję, ludzkość
dawno by wyginęła

MARIUSZ KOSIŃSKI

Koszy ponoszone na wychowanie dziecka od urodzenia do 20. roku życia wynoszą od 160 tysięcy do ponad pół miliona złotych – wynika z badań „Rzeczpospolitej”. I nie ma się czemu dziwić, jeśli 76 procent badanych przez CBOS rodziców twierdzi, że dla przyszłości dziecka należy robić wszystko, co tylko jest możliwe, nawet kosztem osobistych wyrzeczeń. W dodatku 59 procent deklaruje, że jeśli to konieczne, będą udzielać pomocy finansowej także dorosłym dzieciom.

– W Polsce po transformacji ustrojowej znacznie wzrosły wymagania państwa wobec rodziny – mówi profesor Ewa Leś, socjolog z Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego.

KOSZT NOWORODKA

- (ceny w złotych)
- Śpioszki 5 sztuk – 60–80
 - Kocyk – 30
 - Pieluchy (tetra, 20 sztuk) – 22
 - Pampersy – 240 miesięcznie
 - Wanienka, gąbka, puder, oliwka – 80
 - Łóżko, materac, pościel – 400
 - Wózek – 450–3000
 - Butelka – 6–25
 - Ściągacz do pokarmu (laktator) – 30
 - Podgrzewacz – 80
 - Termometr – 25–30
 - Smoczek – 5
 - Deska do przewijania – 25
 - Termos do butelek – 20–25
 - Torba na akcesoria – 40–100
 - Ubrania ciepłe i buty – 100–250
 - Zabawki – 50–200
 - Inne – parasol do wózka (35), fotelik do noszenia (140), śliniak (7), becik (15–20), mleko modyfikowane (13), natłuszczający płyn do kąpieli (11), krzeselko do karmienia (100–200)

go. – Dzisiaj sami rodzice skupiają się na zapewnieniu dziecku jak najlepszej przyszłości.

W socjologii proces ten nazywany jest „produkcją dziecka wysokiej jakości”. Wysoka jakość ma jednak odpowiednią cenę.

WYDATKI PRENATALNE

Na forach internetowych rodzice prześcigają się w ustalaniu najniższej możliwej kwoty potrzebnej na wychowanie potomka, a „byłe dzieci” dowodzą, że wcale nie były takie drogie.

W „Wysokich Obcasach” autorka tekstu „Ile kosztuje dziecko” zapewnia, że przez kilka pierwszych miesięcy koszt utrzymania dziecka może wynieść nawet zero złotych – przy założeniu, że używa się tylko pieluch z tetry, karmi dziecko jedynie mlekiem matki, kąpie się je w zwykłej wannie lub umywalce, niemowlak śpi razem z rodzicami, a ubranka i zabawki dziedziaczy po starszym rodzeństwie. Jest to, niestety, teza naciągana, choćby dlatego, że tetrowe pieluchy też trzeba za coś kupić i w czymś uprać. Poza tym podrażniona nima skóra dziecka domagać się będzie smarowania kremem lub oliwką (15 złotych). Wydatków nie da się więc uniknąć, ale w okresie niemowlęcym będą one najmniej dotkliwe dla kieszeni rodziców. Później może być już tylko gorzej.

Zdarzają się pary, które jeszcze przed poczęciem potomka wydają spore sumy na badania,

by się upewnić, że nie nastąpią żadne powikłania. Można na przykład sprawdzić, czy kobieta nie jest uczulona na nasienie mężczyzny, zbadać siebie i partnera na nosicielstwo żółtaczki czy na obecność przeciwciał wirusa cytomegalii. Koszt tego typu badań dochodzi często do kilkuset złotych.

Dla większości wydatki zaczynają się jednak dopiero w okresie ciąży. Co prawda opieka medyczna jest w Polsce bezpłatna, ale wiele kobiet decyduje się na prywatnego ginekologa. – Spotkanie z lekarzem w prywatnym gabinecie trwa około 45 minut, w publicznej przychodni nie przekracza 15 minut – mówi Agnieszka D. z Podlasia.

Lepiej więc zapłacić więcej, by czuć się pewniej, tym bardziej że personel na sali porodowej traktuje takie panie zupełnie inaczej. – Wtedy jestem „pacjentką pana doktora”, a nie położnicą – mówi Ania Łupieska z Białegostoku – a to jest naprawdę odczuwalna różnica.

Wizyta w prywatnej przychodni kosztuje około 50–80 złotych, w dużych miastach u lekarza ze stopniem profesora nawet 200 złotych. Przeciętnie przy ciąży bez powikłań takich wizyt jest osiem.

Żeby czuć się jeszcze pewniej, przyszłe matki robią też badania USG (100–150 złotych). Do tego dochodzą wydatki na ubrania ciążowe (300–400 złotych), kosmetyki, w tym niezbędne (zdaniem ich producentów) kremy na rozstępy (100–150 złotych), jedzenie (w czasie ciąży zapotrzebowanie na jedzenie zwiększa się o 30 procent), witaminy, smakołyki. Nieunikniona okazuje się szkoła rodzenia. Dwumiesięczny kurs dla dwojga kosztuje od 100 do 600 złotych.

Poród może nic nie kosztować, ale jeśli kobiecie zależy na odrobinie luksusu, to za osobną salę porodową, stałą asystę lekarza, indywidualną położną, obecność męża, jednoosobowy pokój, znieczulenie i ewentualnie cesarskie cięcie może w prywatnej klinice zapłacić nawet kilka tysięcy złotych.



Fot. CAMERA PRESS/BULLS

BEZCENNY PIERWORODNY

Fantazję w zakupach niemowlęcej wyprawki ograniczają tylko dochody przyszłych rodziców. Jedni kupują więc wózek za trzy tysiące złotych

SZKOŁA TO ZA MAŁO

Na płatne zajęcia dla dziecka decyduje się połowa rodziców o dochodach powyżej 500 złotych na głowę, mieszkających w dużych miastach i mających co najmniej średnie wykształcenie oraz mniej niż jedna piąta rodziców mających wykształcenie podstawowe, mieszkających na wsi, o dochodach poniżej 300 złotych na osobę i mających na utrzymaniu troje lub więcej dzieci w wieku szkolnym. Dzieci bezrobotnych nie korzystają z żadnych zajęć dodatkowych.

Wydatki na dodatkowe zajęcia dziecka w wieku szkolnym (do średniej wliczono tylko dzieci korzystające z zajęć):

- 2005 – 251 zł
- 2004 – 219 zł
- 2002 – 185 zł
- 2000 – 170 zł
- 1999 – 143 zł
- 1998 – 223 zł
- 1997 – 123 zł

Badanie CBOS „Wydatki rodziców na edukację uczniów w roku szkolnym 2005/2006”

i łóżeczko z baldachimem, inni (w skrajnych przypadkach) uzyskują łóżeczko z wózka skradzionego z supermarketu. – Tylko kółeczka trzeba oderwać, żeby maluch nie odjechał – rzadził znajomym pomysływo bezrobotny z podlaskiego miasteczka.

Niektórzy wydają na wyprawkę pięć–sześć tysięcy złotych, innym z powodzeniem wystarczy rządowe becikowe. Warto też pamiętać, że pierwsze dziecko zawsze kosztuje najwięcej. Drugie może już nosić ubranka po starszym rodzeństwie, jeździć w wózku ze spadku i patrzeć na te same zabawki, które wcześniej dyndały nad łóżeczkiem braciszka. Pierworodny zresztą zwykle ma lepiej niż jego następcy. Na nim rodzice skupiają całą uwagę, wylapują pierwszy uśmiech, pierwsze słowo. Zawsze jest wyjątkowy i cudowny, toteż nie żałują pieniędzy.

A potrzeba ich coraz więcej. W jadłospisie oprócz mleka matki pojawiają się soczki, serki, zupki, przeciery owocowe. Do tego dochodzą ubrania, z których dziecko złośliwie szybko wyrasta. Zdziwi się każdy, kto myśli, że ceny ubrań dla malucha są proporcjonalne do jego wzrostu. Zasada: nieduże dziecko – nieduża cena, tutaj, niestety, się nie sprawdza. Spodnie (40–90 złotych), koszulka (15–20), bluza (20–60), kurteczka (70–100) – to zaledwie podstawa, dodajmy do tego buty za minimum kilkadziesiąt złotych, czapkę (30), ewentualnie sweterek (około 50) i może jeszcze piżamkę (40), a nasz portfel stanie się przy kasie lżejszy o jakieś 300–400 złotych.

– Zobacz – mówi Magda G. z Warszawy – ostatnio kupiłam dziecku buty za 120 złotych, a sobie za 30. Ja w moich pochodzę może ze dwa lata, a jego za pół roku będą już za małe.

Oszczędne mamy kupują dziecku ubranka o numer za duże, po czym podszywają nogawki i rękawy, które po jakimś czasie można odłożyć.

Kiedy dziecko kończy cztery miesiące, matce kończy się urlop macierzyński. Szczęśliwi są ci, którzy mogą powierzyć dziecko babci, co jest rozwiązaniem bezpiecznym, oszczędnym, a czasem nawet korzystnym finansowo (wzorowa babcia z przyjemnością nakarmi wnuka tym, co sama kupi i ugotuje). Pozostali rozpoczynają gorączkowe poszukiwania żłobka (od około

200 złotych miesięcznie) lub niani (od 4 do 9 złotych za godzinę).

KUP MI TO!

Przedszkole to czas uważany przez rodziców za początek kariery naukowej lub zawodowej ich pociechy. A że nauka – rzecz święta, trzeba dać małemu jak największe szanse rozwoju. Dziecko w wersji luksus trafi do przedszkola prywatnego, gdzie czesne wynosi około 700 złotych miesięcznie plus zajęcia dodatkowe. Można też wybrać przedszkole francuskie za 3700 euro rocznie bez posiłków.

– Moją Wiki – mówi Marlena K., doktor ekonomii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu – zapisałam z mężem do prywatnego przedszkola głównie dlatego, że miała tam więcej ciekawych zajęć. Mogła się uczyć języków, chodzić na lekcje tańca oraz gry na instrumentach. Prywatne przedszkole daje jej o wiele większe możliwości rozwoju niż publiczne.

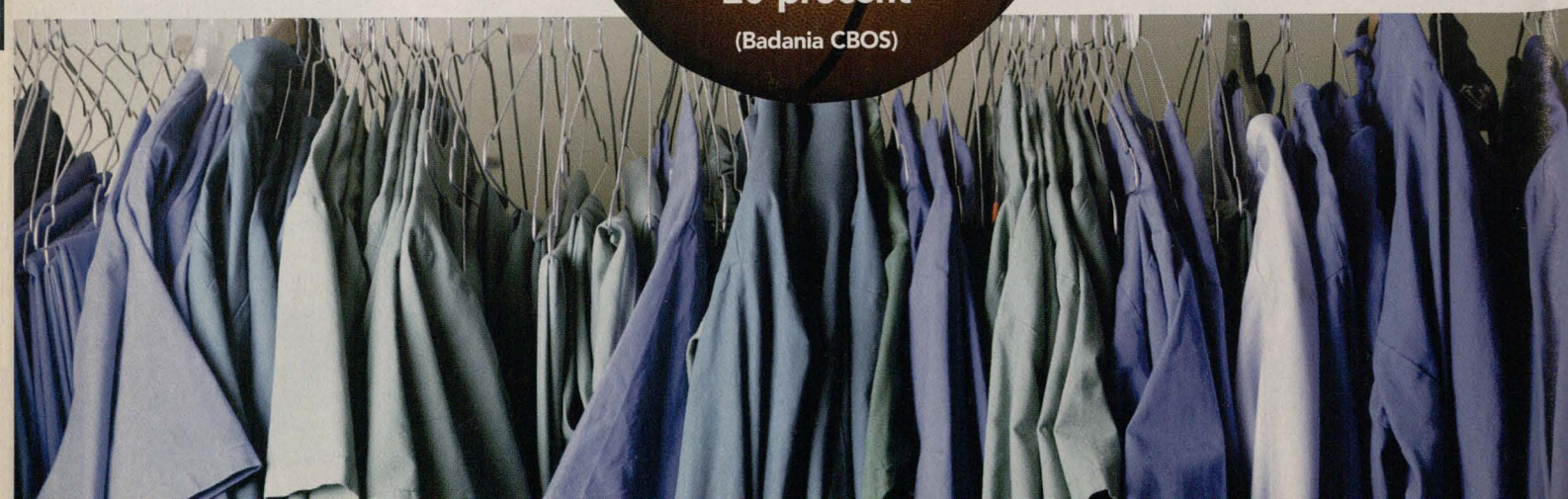
Publiczne za to kosztuje nie więcej niż 200 złotych miesięcznie i zapewnia dziecku przynajmniej podstawową opiekę.

Okres przedszkolny kończy etap, w którym o wydatkach na dziecko decydowali tylko rodzice. W kwestie finansowej coraz częściej wtrąca się piskliwy głosik: – Mamo, kup mi tooo! Dzięki reklamom dziecko już od szóstego roku życia staje się konsumentem. Jego wyobraźnia – a przez nią portfel rodziców – stara się zawładnąć rynek.

Zaczyna się od zabawek, potem przychodzi czas na elektroniczne gadżety, gry komputerowe i wreszcie modę. W podstawówce metkowe szaleństwo panuje niepodzielnie. Dziecko musi mieć markową bluzę, oryginalne buty i spodnie, bo przecież „wszyscy je noszą”. Po miesiącu ciuch przestaje być trendy i trzeba kupić nowy. W sklepie trudno jest przejść z maluchem obok półek ze spidermanami, batmanami czy jakimiś megamanami bez irytującego ciągnięcia za spodnie albo spódnice. Prawdziwy horror zaczyna się, gdy dziecko odkryje McDonald’s. Wtedy każde wyjście na miasto wiąże się z wydatkiem kilkudziesięciu złotych.

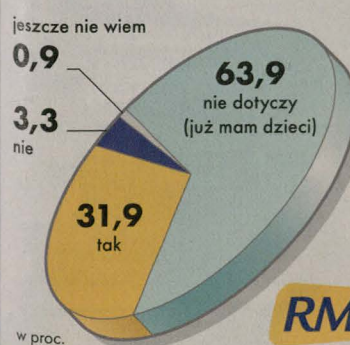


95 procent Polaków jest zadowolonych ze swoich dzieci, z małżeństwa – 86 procent, a z dochodów już zaledwie 20 procent
(Badania CBOS)

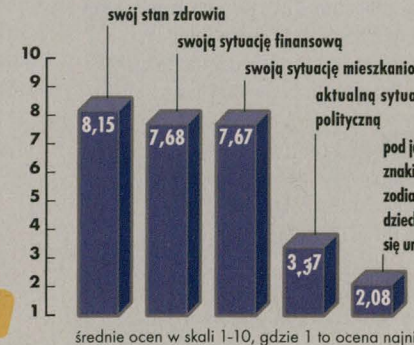


Rodzicielstwo zaplanowane

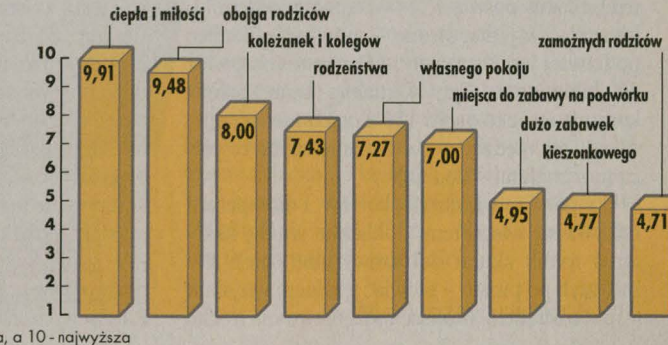
Czy chciał(a)by mieć Pan(i) dzieci?



Planując dzieci, należy wziąć pod uwagę:



Dziecko potrzebuje do szczęścia:



Badanie przeprowadzone na 300 pełnoletnich Polakach.

– Gdy urodziła się nam pierwsza córeczka – opowiada Robert K., mieszkaniec Torunia – zarzekaliśmy się z żoną, że nigdy nie kupimy jej Barbie. Ale... – uśmiecha się – jest dopiero w przedszkolu, a już udało się jej wymusić na nas kilka lalek Barbie, a cały pokój ma za-gracony zabawkami z McDonald's.

Raz w roku wypada urządzić urodziny i dzieciom często wydaje się, że najlepiej to zrobić właśnie w McDonalddie. Według cennika taki kinderbal kosztuje około 150 złotych, po przyjęciu okazuje się jednak zwykle, że trzeba wysupłać dwa razy więcej.

WIECZNE ZIELONA SZKOŁA

Mieszkańcy wsi często narzekają, że nie mają takich możliwości wychowania dziecka, jakie mogłyby mieć w mieście. Zazdroszczą lepszych szkół, czasami nawet wydzielonych placów zabaw, bo na wsi placem zabaw jest podwórze naszpikowane zazwyczaj niebezpiecznymi maszynami rolniczymi. Tylko fast foodów nie zazdroszczą, przeciwnie, cieszą się, że coś takiego nigdy nie będzie pochłaniać ich ciężko zarobionych pieniędzy. Ich dzieci nie chadzają też na wagary do centrów handlowych, gdzie czas i pieniądze tak przyjemnie upływają.

Wychowanie dziecka na wsi wydaje się o wiele tańsze niż w mieście. Rodzice nie muszą się martwić o wakacje czy zielone szkoły (w końcu wszystko wokół jest wielkim ośrodkiem agroturystycznym), więc zostaje im w kieszeni około tysiąca złotych. Nie potrzebują też niani, a żłobka ani przedszkola w promieniu kilkunastu kilometrów raczej się tam nie uświadczą.

Schody zaczynają się, gdy dziecko kończy siedem lat. Wielu mieszkańców wsi (szczególnie większych) obawia się, że niski poziom wiejskiej szkoły utrudni przysłą naukę w liceum albo technikum. Pragnąc zapewnić dzieciom dodatkowe zajęcia, muszą brać pod uwagę nie tylko ich cenę, ale również koszt dojazdu oraz czas, jaki trzeba na to poświęcić. – Wożę syna siedem kilometrów w jedną stronę – mówi mieszkaniec podlaskiej wsi Ostrożany. – Dziennie robię więc 28 kilometrów. Przy aktualnej cenie paliwa kosztuje mnie to około 150 złotych miesięcznie. Ale to i tak niedużo w porównaniu z tym, co płacą moi znajomi – dodaje.

Co gorsza, większość kursów i korepetycji odbywa się wieczorem, dokładnie wtedy, kiedy tatuś rolnik akurat doi krowy albo ścieli słomę, czyli po prostu – mówiąc językiem wiejskim – robi obrządek. Młodsze rodzeństwo ma trochę

łatwiej, bo zawsze jest szansa, że zlituje się nad nim starszy brat, który po wytargowaniu od rodziców 1200 złotych szczęśliwie zdał egzamin na prawo jazdy.

NIENASYCONE

Dziecko luksusowe idzie do szkoły prywatnej lub przynajmniej społecznej, gdzie czesne wynosi średnio około tysiąca złotych miesięcznie. Ale nawet standardowa wersja wychowania, czyli ta ze szkoły publicznej, nie jest całkiem darmowa. Podręczniki, zeszyty, opłaty na komitet rodzicielski, kaptcie, worek, tornister i strój na WF to minimum 400–500 złotych.

W dziecku należy rozwijać zdolności i zainteresowania. Zachęcając je do gry w piłkę, trzeba jednak automatycznie zarezerwować sumę na odkupienie sąsiadowi szyby, zapisując je na naukę gry na pianinie, trzeba się liczyć z tym, że dziecko musi też ćwiczyć na czymś w domu, kurs tańca wymaga odpowiednich butów i stroju, a lekcje angielskiego – drogich podręczników. Jeden wydatek pociąga za sobą serię następnych.

Im starsze dziecko, tym więcej pieniędzy pochłania jego edukacja. Dodatkowe lekcje (20–40 złotych za godzinę), kursy językowe (700–2000 złotych w zależności od szkoły, wielkości grupy i liczby godzin lekcyjnych), korepetycje (200–300 złotych miesięcznie), wycieczki (około 600 złotych rocznie i więcej), kolonie (600–800 złotych), obozy językowe (ponad 1000 złotych).

Można liczyć, że komputer z dostępem do Internetu – sprzęt coraz bardziej niezbędny w edukacji – dziecko dostanie w prezencie od dziadków, ale raczej należy ten wydatek rzędu trzech tysięcy złotych uwzględnić we własnym budżecie. I wreszcie przychodzi moment, gdy maluch staje przed rodzicami, przypomina, jak bardzo ich kocha i jak bardzo oni kochają jego, po czym mówi, że wszyscy jego znajomi już mają kieszonkowe, a on jeszcze nie i nie wie dlaczego. Po kilku miesiącach prosi o podwyżkę. W wieku 11–15 lat dziecko pochłania już ponad 50 procent dochodów rodziców. I ciągle mu mało.

AMBITNI, NIE ROZRZUTNI

Kulminacją wydatków jest liceum. A ostatni rok szkoły należy do najdroższych w całej edukacji dziecka. – Uczyłam się w liceum w Białymstoku – wspomina Ewa N. – W maturalnej klasie chodziłam na korepetycje z angielskiego (280 złotych miesięcznie przez 10 miesięcy), około 500 złotych wydawałam na wycieczki, kino, teatr, za stancję płaciłam 120 złotych miesięcznie, 81 za bilety PKS, 27 za bilet miejski, 200 przeznaczalam miesięcznie na jedzenie, ale dużo przywoziłam też z domu. Najwięcej poszło na książki, bo około 400 złotych, no i 60 złotych miesięcznie na Internet, który w liceum jest przecież dosyć potrzebny. Do tego dochodzą koszty balu maturalnego (suknia, buty, fryzjer, makijaż, składka na lokal, kasety, DVD, zdjęcia – w sumie prawie 1000 złotych), a co tydzień dostawałam też 50 złotych na własne wydatki. Razem wychodzi z tego niezła suma, a warto do-

Studentka I roku prawa. Nie byłam rozrzutna, ale ambitna. Dlatego 90 procent dochodu, jaki zostawał moim rodzicom po opłaceniu podatków i rachunków, szło na mnie



dać, że mam jeszcze pięcioro rodzeństwa. Troje z nich studiuje, młodsza siostra jest w gimnazjum, a najmłodsza w trzeciej klasie podstawówki. Przeraża mnie czasami, kiedy myślę, ile pieniędzy wydają na nas rodzice – dodaje.

– 90 procent dochodu, jaki zostawał moim rodzicom po opłaceniu podatków i rachunków, szło na mnie – przyznaje Michalina S., obecnie studentka pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim i pierwszego roku historii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – Koszt dziecka – uważa Michalina – zależy od jego ambicji. Bo jak ktoś nie jest ambitny, to niczego nie potrzebuje. Ja chodziłam na korepetycje, na dodatkowe zajęcia, naukę gry na pianinie, na flecie, na basen, jeździłam na obozy i kursy językowe, na edukacyjne wycieczki. Dlatego byłam dla rodziców kosztownym dzieckiem, nie z powodu mojej rozrzutności.

Ważniejszy jednak od ambicji dziecka jest stopień zamożności rodziców. Z badań opinii publicznej wynika, że o tym, czy rodzice zapisują dziecko na dodatkowe lekcje, kursy językowe, zajęcia sportowe, decydują: położenie materialne i społeczne rodziny, liczba dzieci w wieku szkolnym na utrzymaniu oraz wielkość miejscowości, w której mieszkają.

UPARCI W DAWANIU

Koniec liceum to dla młodego człowieka starcie ambicji z finansowymi możliwościami rodziców. Wielu przeżywa załamanie, ponieważ rodzice nie mają pieniędzy, by opłacić studia. Zdarza się też, że sytuacja materialna doszczętnie niszczy ambicje dziecka.

– Moim marzeniem były studia w Warszawie – mówi Marcin K., mieszkaniec małego miasteczka na Podlasiu, obecnie student Uniwersytetu Warszawskiego. – Wiedziałem jednak, że bez kursu przygotowawczego nie mam szans się dostać, a znając sytuację finansową rodziców, nie chciałem ich narażać na taki koszt (około 700–1000 złotych). Powiedziałem, że nie będę studiował. Rodzice się jednak uparli i pożyczili pieniądze z banku. W trakcie egzaminu ciągle myślałem, że jeśli nie zdam, to one się zmarnują. To była tak wielka presja, że niemal mnie sparaliżowała.

Studia często oznaczają jednak dla rodziców upragnione zmniejszenie wydatków. Jeśli dziecko dostanie się na państwową, bezpłatną uczelnię, jest w stanie żyć za około 600–700 złotych miesięcznie. Ale nawet ci, którzy podejmują studia płatne, w dużej mierze sami decydują, w jakim stopniu będą nadal oskubywać rodziców. Mogą się starać o stypendium naukowe lub socjalne. Wielu studentów podejmuje pracę dorywczą i często już na trzecim roku są w stanie utrzymać się samodzielnie.

ZJADACZE ZDROWIA

Dyskusje na temat wychowania dzieci często dziś zawężają się do kwestii finansowej. Przyczynił się do tego głównie spór o becikowe oraz modny trend wychowywania ma-

MIESIĘCZNY KOSZT STUDENTA

- akademik, stancja – 200–400
- bilet miejski – 25–40
- bilety do domu (PKS, PKP) – około 100
- obiady w stołówce – 150
- śniadania i kolacje samodzielnie – około 150
- ksero, notatki, podręczniki – 100–200 (i więcej – na semestr)
- dostęp do Internetu – 30–60
- koncerty, kino, teatr, wystawy – około 50
- kluby – 20–30 za wejściówkę,
- kursy językowe – 700–2000 (za cały kurs)
- alkohol – około 50, chociaż często zdarza się, że nawet 500
- narkotyki (bardzo popularne), głównie marihuana – jeśli ktoś używa niezbyt często – do 100
- kosmetyki (wersja oszczędna – raczej męska) – 30–50

DZIECI A UBÓSTWO

- W sferze ubóstwa żyje w Polsce:
- 3 procent małżeństw bezdzietnych
 - 3,5 procent z jednym dzieckiem
 - 16 procent z dwójką dzieci
 - 40 procent małżeństw z trojgiem i więcej dzieci
- (Diagnoza społeczna 2005)

łych yuppie. Wielu uważa, że dobrze wychować dziecko to znaczy zarabiać mnóstwo pieniędzy, by zapewnić mu wszystko, czego będzie chciał. Ale dzieci to nie tylko wydatki, rachunki, koszty, pożyczki.

Grzesiek C., lat 14, korzystając z nieobecności rodziców, „pożyczył” od nich samochód, poloneza caro. Wcześniej jeździł traktorem, więc siada za kierownicą z przekonaniem, że jest naprawdę dobrym kierowcą. Już na pierwszym zakręcie samochód wpada w poślizg i przeskakuje

przez rów, żeby zatrzymać się na polu. Połamane zderzaki, pogięte felgi, wybite reflektory, zniszczone zawieszanie. Straty – 3,5 tysiąca złotych. Grzesiek odprowadza rozsypujący się samochód na podwórko i gorączkowo rozmyśla, jak ocalić skórę. Pisze na kartce: „Wiem, że was zawiodłem, jestem złym dzieckiem, przepraszam. Nie chcę was dłużej męczyć, uciekam z domu. Żegnajcie”. Bierze cztery kanapki z masłem orzechowym i ucieka na strych.

Dwie godziny później wracają rodzice Grzesika. Na podwórzu widzą rozbity samochód. Zaniepokojeni wbiegają do domu. Czytają kartkę. Dzwonią na policję. Po chwili po karetkę, bo ojciec Grzeska źle się poczuł – zawał. Matka do dzisiaj bierze leki na nerwicę.

I PO CO TO WSZYSTKO?

Można pokusić się o tezę, że wysokość przyrostu naturalnego jest funkcją skomercjalizowania społeczeństwa. W społeczeństwie, którym rządzi rynek, ludzie decydujący się zostać rodzicami wydają się szaleńcami pozbawionymi instynktu samozachowawczego. Dziecko sprowadzone do kategorii ekonomicznych jest po prostu długoterminową inwestycją niesłychanie wysokiego ryzyka. Pochłania pieniądze, które raczej nigdy się nie zwrócą. Naraża właścicieli – rodziców – na nieprzewidziane wydatki oraz utratę zdrowia fizycznego i psychicznego. Te liczne dzieci, które jeszcze się rodzą, są wyłącznie efektem niezwykle małych kosztów początkowych, połączonych w dodatku z przyjemnością. Ale ten, kto potrafi myśleć biznesowo, z pewnością zdoła przewidzieć dalszy ciąg i zaplanować nad fizjologią.

Z drugiej strony państwu, a także rynkowi zależy – również z powodów ekonomicznych – żeby dzieci było więcej. Państwo byłoby wtedy liczniejsze, a więc silniejsze, a dla rynku każde nowe dziecko to nowy, obiecujący konsument.

Obecne wysiłki władzy, żeby powstrzymać niekorzystny trend gwałtownego zmniejszania się przyrostu naturalnego, sprowadzają się wyłącznie do pomocy materialnej – zresztą, jak powyżej wykazano, w dość nieadekwatnej wysokości – więc nie nakłonią żadnego racjonalnie myślącego biznesmena (a dzisiaj biznesmenem jest niemal każdy) do zainwestowania w dziecko.

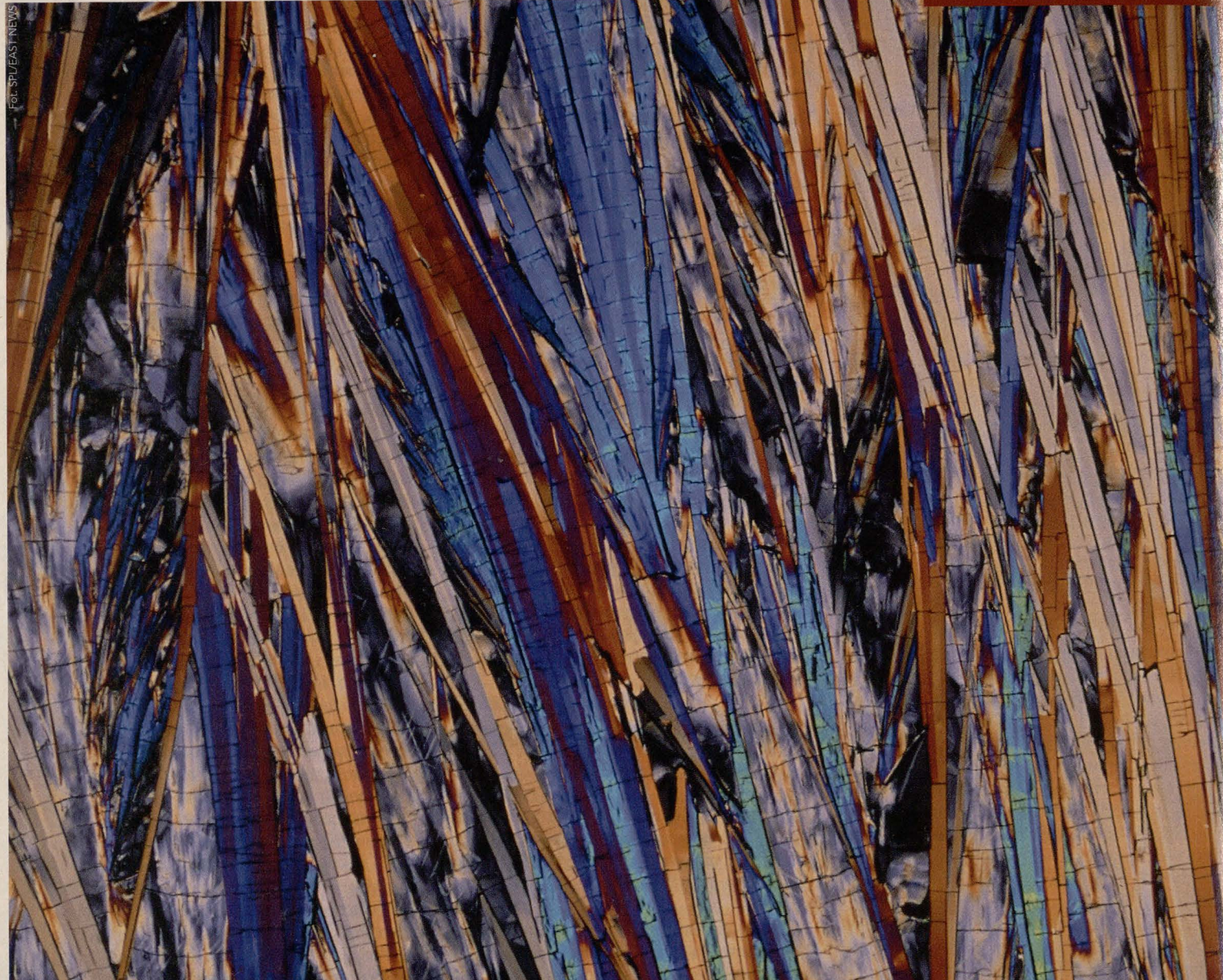
Bo w tym wszystkim w ogóle nie o to chodzi.

Rozpatrywanie dziecka w kategoriach kosztów, materialnych czy niematerialnych, zysków i start nie ma najmniejszego sensu. Dziecko bowiem – mądre czy głupie, dobre czy złe, zdrowe czy chore – nie jest towarem ani nawet produktem. – Jestem w ciąży – martwi się Basia, matka dwóch synów. – Czy jak się urodzi trzecie dziecko, to będę ich mniej kochać? – pyta, patrząc na rozrabiających chłopców. Po chwili się rozchmurza: – Nie! Kolejne dziecko to kolejna porcja miłości!

MARIUSZ KOSIŃSKI



Fot. SP/ISTOCK/NEWS



KRYZTAŁY CHOLESTEROLU SFOTOGRAFOWANE W ŚWIETLE SPOLARYZOWANYM

Dwie twarze cholesterolu

Cholesterol w organizmie może być transportowany w dwóch postaciach. Pierwsza, LDL, wyprowadza go z wątroby do komórek. Druga, HDL, przynosi jego nadmiar z powrotem do wątroby.



SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY:
Poziom LDL powyżej 155 mg/dl

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY:
Poziom HDL poniżej 40 mg/dl

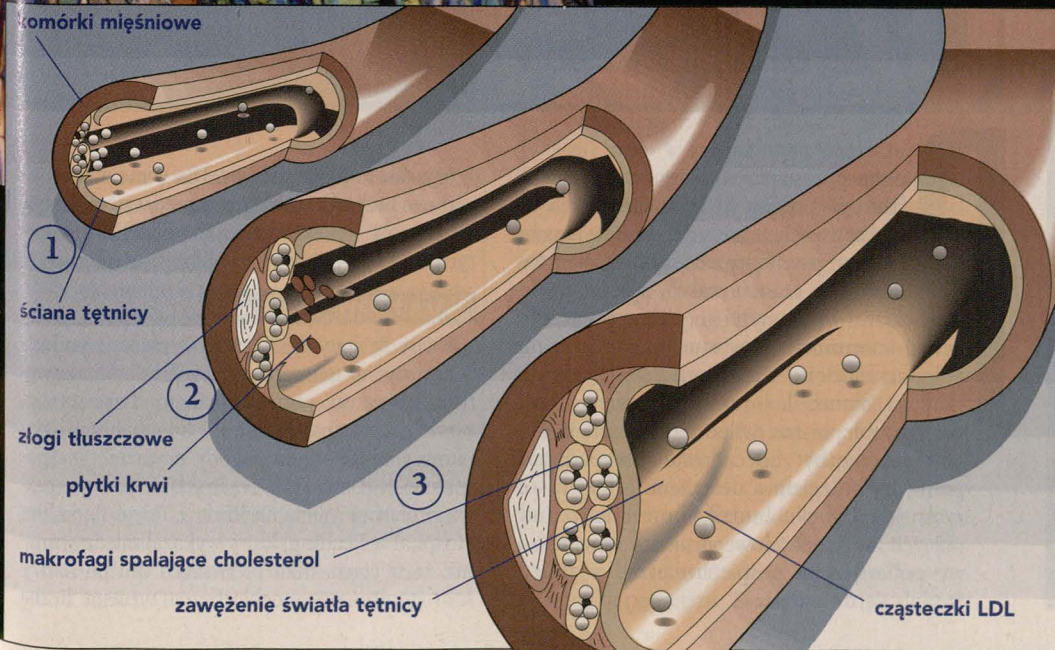
ZRÓDŁO: U.S. National Cholesterol Education Program, Textbook of Medical Physiology

Rys. KRT/BULLS

Cholesterol to organiczny związek z grupy lipidów, który występuje w niemal wszystkich organizmach żywych. U wszystkich zwierząt jego pochodne obecne są w błonie każdej komórki organizmu, a sam cholesterol wykorzystywany jest do tworzenia mnostwa bardzo ważnych cząstek z hormonami płciowymi na czele. W dodatku jego kryształy sfotografowane w świetle spolaryzowanym wyglądają, jak widać po lewej, naprawdę przepięknie. Dlaczego zatem mielibyśmy się go bać? Chodzi o niebezpieczeństwo powstawania złożeń zatykających tętnice. Zbyt wysoki poziom tzw. złego cholesterolu sprawia, że na ścianach naczyń krwionośnych tworzą się struktury zamykające ich światło. Efekt? Zatkanie tętnic wieńcowych doprowadzających krew do serca kończące się zawałem. Najlepszym sposobem na uniknięcie takich kłopotów jest ograniczenie w diecie ilości tłuszczów zwierzęcych i zastąpienie ich oliwą, margaryną, tłuszczem rybind.

Wszyscy boimy się cholesterolu, choć tak naprawdę mało kto wie, czym on jest i czemu właściwie powinniśmy uważać

CHOLESTEROL DOBRY CZY ZŁY?

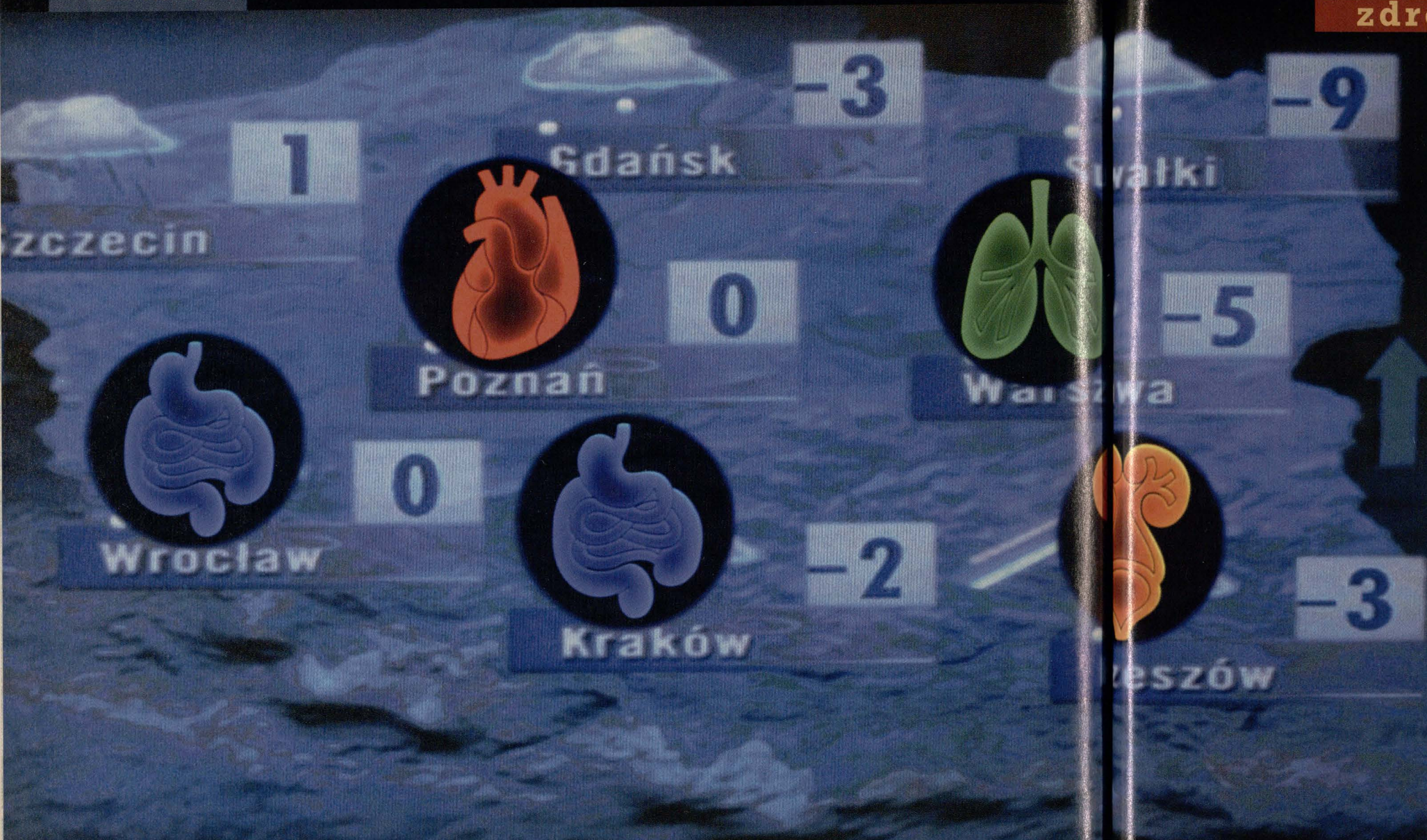


Gdy tętnica się zapycha

Cholesterol jest przenoszony we krwi w dwóch postaciach. Ta zła, LDL, powoduje odkładanie się w tętnicach złożeń.

- 1 Proces rozpoczyna się, gdy zbyt duże stężenie LDL powoduje wytrącanie się cholesterolu i osadzenie go na ścianach naczyń.
- 2 Odkładający się cholesterol uszkadza ścianę tętnicy i jest atakowany przez makrofagi, które spalają go, przekształcając w tłuszcz. Na ścianie narastają złogi.
- 3 Osadzające się w uszkodzonym miejscu płytki krwi powodują rozrost komórek mięśniowych otaczających tętnicę. Tworzy się płytka miażdżycowa zawężająca tętnicę.

Rys. KRT/BULLS



zdrowie

PROGNOZA CHOROBY

Szczegółowe badania nad związkiem pogody z naszym zdrowiem pozwolą zapobiegać atakom astmy, udarom, a nawet zawałom serca

OLGA WOŹNIAK

Polska pozostanie w zasięgu niekorzystnej biotropii pogody. U osób wrażliwych na oddziaływanie pogody przejawia się to osłabieniem psychofizycznej sprawności i wydłużonym czasem reakcji, a także nasileniem objawów bólowych i gorszym nastrojem".
 Taki komunikat Instytutu Meteorologii nie polepsza humoru. Niebo ugina się pod grubą warstwą chmur koloru burej szmaty, a na dworze oblepia nas wilgotna substancja stanowiąca niezbyt zdecydowaną wypadkową pomiędzy śniegiem a deszczem. Mimo historycznego dźwięku budzika, przebojów dudniących z samochodowego radia i mocnej kawy połkniętej w pośpiechu przed wyjściem trudno się dobudzić.

Kto tak ma? Szczęśliwcy. Dla wielu z nas pogodowe huśtawki znaczą znacznie więcej niż tylko senność i pogorszenie nastroju. Dla niektórych to wręcz sprawa życia albo śmierci.

System czuwa

Kiedy ze statystyk zaczęło wyraźnie wynikać, że zmiany w temperaturze, wilgotności powietrza, ciśnieniu atmosferycznym związane są z większą liczbą zgonów i hospitalizacji, naukowcy wzięli się do pogody poważnie. Najpoważniej chyba w Wielkiej Brytanii. A to za sprawą profesora Williama Birda z Royal Berkshire Hospital w Reading, który wykazał między innymi, że w ciągu kilku pierwszych dni po nadejściu gwałtownego ochłodzenia wzrasta liczba

ataków serca i udarów mózgu. To według jego pomysłu stworzono specjalny serwis opracowywany przez meteorologów i lekarzy. Opisuje go tygodnik „New Scientist”.
 Dzięki niemu szpitale i przychodnie dowiadują się z wyprzedzeniem na przykład o możliwości wystąpienia większej liczby zawałów. Mogą przygotować odpowiednią liczbę sprzętu reanimacyjnego czy dodatkowe zespoły ratownicze.
 Już nikt nie będzie tu zaskoczony – jak niemal 11 lat temu – masowymi atakami astmy, które wywołała burzowa pogoda. Tysiące osób znalazły się w szpitalach, które nie były na to przygotowane.
 System o nazwie Forecasting the Nation's Health (Prognozowanie Zdrowia Narodo-

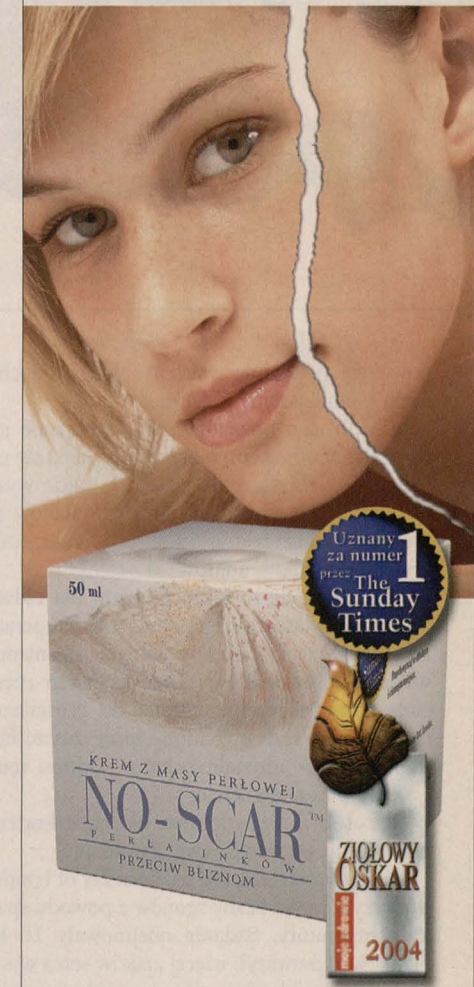
Fot. KUBA DĄBROWSKI, BEB.W. DZIĘKUJEMY TELEWIZJI TVN METEO ZA POMOC W WYKONANIU ZDJĘCIA

Serce i oddech

O słuszności działań brytyjskich meteorologów świadczą wyniki badań naukowych. W 1997 roku w prestiżowym medycznym piśmie „Lancet” opublikowano badania grupy europejskich naukowców pokazujące, jak spadek temperatury wpływa na nasze zdrowie zależnie od miejsca zamieszkania.
 Okazało się na przykład, że w Londynie każdy stopień poniżej 18 stopni Celsjusza powoduje o 1,4 procent większą śmiertelność, ale w przyzwyczajonej do zimna Finlandii tylko o 0,2 procent. Jaka jest przyczyna tych zgonów?
 Winą za połowę z nich należy obarczyć problemy z oddychaniem. Gdy temperatura spada poniżej 19 stopni Celsjusza, błony śluzowe w naszym nosie produkują mniej śluzu i nos staje się przez to znacznie mniej efektywny w przechwytywaniu zarazków unoszących się w powietrzu. Dodatkowo zimne

wego) działa od 2001 roku. Nadzoruje go brytyjski instytut meteorologii.
Pomogło na płuca
 Zaczęło się od pilotażowego sprawdzenia, jak zawirowania pogody przekładają się na zaostrenie objawów przewlekłej obturacyjnej choroby płuc (POChP). Ta choroba jest jednym z najważniejszych problemów zdrowotnych.
 Rocznie z jej powodu umiera na świecie 2,7 miliona osób (w Polsce 15 tysięcy). Istotą POChP jest utrudniające oddychanie zwężenie oskrzeli związane ze stanem zapalnym. Objawy to kaszel, odkrztuszanie plwociny i duszność wysiłkowa. Najczęstszą przyczyną POChP jest palenie papierosów lub bierno wdychanie dymu.
 Okazuje się, że objawy choroby nasilają się około 12. dnia po nagłym spadku temperatury. Sytuację pogarsza wysoka wilgotność, mała prędkość wiatru oraz zanieczyszczenie powietrza. W takich warunkach najchętniej grasują wirusy grypy i chorób górnych dróg oddechowych, a zakażenie nimi pogarsza stan chorych na POChP.
 W Wielkiej Brytanii meteorologiczne i medyczne dane były dwa razy w tygodniu przesyłane do specjalistów, którzy wydawali ostrzeżenia chorym. Nie były one zbyt skomplikowane: ograniczenie podróży, ciepły ubiór, nieoddychanie zimnym powietrzem – zakrywanie ust i nosa na dworze. Pielęgniarki środowiskowe miały za zadanie sprawdzać, czy pacjenci przyjmują odpowiednie leki i czy ich domy są odpowiednio ocieplone.
 Jaki był efekt? W czasie trwania programu przyjęcia do szpitali z powodu POChP spadły o 85 procent! Wielu pacjentów z grupy wysokiego ryzyka zaczęło lepiej kontrolować swoją chorobę, ich stan się poprawił.
 Zachęcony wynikami brytyjski instytut meteorologii postanowił rozszerzyć program. Od tego roku włączył też do niego informacje o udarach, astmie i chorobach układu krążenia.

Recepta na gładką skórę



- ✓ zmniejsza, rozjaśnia i wygładza blizny
- ✓ łagodzi objawy trądziku
- ✓ redukuje rozstępy

Krem dostępny w opakowaniach po 50 i 30 ml.

Bezpłatna infolinia
0 800 391 944
 (pn.-pt. 9.00-18.00, sob. 9.00-14.00)
www.azmedica.pl

Dzięki systemowi Prognozowanie Zdrowia Narodowego chorzy w Wielkiej Brytanii są ostrzegani o zbliżaniu się niebezpiecznych dla nich zmian temperatury, ciśnienia czy wilgotności. Mapa przedstawia częstość występowania związanej z pogodą choroby płuc

RYB. FORECASTING THE NATION'S HEALTH

temperatury oraz przyrost liczby udarów pięć dni po rozpoczęciu okresu zimna.

Koncentrat pyłków

Z innych badań wynika, że zmiany pogody mogą być groźne także dla astmatyków. Zauważono na przykład, że letnie i wiosenne burze wywołują zaostrzenie ataków astmy. Długo sądzono, że ma to związek ze zwiększoną aktywnością elektryczną, jonizacją powietrza. Zagadkę „burzowej astmy” rozwikłał dopiero doktor Guy Marks z Institute of Respiratory Medicine z University of Sydney w Australii. Zauważył, że astmatycy mają się gorzej, bo stężenie alergenów w burzowych chmurach wzrasta do 12 procent. Skąd biorą się w gorzej?

Burze występują zwykle wiosną i latem. W ciepły, słoneczny dzień powietrze ogrzane w pobliżu powierzchni Ziemi zaczyna unosić się do góry, czemu towarzyszy powolne jego ochładzanie. To powie-

trze zasysa też pyłki roślin. Zamarzają one w górnych warstwach atmosfery, pod wpływem czego pękają, dzieląc się na mniejsze, znacznie bardziej zjadliwe dla alergików części. Burzowa chmura to prawdziwy koncentrat alergenów.

Gdy opadają one z deszczem i dostają się do dróg oddechowych astmatyków, powodują ostrą reakcję zapalną. Sytuację dodatkowo pogarsza to, że oskrzela i płuca stają się wrażliwsze na ich działanie pod wpływem ozonu, którego pełno w powietrzu po burzy.

W Wielkiej Brytanii, a także w USA w burzową pogodę ostrzegają się astmatyków przed wychodzeniem z domu oraz przypominają o zabieraniu ze sobą leków. Także lekarzy i szpitale stawia w stan podwyższonej gotowości.

Udar w zimnie

Podobnie przed zmianami pogody na baczności powinny się mieć osoby zagrożone udarem mózgu. Z badań francuskich neurologów z Dijon prowadzonych blisko 14 lat na trzech tysiącach pacjentów wynika, że do udarów dochodzi rza-

dziej przy cieplej pogodzie, ich liczba rośnie zaś po spadku temperatury i przy wysokim ciśnieniu atmosferycznym oraz zwiększonej wilgotności powietrza. Te wyniki stara się teraz potwierdzić doktor Matthew Walters z Glasgow's Western Infirmary w Wielkiej Brytanii. Ma zamiar porównać dane 10 tysięcy pacjentów z okolic Glasgow pochodzące z lat 1990–2003 z danymi meteorologicznymi z tego czasu.

Więcej wrażliwych

Jakiegokolwiek by jednak były wyniki tych badań, jedno jest pewne – osób wrażliwych na zmiany pogody wciąż przybywa. Naukowcy uważają, że to przypadłość cywilizacyjna wynikająca z osłabienia naszych zdolności przystosowawczych. Pogłębiają ją stresy, przeciążenie pracą i niehigieniczny tryb życia. Bardziej narażeni na cierpienie z powodu warunków atmosferycznych są na ogół mieszkańcy miast, wychowujący się w nienaturalnym mikroklimacie mieszkań, oddychający zanieczyszczonym powietrzem. Mają oni zbyt wrażliwy wegetatywny układ nerwowy. Czym on się zajmuje?

To „automatyczny pilot” naszego organizmu – zawiaduje czynnościami mózgu niezależnymi od naszej woli, które kontrolują funkcje wielu układów ciała utrzymujących nas przy życiu: oddychanie, bicie serca, termoregulację, reakcję na zmiany ciśnienia. Układ ten bardzo nie lubi pracować w zwiariowanych warunkach – źle znosi nagłe zmiany pogody, jego pobudliwość zmienia się w zależności od czynników zewnętrznych, co odbija się na całym organizmie.

W Polsce nie mamy pod tym względem lepiej od Brytyjczyków czy Francuzów. Nasz kraj znajduje się na trakcie częstych starć ciepłych mas powietrza z zimnymi – fronty atmosferyczne powodujące nagłą zmianę pogody wędrują przez nasz kraj średnio 140 dni w roku. Może więc warto byłoby brać dobry przykład z innych krajów i u nas też wprowadzić programy badania wpływu pogody na zdrowie? Zapobieganie zawsze było tańsze niż leczenie.

A jak wzrosłby wtedy prestiż zawodu meteorologa! Okazuje się bowiem, że informacje o pogodzie mogą być nie tylko wskazówką, czy brać ze sobą parasol. Mogą być też ostrzeżeniem, że wychodzenie z domu stanie się dla niektórych z nas igraniem ze śmiercią.

Już dziś w wielu prognozach pogody podaje się ogólne informacje na temat tak zwanego biometu: „korzystny” albo „niekorzystny” słyszymy na przykład w TVN Meteo. Jednak przyszłość biometeorologii to bardzo szczegółowe opracowania.

– Mam nadzieję, że w ciągu 10 lat każdy z nas będzie mógł zaprenumerować SMS-em serwis pogodowy uwzględniający jego przypadłości zdrowotne – marzy profesor William Bird.

Czy taka usługa miałaby wzięcie? Jeśli pozwoliłaby uniknąć migreny albo nawet zawału serca – chyba nie ma się nad czym zastanawiać.

OLGA WOŹNIAK

Zdrowie na co dzień



pn

wt

śr

czw

pt

sb

nd

Obniżając cholesterol - dbasz o serce

Napój jogurtowy Flora pro.activ to jedyny na rynku produkt zawierający optymalną dawkę naturalnych steroli roślinnych (2g), które przy regularnym spożywaniu obniżają poziom cholesterolu o 10-15% już po dwóch tygodniach.

Flora pro.activ wystarczy **1** dziennie.

Więcej informacji na stronie www.institutflory.pl oraz pod numerem infolinii: 0 801 109 387. Całkowity koszt połączenia: 1 impuls wg taryfy operatora.



pro.activ
z naturalnymi sterolami roślinnymi

Zdrowy Rytm!

Traffic Club oraz Fundacja „Centrum Europy” zapraszają na wystawę

karolina breguła
widzi mi się pałac

Widzimy się w piątek 24 lutego o godz. 18.00

Przyjdź go zobaczyć!

Traffic Club, ul. Bracka 25 (róg Chmielnej), Warszawa
Wystawę będzie można oglądać do 6 marca



już cię ma

„Don't be evil”, czyli „Nie bądź zły” – to hasło firma Google przyjęła jako motto swojej działalności. Jednak im więcej internetowy gigant zarabia, tym słabiej trzyma się tej zasady

Czy masz na swoim komputerze teksty, maile lub zdjęcia, które uważasz za prywatne? Nie muszą to być wielkie tajemnice – może jakieś listy od dziewczyny, zdjęcia twojego dziecka w kąpielni czy dokumenty przyniesione z pracy. A może czasami przeglądasz Internet w poszukiwaniu rzeczy, którymi niekoniecznie chcesz się chwalić? Trochę łagodnego porno lub sposoby na omińnięcie podatków?

O wszystkich twoich tajemnicach, małych i dużych, wie lub za chwilę się dowie Google – wielki pozeracz wszelkich informacji. Ta stworzona pod koniec lat 90. firma bardzo dba o swój przyjazny wizerunek, dając internautom zupełnie za darmo doskonałe narzędzia do obróbki zdjęć, oglądania fotografii satelitarnych czy katalogowania danych na lokalnym dysku. Właśnie ta ostatnia możliwość stała się ostatnio przyczyną potężnej awantury.

Wiemy o panu wszystko

Chodzi o program Google Desktop 3, który indeksuje zawartość twardego dysku i pozwala na przeszukiwanie go tak samo, jak przeszukujemy Internet. W trzeciej wersji programu udostępniono nową funkcję – zdalne przeszukiwanie zasobów komputera. Chodzi o ułatwienie życia tym, którzy korzystają z więcej niż jednego komputera. Dzięki opcji nazwanej Search Across Computers możemy przeszukać domowy komputer, siedząc w pracy. Niby cel szczytny, a pomysł przydatny, jednak bliższe przyjrzenie się mechanizmowi jego działania rozwiewa tę iluzję.

Aby udostępnić zasoby dysku innemu komputerowi, Google Desktop tworzy indeks zawierający listę wszystkich słów, jakie pojawiają się w plikach Worda, Excela, pdf czy mailach. Ten katalog wysyłany jest na serwery firmy Google, gdzie czeka, aż zostanie ściągnięty przez inny

komputer. Potem zgodnie z deklaracjami firmy jest całkowicie usuwany.

Nie zmienia to jednak tego, że informacja o całej zawartości naszego dysku ląduje na serwerze obcej firmy, która może zostać zmuszona do ujawnienia tych informacji. Prawo amerykańskie dotyczące ochrony tego typu danych pochodzi z 1986 roku, gdy Internet praktycznie jeszcze nie istniał. Wystarczy nakaz sądowy, by wszystko, co wie o tobie Google, zostało ujawnione władzom. Nie boisz się amerykańskiego rządu? Uważaj – umowy międzynarodowe sprawują, że możesz w Polsce być ścigany za to, co nie podoba się urzędnikom za oceanem. Istnieje też zagrożenie włamaniem na serwery Google i ściąganiem z nich poufnych danych. Co prawda indeksy dysków są szyfrowane, ale to raczej słabe zabezpieczenie.

Jednak katalogowanie dysków użytkowników to tylko jeden z objawów żądzy gromadzenia informacji. W ostatnich miesiącach firma Google wprowadziła cały szereg usług, które choć ułatwiają życie, ograniczają naszą prywatność. Początkiem był Gmail, darmowy system pocztowy oferujący ogromną przestrzeń na przechowywanie listów. Ceną za „bezpłatną” usługę jest oglądanie reklam, które dopasowywane są do naszych zainteresowań. Odbywa się to w prosty sposób – system odczytuje nasze maile, poszukując w nich charakterystycznych słów, i dostosowuje do nich odpowiednie reklamy. I znowu na pierwszy rzut oka nie ma w tym nic złego, ale pozostaje faktem, że program otwiera nasze wiadomości i analizuje ich treść.

Kolejną potencjalnie niebezpieczną usługą jest Search History. Jeśli korzystamy z tej funkcji, w ciągu kilku sekund możemy sobie przypomnieć, czego poszukiwaliśmy przez Google tydzień, miesiąc czy pół roku temu. To bardzo wygodne, gdy wiemy, że była taka fajna strona o psach, tylko nijak sobie nie możemy przypo-

mnieć, jaki jest jej adres. Rzut oka do Search History i po problemie.

Oczywiście w ten sposób Google pamięta każde hasło, jakiego szukaliśmy, i każdą stronę, jaka w wynikach wyszukiwania wzbudziła nasze zainteresowanie. Czyż można marzyć o lepszym profilu użytkownika? Naturalnie nikt nas nie zmusza do korzystania z Search History, ale nie ludźmy się, że w ten sposób pozostaniemy anonimowi. Przedstawiciele Google przyznają, że historia naszych poszukiwań i tak jest przechowywana w pamięci ich maszyn.

Wszyscy śledzą

Cała sprawa wygląda jeszcze groźniej, gdy zdamy sobie sprawę, że wszystkie te informacje można ze sobą połączyć, a na dodatek dokładnie zlokalizować w sieci nasz komputer. Każdy dostęp do strony Google zostaje odnotowany – zapamiętywany jest czas zapytania i adres IP, z którego owo zapytanie zostało zadane. Te informacje wystarczą, by korzystając z danych Google i naszego dostawcy Internetu, precyzyjnie określić numer domu i mieszkania oraz nazwisko osoby, na którą jest zarejestrowany dany komputer.

Może i nie byłoby problemu, gdybyśmy mogli w pełni ufać Google. Jednak ostatnio firma pokazała, że pieniądze są dla niej znacznie ważniejsze niż hasło „Don't be evil”. Chodzi o działania giganta w Chinach, gdzie we współpracy z władzami wprowadzono ścisłą cenzurę wyników wyszukiwania. Wpisanie hasła „Tiananmen” w chińską wersję wyszukiwarki zdjęć zwróci sieliskie obrazki architektury. To samo słowo w polskiej czy amerykańskiej odmianie Google da słynne zdjęcia kolumny czołgów.

Czy w takim razie najlepiej przestać korzystać z Google i przenieść się na Yahoo! czy MSN? Nie bardzo – dziś każda wyszukiwarka gromadzi tyle informacji o kliencie, ile tylko zdoła. Konkurencja Google robi to również, choć może nie tak sprawnie i inteligentnie. Oczywiście można się chronić przed takimi działaniami, korzystając z programów ukrywających naszą tożsamość lub ograniczających możliwość śledzenia nas za pomocą tak zwanych plików cookie. Tyle że szybko okaże się, iż to wszystko jest tak uciążliwe, że jednak wolimy oddać nieco naszej prywatności za cenę zwykłej wygody. A wielcy pozeracze informacji tylko na to czekają...

PIOTR STANISŁAWSKI

MAGDA GESSLER
KUCHNIA moja pasja

już w księgarniach!

LUDWIK STOMMA
Polskie złudzenia narodowe

Eseje o polskich stereotypach – temat do gorzkiej refleksji...

NAJNOWSZA KSIĄŻKA
Ludwika Stommy

tel., faks: (061) 8618919
www.sens.rubikon.pl
e-mail: sens@rubikon.pl

Mate formaty
duuuuże rabaty

Grażyna Janiak
tel. 022 584-21-72
grazyna.janiak@edipresse.pl

Radio ZET poleca

Ahdaf Soueif
Mapa miłości

Trzy kobiety, dwie epoki, jeden kufer pełen sekretów – niezwykła historia o uczuciach, które trwają na przekór różnicom kulturowym.

PRZEKROJ WP INDEPENDENT merlin.pl

Robert Maciejuk >
Noc amerykańska

18 II - 23 IV

ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI >
PLAC MALACHOWSKIEGO 3 WARSZAWA >
WWW.ZACHETA.ART.PL >

ZACHĘTA

główny przewoźnik > sponsor galerii > patroni medialni >

LOT PERI gazeta POLSKIE RADIO POLITYKA TVP THE WARSAW VOICE onet.pl

sluchaj audycji PRZEKROJOWA SPRAWA

ANTYRADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek **23 lutego** o godzinie **21.00** Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem „CZY BAĆ SIĘ INTERNETOWYCH SZPIEGÓW?”

Prowanie na Zbigniewa Herberta zaczęło się w połowie lat 60. Poeta sporo wtedy podróżował. Dla funkcjonariuszy bezpieki wydawał się zatem doskonałym źródłem informacji o polskich środowiskach emigracyjnych. Chodziło przede wszystkim o Jerzego Giedroycia i jego „Kulturę” oraz Międzynarodowe Stowarzyszenie Wolności Kultury. Poza tym poeta znał Czesława Miłosza, przez jakiś czas jednego z głównych „wrogów Polski Ludowej” – jak informowała podówczas Encyklopedia PWN.

Jak ustalili historycy IPN Małgorzata Pasińska-Wójcik i Grzegorz Majchrzak, w 1968 roku w resortcie zapadła decyzja o zwerbowaniu poety. Uda się – sugerował przełożonym inspektor Wydziału VIII Departamentu I MSW Julian Pieniążek. „Jest przecież człowiekiem o dużej dozie honoru” – pisał, wyciągając błędne wnioski ze słusznej skądinąd oceny. I rzeczywiście. Doszło do kilku oficjalnych spotkań z Herbertem. Funkcjonariusze po rozmowach w warszawskim hotelu Metropol byli zadowoleni. „Rozmowy z nami traktuje bardzo poważnie i zdaje sobie sprawę, że od nich jest zależny” – posumowywał Pieniążek. Ale w maju 1970 roku major Janusz Nowak, starszy inspektor Wydziału VIII Departamentu I MSW, raportował nieco zrezygnowany: „Wystąpił u niego pewne opory psychiczne”. Ostatecznie z werbunku nic nie wyszło. „Grałem głupka bez przyjemności – tak Zbigniew Herbert tłumaczył się z kontaktów z SB w liście do Czesława Miłosza. – Stwierdziłem z przerażeniem, że nie bardzo potrafię spacerować z gównem na głowie i że jestem tchórzem, bo boję się o resztę życia”.

W obronie „Cudownej meliny”

W latach 70. Herbert otwarcie angażuje się w działalność opozycyjną. Wraz z innymi apeluje do władz o ułaskawienie członków niepodległościowej organizacji Ruch, a także braci Kowalczyków skazanych za wysadzenie w 1971 roku auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w przeddzień uroczystości rocznicowych ku czci MO i SB. Jednocześnie umacnia się jego pozycja w Związku Literatów Polskich.

15 lutego 1972 roku wraz z Janem Józefem Szczepańskim zostaje wybrany do prezydium ZLP i wyrasta na jednego z liderów środowiska. Do władz Związku Literatów Polskich napływają pisma o jego „nielicującym z postawą pisarza zachowaniu się”. Chodzi między innymi o incydent, kiedy poeta, podając się za ministra kultury i sztuki, wszedł na teren Wytwórni Filmów Dokumentalnych, gdzie został zdekonspirowany przez ORMO. Esbecy jeżdżą za nim za granicę i pilnie notują, co i komu mówi o sytuacji w Polsce. – Podczas wyjazdu do NRD głośno dopytywał się o „swojego przyjaciela pisarza Kunze” – wspomni-

wał Krzysztof Karasek. – Wiadomo było, że Rainer Kunze w tym czasie już siedział. Po powrocie prezes związku Jarosław Iwaszkiewicz miał mu wypominać, że za takie zachowanie nie powinien pełnić w ZLP żadnych funkcji.

Na początku 1973 roku w paryskim Instytucie Literackim ukazują się powieść „Cudowna melina” Kazimierza Orłosa, pierwsza książka wydana na Zachodzie pod własnym nazwiskiem przez pisarza mieszkającego w kraju, na autora spadają represje. Orłoś zostaje wyrzucony z redakcji „Literatury” i objęty zakazem druku. Herbert występuje w jego obronie. Namawia też kolegów do ustanowienia pierwszej niezależnej nagrody literackiej. Jej laureatami zostają w roku 1975 Ryszard Krynicki i właśnie Kazimierz Orłoś.

Zamach stanu

Na początku 1975 roku, przed zaplanowanym na 20–23 lutego zjazdem ZLP w Poznaniu, grupa pisarzy i poetów postanawia przejąć władzę w Związku. 2 lutego w mieszkaniu Herberta i z jego inicjatywy dochodzi do zebrania 14 litera-

tów. Są wśród nich między innymi: Wiktor Woroszyński, Antoni Słonimski, Jerzy Ficowski, Marek Nowakowski. Ustalają, że w miejsce Jarosława Iwaszkiewicza na prezesa ZLP spróbują wybrać Andrzeja Brauna. Mieszkanie jest na podsłuchu, władze bardzo szybko dowiadują się o planach buntowników. Resort ma więc czas na reakcję.

Dla opozycji hasłem do działania miało być odczytanie podczas obrad przez Marka Nowakowskiego listu Kazimierza Orłosa.

– Życzliwi koledzy, którzy skądś wiedzieli o moim planie, ostrzegali mnie – mówi dziś Nowakowski. – Byłem prawie pewien, że z listem Orłosa do Poznania nie dojadę.

Dojechał, ale wszystko potoczyło się inaczej, niż zaplanowali niepokorni pisarze.

Zatrucie czy urojenia

Obrady z typową dla siebie swadą otworzył Jarosław Iwaszkiewicz. – Już to, że piszemy, świadczy o naszym optymizmie – wyjaśniał. Po nim zabrał głos minister kultury i sztuki, a przy tym członek Biura Politycznego PZPR, towarzysz Józef Tejchma: – Twórcy nie są i nie będą wolni – po-



Fot. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA

W lewej: Zbigniew Herbert na zjeździe ZLP w Poznaniu w lutym 1975 roku. Poniżej: Pierwsza strona esbeckiego meldunku operacyjnego dotyczącego zebrania opozycyjnych pisarzy 2 lutego 1975 roku

MELDUNEK OPERACYJNY 000246/75

Nazwa (kategoria): Wypełnia Wydział I Departamentu III
 Treść informacji: Wydział IV Departament III MSW
 Kod informacji: 000246/75

Narwisko: MAJCHROWSKI
 Imię: Krzysztof

Wypracowanie progresów działalności dla grup opozycyjnych kraju: 010115

Kultura i sztuki: 1300
 Związek Literatów Polskich: 1001

Kultura i sztuki: 15
 Twórcze: 03

Kwestionariusz ewidencyjny, zastosowanie P, PP, "W": 02071314
 13

HERBERT Zbigniew

Polowanie na Pana Cogito

Przez wiele lat Zbigniew Herbert twierdził, że przeżył próbę zatrucia go przez Służbę Bezpieczeństwa. Nikt mu nie wierzył. Ale dziś okazuje się, że mógł mieć rację

MICHAŁ WÓJCİK

dobnie jak my wszyscy, bez żadnego wyjątku – od potrzeby coraz lepszego poznawania Polski w Polsce.

O co konkretnie mu chodziło, nikt nie miał czasu dociekać. O głos poprosił Zbigniew Herbert. Nie mówił, lecz grzmiał. Zaprotestował przeciwko regulaminowi wyboru władz ZLP, bo jak powiedział, od setek lat istnieje tradycja, że wybory są tajne, a nie jawne. Poparła go część delegatów. Herbert został wybrany do komisji matki odpowiedzialnej za przedstawienie kandydatów do władz i rozpoczęły się obrady w podzespołach.

Teraz inicjatywę przejął resort. Hotel Polonez, gdzie mieszkali literaci, wyglądał jak obłożona przez esbeków twierdza. „W każdym korytarzu mieli swój pokój – pisał we wspomnieniach o Herbercie młody delegat z Gdańska Zbigniew Zakiewicz. – Wewnętrzne telefony, łączące pokoje, oczywiście były na podsłuchu. Esbecy śledzili, kto i do kogo wchodzi”.

Około godziny 23 Herbert w swoim pokoju napił się wody sodowej i zasnął. – Ta butelka była już otwarta. Zatrął się on i kolega z pokoju, który już nie żyje – mówi Katarzyna Herbert, żona poety.

– Pamiętam, że był lekarz i że natychmiast pojawiło się podejrzenie o użycie trucizny – wspomina Nowakowski.

– Zasnął, ale raczej nikt nie uwierzył, że został zatruty – dodaje Krzysztof Karasek, a inny przyjaciel poety Ryszard Krynicki przypomina sobie, że zaraz pojawiła się humorystyczna plotka, że zatrzał się, ale nie wodą sodową, tylko wodą z wazonu z kwiatami. – To wszystko wyglądało na urojenie – mówi Zdzisław Najder. – Ludzie chorzy na raka przyczyną swojej choroby szukają na zewnątrz. Taki mechanizm obronny. Podobnie jest z chorymi na depresję. Przed chorobą bronią się, wchodząc w świat urojeń. Właśnie na to naprowadził mnie Herbert, gdy pisałem książkę o Conradzie. On również cierpiał na depresję.

W każdym razie następnego dnia Herbert czuł się fatalnie. Nie zabrał już głosu, a grupa opozycjonistów straciła wigor. Wprawdzie Marek Nowakowski odczytał list Orłosa i rozbrzmiały słowa: „Nie ułatwiamy pracy cenzorom. Nie kaleczmy własnych książek. (...) wolność słowa nie jest pojęciem abstrakcyjnym, prędzej czy później musi być w Polsce przestrzegana i szanowana”, ale lojalni wobec władz delegaci szybko opanowali sytuację. Zbigniew Załuski dowodził, że książka Orłosa jest fatalna i nieprawdziwa. Kazimierz Koźniewski wzbudził wesołość na sali, mówiąc: – Jeżeli chcesz strzelać do ministra – proszę bardzo (tu wszyscy spojrzeli na rozbawionego mini-

stra Tejchmę), ale musisz przyjmować konsekwencje polityczne”. W ten sposób dał do zrozumienia, że wydawanie czegokolwiek w paryskiej „Kulturze” jest niewybaczalnym przekroczeniem PRL-owskich norm. I na tym sprawie Orłosa zakończono.

Wieczorem odbyły się głosowania. Rozbita opozycja nie miała już sił do walki. Prezesem ZLP na kolejne lata został Jarosław Iwaszkiewicz. – W Polsce nie ma korony dziedzicznej, jest dziedziczenie korony cierniowej – zażartował i pożegnał delegatów.

Izolować i potępiać

Reszta 1975 roku to dla Zbigniewa Herberta okres wzmoczonych działań SB „zmierzających do jego izolacji i wytworzenia atmosfery potępienia”. Nie jest to trudne. W tym czasie Herbert cierpi na depresję i nadużywa alkoholu. „W środowisku uchodzi za człowieka ciężko chorego, niezdolnego do zarabiania – pisał współpracujący go esbek. – W związku z powyższym przedsięwzięto działania operacyjne zmierzające do dalszej izolacji figuranta w środowisku”.

Poeta podpisuje jeszcze memoriał 59 intelektualistów protestujących przeciwko planowanym zmianom w konstytucji PRL. Potem wyjeżdża z kraju i przebywa na stypendiach i leczeniu w Austrii, we Włoszech i w Berlinie Zachodnim. Do kraju wraca dopiero w 1981 roku.

Do końca życia Zbigniew Herbert był przekonany, że padł ofiarą SB. Prawie nikt mu nie wierzył. Trudno było uznać, by SB mogła się zdobyć na tak perfidne metody. A jednak najnowsze badania IPN wskazują, że było to prawdopodobne. Jeden z meldunków ze sprawy Herberta jest niezwykle wymowny. Anonimowy esbek raportuje w nim z satysfakcją: „W wyniku szeregu działań polityczno-operacyjnych grono literatów znanych z postaw antysocjalistycznych i powiązań z ośrodkami antykomunistycznymi na Zachodzie zostało wyeliminowanych z władz związku”. Właśnie ten meldunek zdaniem Grzegorza Majchrzaka z IPN może oznaczać, że SB naprawdę otruli Zbigniewa Herberta. – Wiemy już, że SB trulo Annę Walentynowicz. Mamy dowody na zatrucie krakowskiego opozycjonisty Bogusława Sonika podczas pielgrzymki do Częstochowy. Skala ujawnionych prowokacji wobec działaczy opozycji jest na tyle duża, że podważa teorię o Polsce jako kraju łagodnych metod zwalczania opozycji – uważa Majchrzak.

Obecnie w poznańskim oddziale IPN trwa kwerenda na temat działań przeciwko Herbertowi. To, że znajdują się pisemne i niewątpliwe do-

wody na użycie wobec niego trucizny, jakiś meldunek czy rozkaz, jest jednak raczej mało prawdopodobne. – Rozkazy o stosowaniu środków specjalnych zazwyczaj wydawane były ustnie – tłumaczy Majchrzak.

– W policyjnym państwie wszystko było możliwe – uważa Ryszard Krynicki i na dowód tego przytacza przykład z NRD. W latach 70. jednym z liderów opozycji był schorowany Jürgen Fuchs, który do śmierci twierdził, że jego choroba to wynik działań Stasi. Po otwarciu archiwów tajnej policji w latach 90. okazało się, że przez długi okres poddawany był rakotwórczemu promieniowaniu.

Czy Zbigniewa Herberta, znanego „z wielokrotnych inspiracji środowiska literackiego do wrogich wystąpień przeciwko polityce kulturalnej”, jak pisał w 1976 roku Krzysztof Majchrowski, starszy inspektor Wydziału IV Departamentu III MSW, naprawdę próbowano otruć? Być może odpowiedź przyniosą dalsze badania IPN. ■

AUTOR JEST CZŁONKIEM ZESPOŁU „ZWROTNICY”, PROJEKTU TELEWIZyjNEGO POSWIĘCONEGO HISTORII NAJNOWSZEJ. CYKL PROGRAMÓW DLA TELEWIZJI POLSKIEJ POWSTAJE WE WSPÓŁPRACY Z INSTYTUTEM PAMIĘCI NARODOWEJ.

„Przekrój”
wydaje
polecenia
kulturalne

WŁOŚCIE

FABRYKA ZŁYCH SNÓW

Oscary zdominuje **nowa fala zaangażowanego kina** robionego za prywatne pieniądze. – Nasz produkt to zmiany społeczne, a film jest środkiem do tego celu – tłumaczą ich mecenas

Ludzie z natury są dobrzy – nawet w Hollywood – to zdumiewająco naiwne (w kwestii dobroci Hollywood oczywiście) zdanie możemy znaleźć na stronach Participant Production. Wbrew pozorom nie są to jednak strony jakiejś pocziwej organizacji chrześcijańskiej przekonanej, że nawet Terminatora można namówić, żeby został wielkim wikarym. Prezentują się na nich biznesowi wyjadacze, na czele których stoi 41-letni Jeffrey Skoll, współtwórca eBay i pierwszy jego prezes, najmłodszy kanadyjski miliarder, 94. na liście najbogatszych „Forbesa” – a takiego człowieka trudno pośadać o naiwność. Jednak Skoll publicznie

ową naiwność deklaruje, chcąc kręcić filmy, które „zmieniają świat”.

KONIEC HAPPY ENDÓW

Najbliższa oscarowa ceremonia będzie wyjątkowa – nie ze względu na jakiś rocznicowy charakter, ale na zestaw filmów ubiegających się o statuetki w najważniejszych kategoriach. Nie dość, że żaden z pięciu faworytów („Miasto gniewu”, „Monachium”, „Good Night, and Good Luck”, „Tajemnica Brokeback Mountain”, „Capote”) nie kończy się zwyczajowym w amerykańskim mainstreamowym kinie happy endem, to jeszcze wszystkie filmy wyrażają głęboki moralny niepokój. Wyparował gdzieś obecny w ostatnich latach optymizm i wiara w zbawczą, a choćby i eskapistyczną moc rozrywki oraz w to, że „show must go on”, niezależnie od tego, co dzieje się na zewnątrz fabryki snów. Bo też ta fabryka produkuje coraz częściej koszmarny: „Miasto gniewu” opowiada o międzykulturowych zderzeniach (tytuł oryginalny to „Crash”) w rasowym kotle, jakim jest Los Angeles. „Monachium” szuka odpowiedzi na pyta-

nie o źródła terroryzmu, „Good Night, and Good Luck” dostrzega paralelę między ciemną epoką makkartyzmu a rządami Busha, „Tajemnica Brokeback Mountain” dekonstruuje konserwatywną amerykańską mitologię, zaś „Capote” to rzecz o wykorzystywaniu zbrodni dla sławy.

Ale o Oscary w rozmaitych kategoriach walczą również inne filmy „moralnego niepokoju”: „Wiemy ogrodnik”, „Syriana”, „North Country”, „Historia przemocy” czy „Paradise Now”.

ZADAJEMY PYTANIA

- – Nominowane do Oscara filmy nie są wcale liberalne. Od kiedy wolność słowa i niezależność czwartej władzy są liberalnymi tematami?
- Wszystkie te filmy są prawdziwie amerykańskie.
- Nie zajmują stanowiska za czy przeciw.
- Nie są pełnymi pustymi hasłami, ale zadają ważne pytania – powiedział w wywiadzie dla „Hollywood Reporter” Paul Haggis, reżyser filmu „Miasto gniewu” („Crash”).

„SYRIANA” – POLITYCZNY THRILLER CZY REKLAMA AKCJI SPOŁECZNEJ W ŚRODKU CZŁOŁY LIBERAL HOLLYWOOD GEORGE CLOONEY KTÓRY POŚWIĘCAJĄC SIĘ DLA SPRAWY, PRZYTYŁ PARĘ K



PIERWSZY NAIWNY CZY OSTATNI SPRAWIEDLIWY? – JEFF SKOLL, ZAŁOŻYCIEL PARTICIPANT, PRODUCENT „SYRIANY” I „GOOD NIGHT, AND GOOD LUCK”

MONACHIUM” EVENA ELBERGA SPOSOBIE ALIŻA CJI ZYPOMINA W LAT 70.



RYNICZY STAN NIE SŁUŻY CHARLIZE THERON. FLANELOWA KOSZULA SZTAŁ TEŻ – „NORTH COUNTRY”

ny „hollywoodzkiego radykalizmu” (tytuł świeżo wydanej w USA książki o Hollywood i polityce). Nie wszyscy jednak poprzestają na konstatowaniu smutnych faktów, a już na pewno nie Jeff Skoll.

BUDUJEMY NOWY ŚWIAT!

– Wiele razy słyszałem, że ulice Hollywood są wybrukowane ciałami takich jak ja – opowiada o początkach Participant jej założyciel. Skoll stworzył swoją firmę producencką w 2004 roku, cztery lata po odejściu z eBay, ciesząc się jak dotąd głównie sławą filantropa chętnie wspierającego innowacyjne projekty ludzi, którzy łączą „pomysłowość z determinacją”. Ale równie chętnie wspierał

Dlatego też każdy produkowany przez firmę Skolla film musi być obowiązkowo wsparty kampanią społeczną o jak największym zasięgu. Premierze „Good Night...” towarzyszyła więc akcja „Report It Now” mająca na celu przekonanie dziennikarzy, przede wszystkim lokalnych, by uważniej spojrzeli na ręce władzy. „Syriana”, nazwana przez „The New York Times” „najbardziej politycznym filmem od czasów Wietnamu” (w Polsce od 3 marca), była pretekstem dla kampanii „Oil Change” (poszukiwanie alternatywnych źródeł energii), zaś „North Country” – dla „Stand Up”, która namawia do przeciwstawiania się molestowaniu seksualnemu i przemocy domowej.

Kampanie są przy tym organizowane przez cieszące się zaufaniem pozarządowe organizacje, Participant jest tylko łącznikiem – podsuwa organizacjom gotowe produkty do wykorzystania. Tym lepsze, że firmowane nazwiskami hollywoodzkich gwiazd. Dla tych ostatnich to zaś bez wątpienia doskonała okazja do uszlachetnienia wizerunku i zmanifestowania, że stoi się po tej właściwej (czyli dziś – demokratycznej) stronie. – Z każdym naszym filmem budujemy społeczeństwo obywatelskie – przekonuje Skoll. Pionierów budowy nowego wspaniałego świata nie brakuje, a do drzwi Participant zastukali już tacy rewolucjoniści, jak Salma Hayek, Meg Ryan i Michael Douglas.

PROPAGANDA DOBRA

Skoll traktuje kino do tego stopnia instrumentalnie, że warunkiem powstania produkcji jest przede wszystkim społeczna nośność tematu. Nawet najdoskonalszy scenariusz, pozbawiony jednak klarownego „przekazu” nie ma tutaj szans. Mimo że dotychczasowe filmy Participant bronią się jakością, trudno nie pomyśleć, że takie podejście do sztuki załatuje propagandą – jakkolwiek szlachetna by ona była. Jeff Skoll, wygłaszając swoje naiwne tezy o wykorzystywaniu potęgi Hollywood dla czynienia dobra, w gruncie rzeczy sugeruje, że film może być narzędziem politycznej czy ideologicznej manipulacji. Zresztą nie tylko on w to wierzy – potęgę kina postanowił wykorzystać inny człowiek, niezwiązany dotąd z Hollywood Philip Anschutz, miliarder konserwatywa, który sfinansował i wypromował stworzone w duchu chrześcijańskim „Opowieści z Narnii”.

I tym chyba różni się najnowsze zaangażowane kino od tego z lat 70., które było echem dramatycznych wydarzeń, ale obnażając ich kulisy, mniej chętnie posługiwano się propagandowymi chwytami. Więcej tam było odcieni i niuansów niż w dzisiejszych filmach „na zamówienie”, takich jak „Good Night, and Good Luck”, „Opowieści z Narnii” czy „Syriana”, które nie są wolne od moralizowania i dydaktyzmu.

Nadchodząca oscarowa ceremonia pokaże, czy w walce o statuetki wygra gniew „słuszny”, czy ten zrodzony z prawdziwego „moralnego niepokoju” (jak choćby „Tajemnica Brokeback Mountain”). Jedno jest pewne – czerwony dywan będzie nam się w tym roku na pewno kojarzył z rewolucją.

MALGORZATA SADOWSKA

Ostatnie miesiące dobitnie pokazały, że Ameryka przeżywa dziś boom na kino zaangażowane, coraz częściej porównywanego do tego, jaki przetoczył się przez Stany w latach 70. To wtedy właśnie powstały mroczne, często pesymistyczne polityczne thrillery zaliczane dziś do klasyki: „Wszyscy ludzie prezydenta” czy „Trzy dni Kondora”.

Tworzeniu takiego kina sprzyjały niespokojne czasy (dogasała zakończona klęską wojna w Wietnamie, a afera Watergate obnażyła zepsucie władzy); dziś jest równie niespokojnie, nic więc dziwnego, że grunt pod zaangażowane kino jest doskonały i że jesteśmy świadkami kolejnej odsto-

akcje mniej oczywiste – na przykład stworzenia arabskiego dubbingu do filmu „Gandhi” (w wykonaniu palestyńskich aktorów) lub wspólnych pokazów dla żołnierzy izraelskich i palestyńskich. Stąd był tylko krok do produkowania filmów. – Zwykle ludzie chcą znaleźć się w Hollywood z powodów finansowych albo dlatego, że uważają to za glamour – mówi. – Ja wierzę, że filmy to cudowny sposób, żeby zmieniać świat.

Participant Production wyłożyła pieniądze na „Good Night, and Good Luck” George’a Clooneya, „Syriana” Stephena Gaghana, „North Country” Niki Caro – każdy z tych filmów porusza ważne kwestie polityczne czy społeczne. Szpiegowska „Syriana” obnaża mechanizmy uwikłania się Ameryki w politykę na Bliskim Wschodzie, zaś w „North Country” Charlize Theron (znów „zbrzydzone”, niestety) podejmuje samotną walkę z wykorzystywaniem kobiet pracujących jak ona w kopalniach. Wkrótce światło dzienne ujrzy inny wyprodukowany przez Participant film – „Fast Food Nation” Richarda Linklatera, zaglądnijemy za kulisy przemysłu fastfoodowego – takie „Super Size Me”, ale w wersji fabularnej.

Ale dla Skolla i jego ekipy (składającej się między innymi z działaczy organizacji pozarządowych) kino to za mało. – Naszym produktem są zmiany społeczne, a film jest środkiem do tego celu – tłumaczy.



KOWBOJE, KTÓRZY WYPADLI Z SZUFLADKI: (HEATH LEDGER I JAKE GYLLENHAAL) I KTÓRZY CZASEM BARDZO CHCIELIBY DO NIEJ WRÓCIĆ

TAŃCZĄCY Z MITAMI

Kowbojska love story?
Nic z tych rzeczy!

Nie mam wątpliwości, że oscarowe szaleństwo wokół filmu „Tajemnica Brokeback Mountain” (osiem nominacji) to efekt „gejowskiej koniunktury”. Z prostej przyczyny – obraz Anga Lee jest dla akademików zbyt... mądry. Ale bez obaw – żadne Oscary, banalizujące ten film chwytliwe hasła, mody czy uprzedzenia wspaniałej, a jednocześnie prostej fabularnie „Tajemnicy Brokeback Mountain” nie zaszkodzą.

Oto Dzikie Zachód, lata 60. i dwóch prostolinijnych kowbojów, którzy na bezludziu za matkę centy pasą owce. Po wspólnie spędzonej nocy zapewniają sobie: „to była jednorazowa sprawa”, jednak połączy ich znacznie więcej. Rozjadą się w swoje strony, ożenią, doczekają potomstwa. Ale o sobie nie zapomną; co jakiś czas będą uciekać przed normalnym życiem i spotykać się tam, gdzie wszystko się zaczęło: pod Brokeback Mountain.

Prerie Wyoming, kowbojskie buty i kapelusze, pewność ruchów i oszczędność słów bohaterów – to wszystko ekwipunek westernu, którym Ang Lee wybornie się bawi. Nie po to, by odsłaniać obyczajowe tabu, ale żeby zdemaskować mit westerno-

wych bohaterów, którzy nie tylko zabić, przelecieć panienkę i upić się w barze. Jack (wyciszony Jake Gyllenhaal) i Ennis (świeży Heath Ledger, niedawno Jakub Grimm u Gilliana, za chwilę Casanova u Hallströma) to kowboje à rebours – sprzedają traktory i ciulają dolary na rodeo, a sensem ich życia nie jest ani broń, ani konie, ale miłość. I to jest w tym filmie największą perwersją.

A zatem „gejowska love story”? Skądinąd! Przede wszystkim nie gejowska. Jak pięść do oka pasuje tu słowo „homoseksualizm”, bo nie na seksie opiera się ten związek. Historia Ennisa i Jacka dowodzi przeciwieństwa, że określenia „homo”, „hetero”, „biseksualista” to tylko szufladki. Sztuczne i obce, gdy pojawia się to nienazywalne „coś”, co trochę jest miłością, a trochę nią nie jest i spada na ciebie, by przewrócić całą świat. Banalne? Po prostu uniwersalne. Dla mnie bardzo osobiste.

„Tajemnica...” nie jest też na szczęście żadną love story. Nie o miłosny mit – jak w klasycznym melodramacie – tutaj chodzi. Lee nakręcił film zbyt nasycony konkretem, detałem, ciszą i pozornie zbędnymi scenami. I zamiast idealizować, postawił na przesywający autentyzm. Chwilami trudno przecieć Ennisa i Jacka lubić. Żadni z nich romantycy czy wymuskani geje z okładki „Gali”. Są banalni, czasem irytujący, okrutni i bezmyślni (jak Ennis wobec

kelnerki). Związek dwóch kowbojów jest czysty, a zarazem od początku ubrudzony hipokryzją (skądinąd wymuszona). Obaj przez lata kłamią i zdradzają swoje żony, Jack korzysta z męskich prostytutek („mnie nie wystarczy kilka razy w roku”). To miłość szlachetna i bezlitosna wobec innych, wzniosła i przyziemna, zawieszona w życiu, a nie w próżni. Jak w scenie, gdy Ennis musi dokonać wyboru: weekend z dziećmi czy z ukochanym?

Nie rozumiemy zresztą do końca tego związku. Miłość skazana na klęskę? Zaprzeczona szansa? Ucieczka przed przekleństwem rutyny (Jack po latach: „przyjeżdżasz do mnie jak na audycję w papierze”)? Nie rozumiemy też w pełni bohaterów. Jacka, który od początku marzy o normalności w domku z ogródkiem i grzeszy naiwnością. Oraz Ennisa, który tkwi w stereotypach i po lekcji dzieciństwa (widział homoseksualistę zabitego przez sąsiadów) jest pewien, że związek dwóch facetów nie ma racji bytu.

W przypadku tej klasy filmów, które zostają w historii kina, pytania i wątpliwości nigdy się nie kończą. I za to szóstka kropka.

PAWEŁ T. FELIS

„TAJEMNICA BROKEBACK MOUNTAIN”, REŻ. ANG LEE, USA 2005, MONOLITH PLUS, PREMIERA 24 LUTEGO

SWINGUJĄCA DEMOKRAcja

Clooney zrobił film
elegancki i swobodny

Nauczyciele prowadzą uczniów na ekranizację lektur szkolnych, katecheci na „Opowieści z Narnii”, a redaktorzy naczelni mediów wszelakich powinni teraz organizować obowiązkowe wyjścia dziennikarzy na „Good Night, and Good Luck”. Bo trudno w Polsce o film bardziej na czasie, mimo że jego akcja toczy się w la-

gów wewnętrznych, zwanych dalej komuchami. Brzmi znajomo? Efektem jego działań były: samobójstwa, złamane kariery, bezpodstawne oskarżenia, stracone zaufanie do państwa i demokratycznych instytucji. To, że Stany nie zamieniły się w jeden wielki stos dla czarownic, zawdzięczamy w dużej mierze odważnej postawie takich ludzi jak Murrow. Oczywiście filmów o wolności i znaczeniu mediów powstało już w Stanach sporo. Przeważnie były one równie słuszne, co patetyczne. Tymczasem Clooney zrobił film, który wygląda jak on sam – jest swobodny, elegancki i rusza się w rytm swingowych szlagierów.



gów wewnętrznych, zwanych dalej komuchami. Brzmi znajomo? Efektem jego działań były: samobójstwa, złamane kariery, bezpodstawne oskarżenia, stracone zaufanie do państwa i demokratycznych instytucji. To, że Stany nie zamieniły się w jeden wielki stos dla czarownic, zawdzięczamy w dużej mierze odważnej postawie takich ludzi jak Murrow. Oczywiście filmów o wolności i znaczeniu mediów powstało już w Stanach sporo. Przeważnie były one równie słuszne, co patetyczne. Tymczasem Clooney zrobił film, który wygląda jak on sam – jest swobodny, elegancki i rusza się w rytm swingowych szlagierów.

DAWNO TEMU W AMERYCE ŚWIAT WYDAWAŁ SIĘ CZARNO-BIAŁY. MURROW (DAVID STRATHAIRN) I FRIENDLY (GEORGE CLOONEY)

„GOOD NIGHT, AND GOOD LUCK”, REŻ. GEORGE CLOONEY, USA 2005, KINO ŚWIAT, PREMIERA 24 LUTEGO

PRZYJDŹ DO KINA!

Dwaj studenci **budzą nas ze snu**

Vit i Filip wyprowadzili ludzi w pole dosłownie – rankiem 31 maja 2003 roku zwabili na podpraskie łąki 1500 osób. Tu, narażając się na utratę zdrowia i życia, przyznali się do mistyfikacji – stworzenia nieistniejącego supermarketu Czeski Sen. Sen ów rozwiął się, gdy tylko tłum odkrył, że zamiast sklepu



OTO FINAL TYPOWEGO RODZINNEGO WYPADU DO SUPERMARKETU

w szczyrem (w przeciwieństwie do Vita i Filipa) polu stoi jedynie gigantyczny baner.

Długo przed uroczystym „otwarcie” dwaj studenci szkoły filmowej, Vit Klusák i Filip Remunda, przebrali się za menedżerów, wypożyczając garnitury Hugo Bossa, a później zatrudnili specjalistów, którzy stworzyli profesjonalną kampanię reklamową (pod hasłami: „Nie przychodź!”, „Nie kupuj!”) promującą nieistniejący Czeski Sen. Wszystko zarejestrowali zaś na taśmie, dzięki czemu możemy podziwiać, jak wielkie oszustwo nabiera realnych kształtów.

Nie ma w tym wielkiej głębi (nie od dziś wiemy, że supermarket to współczesna świątynia, a reklama kłamie), ale też „Czeski sen” to nie wielopiętrowa analiza, lecz happening, prowokacyjny gest, który sprawił, że w konsumpcyjnym (ale też politycznym i społecznym!) „Truman show”, w którym bierzemy udział, pojawiła się wielka dziura. Przez nią zaś możemy podziwiać własną bezrefleksyjność i podatność na manipulację.

Nie wiem, jak państwo, ale ja to kupuję.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„CZESKI SEN”, REŻ. VIT KLUSÁK, FILIP REMUNDA, CZECHY 2004, GUTEK FILM, PREMIERA 24 LUTEGO

NIE JEST PINKNIE

„Różowa pantera” została wypchana

Nie bez powodu od śmierci Petera Sellersa nie powstał żaden dobry film o inspektorze Clouseau. Nikt tak jak on nie grał policjanta niezguly, a wskrzeszenie legendy Różowej Pantery nie udało się nawet twórcy serii Blake-owi Edwardsowi. Amerykańska ekipa też nie podolała zadaniu. Nie tylko kreacja Steve’a Martina nie wytrzymuje porównania z oryginałem. Nowa „Pantera” przypomina trofeum myśliwskie: wygląda jak żywa, ale w środku została wypchana, czym się dało. Niby z oryginału pozostało wiele – od intrygi (po-



STEVE MARTIN I JEAN RENO DOSKONAŁE WIEDZA, ŻE NIE NALEŻY IM SIĘ ŻADEN MEDAL

szukiwanie cennego diamentu – tytułowej Różowej Pantery) i słapstwowego humoru, małej dozy absurdu, po niuanse, jak francuski akcent inspektora Clouseau. Niestety, twórcy dorzucili do tego głupawę złośliwości pod adresem Francuzów, a na dokładkę niewybredne żarty rodem z amerykańskich komedii. I... przeholowali. Melanz starego i nowego wyszedł średnio. Bywa śmiesznie, ale częściej żenująco. Udana jest za to obsada drugiego planu: Kevin Kline znów gra cwane Francuza – komisarza Dreyfusa. A Jean Reno policjanta Pontona, który „zastępuje” azjatyckiego służącego Clouseau – Kato. Każdemu daję po jednej kropce.

OLA SALWA

„RÓŻOWA PANTERA”, REŻ. SHAWN LEVY, USA 2005, CINEPIX, PREMIERA 24 LUTEGO

Wyróżnij się
www.aygo.pl



Wyróżnij się
www.aygo.pl



Polska prapremiera filmu George’a Clooneya „Good Night, and Good Luck” uświetniła galę rozdania nagród Fenomen „Przekroju”.

Pokaz odbył się dzięki



mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno



Fot. LUKASZ GAWRONSKI/POLSKIE RADIO

ŻYCIE PO ŻYCIU

•••••○

Testament sceny trójmiejskiej, a może dokument jej żywotności?

Co łączy Leszka Możdżera, Tymona Tymańskiego, Mazzolla, Mikołaja Trzaskę, a do tego jeszcze Jana Ptaszyna Wróblewskiego? Dziś już chyba nic, ale jeszcze kilka lat temu z każdym z nich grał Jacek Olter. Cichy i niepozorny, schowany za zestawem perkusyjnym, zawsze pozostawał w cieniu wielkich liderów – zarówno tych z jazzowego mainstreamu, jak i buntowniczego yassu. Kiedy siedem lat temu jego stan zdrowia zaczął się pogarszać, okazało się, jak trudno go zastąpić. A po jego samobójczej śmierci w 2001 roku dobiegła końca pewna epoka. Film dokumentalny o jego życiu i specjalna płyta nagrana przez jego przyjaciół to efekt trzech lat ciężkiej pracy i zaangażowania ponad 50 osób w wyjątkowy projekt pod tytułem „Olter” – nie tyle epitafium dla niezżyjącego muzyka, ile raczej świadectwo tego, że pamięć o nim wciąż żyje.

Lata 90. należały do nich. Sukces na festiwalach Jazz Juniors w Krakowie, Jazz Jamboree w Warszawie, jam z Donem Cherry, wspólna trasa z Lesterem Bowie – grupa Miłość przyniosła odwilż w polskim jazzie. Banda studentów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku przytarła nosa całemu starymu środowisku jazzowemu, a hasło „yass” wypromowane przez Tymona Tymańskiego nadało etykietkę całemu twórczemu fermentowi w Bydgoszczy i Trójmieście, który zaowocował najciekawszym okresem sceny niezależnej w naszym kraju od czasów punku.

W takie środowisko trafił Jacek, który akurat przyjechał do Gdańska uczyć się w szkole muzycznej II stopnia. Przewijał się przez kolejne składy z pogranicza jazzu, freejazzu, punku, rocka, rocka progresywnego – Trupy, NRD, Łoskot. Z grupą Kury nagrał pastiszowy album

JACEK OLTER – ZAWSZE SCHOWANY, ALE CZY TO PRZYPADKEM, ŻE GDY JEGO ZABRAKŁO, PRZESTALÍSMY MÓWIĆ O YASSIE?

„Polovirus” nagrodzony Fryderykiem i Machinerem w 1998 roku, a potem wystąpił w międzypokoleniowym projekcie The Users razem z Marcinem Świetlickim i Robertem Brylewskim. Grał nawet klubowe rytmy z Kurami i Groovekojadem.

Jacek był ponad podziałami stylistycznym i środowiskowym. Zauważony w Miłości przez Jana Ptaszyna Wróblewskiego został zaproszony do jego big-bandu Made in Poland oraz przez popularnych jazzmanów: Janusza Muniaka, Piotra Barona, Macieja Sikałę. Z Leszkiem Możdżerem nagrał muzykę Zbigniewa Preisnera do filmu Louisa Malle’a „Skaza”. Przy całej tej otwartości bywało, że ciężko dawał sobie radę z graniem. O tym, jakie dręczyły go problemy psychiczne, mówi dołączony jako integralna część nowego wydawnictwa dokument Krystiana Matyska „Olter”.

Idea otwartości przyświecała też Piotrowi Pawlakowi (Łoskot, eks-Kury), który postanowił zrealizować marzenie Jacka o jego własnej płycie. Fragmenty nagrań z ostatniej sesji studyjnej na płytę Kur z didżejem Scissorkicksem przekazał wielu znajomym muzykom oraz osobom, o których myślał, że mogą wnieść coś ciekawego. Wystarczy porównać podniosłą kompozycję Tomasza Gwincińskiego „U boku królowej” na Orkiestrę Wodną z solidną elektroniczną produkcją cut’n’paste „Zero gravity” wrocławskiego duetu Skapel albo elektroakustyczne eksperymenty wybitnej kompozytorki Marzenny Komsty „Desire” z lekko zwariowaną „Piosenką budzącą nadzieję” grupy Ludzie. Oprócz składów i muzyków, z którymi Jacek regularnie grywał, w studiu tworzyły się również niecodzienne zestawienia – czołowy pianista Leszek Możdżer z twórcą elektronicznym Wojtkiem Kucharczykiem w „Widzieć” albo piosenka „Wyłącz mnie” Budynia (Pogodno) z Marcinem Świetlickim i jego składem Czarne Ciasteczka. Pośród tylu znakomitości sam Jacek gdzieś ginie w tle – zupełnie jak dawniej. Ale znów bez jego obecności nic nie byłoby możliwe, choć i bez jego nieobecności tej płyty być może by nie było.

JACEK SKOLIMOWSKI

OLTER

JACEK OLTER I 50 ARTYSTÓW „OLTER”, (CD + DVD), Polskie Radio

EXTRA CLASSIC

Classic
RMF

WILLIAMS I GEJSZA

Najbardziej zabawna muzyka w fabularnym filmie o Japonii? Oczywiście Maurice Jarre w „Shogunie” sprzed 20 lat. Najbardziej cukierkowa wycieczka na Wschód? Z pewnością Tan Dun w „Przyczajonym tygrysie, ukrytym smoku” i w „Hero”. A teraz nadchodzi John Williams ze swoim najnowszym dziełem, czyli muzyką do filmu „Wyznania gejszy”, filmu, który już za chwilę znajdzie się w polskich kinach. I mogło być tak pięknie. Bo przecież sam Yo-Yo Ma z wdziękiem gejszy gra tu na wiolonczeli. A na skrzypcach wtóruje mu Itzhak Perlman. Do tego jeszcze para wirtuozów na instrumentach Wschodu. I nic... Trzeba jednak Williama zrozumieć, bo my wiemy i on wie, że najlepsza muzyka do historii o gejszy już powstała, i to w roku 1904. Niewiele tam rodzimych japońskich instrumentów i etnicznych motywów, a to wszystko i tak umknęło pierwszym recenzentom, którzy całkiem inaczej uzasadnili kląpę całości. Ale minęło parę lat i proszę, opera „Madame Butterfly” króluje na scenach od Alaski po Kioto. A maestro Williams pewnie codziennie dziękuje opatrności, że Giacomo Puccini rozminął się z kinem.

MAGDA WOJEWODA
RMF CLASSIC

MUZYKA FILMOWA
„MEMOIRS OF A GEISHA”,
JOHN WILLIAMS, Sony

TO URZĘDOWA MIŁOŚĆ

•••••○

Kasia Klich zaprasza, my dopraszamy się więcej

Mало kto w roli gwiazdy estrady jest postacią tak kompetentną jak autorka tej płyty – świetna wokalistka, w dodatku

wymagający słuchacz zauważy, że wokalistka straciła jakąś lekką drwinę, dystans w tekstach, który pozwalał jej dotąd unikać miłosnych truizmów. Tu Klich zgubiła się gdzieś w ciepłych wyznaniach i aksamitnych ostrzeżeniach. Jednym i drugim brak trochę drapieżności, energii – brzmia jak wyznanie uczucia w walentynki. Więcej urzędowości niż natchnienia, choć przecież uczucie Klich potrafi z siebie wykrzesać w jednym anglo-



KOMPETENTNA KASIA KLICH W STROJU URZĘDOWYM. CZY TO OKNO JEJ BIURA?

jeszcze obdarzona osobowością. Producent jej kolejnej już płyty, Yaro, też zęby zjadł na tworzeniu polskiej wersji hip-hopu i soulu. Gwarantuje rzemieślniczo dobrze brzmiącą – nawet jeśli przewidywalną – opartą na bardzo mocnej basowej podstawie całość. Niefortunnie dobrany singiel „Toksyyczna miłość” nie przeszkodzi na pewno tej płycie w dotarciu na listy przebojów, ale bardziej

języcznym utworze – standardzie „Calling You”. W sumie nie ma się czego wstydzić, warto posłuchać, chociaż zabrakło błysku, który byłby wystarczającym zaproszeniem do zakupu.

BARTEK CHACIŃSKI



KASIA KLICH
„ZAPROSZENIE”, EMI



Fot. EMI

SZTUKA CZEKANIA

•••••○

Anja Garbarek, czyli kariera długo budowana

Wytwórcia chciała z niej zrobić drugą Björk albo Celine Dion, ale została sobą – w końcu na nazwisko ma Garbarek. Legendarny norweski jazzman Jan Garbarek nie miał za złe córce Anji tego, że w dzieciństwie nie garnęła się do muzyki, ale wolała teatr i film. Wiadomo, jak to jest – Don Cherry miał aż dwójkę śpiewających dzieci, Neneh i Eagle Eye, kariera każdego z nich skończyła się na jednym przeboju. Za to Anja pracowała nad swoim sukcesem 10 lat – nagrywała z Markiem Hollisem (Talk Talk), zaśpiewała z blackmetalową grupą Satyricon, skomponowała ścieżkę do filmu Bessona „Angel-A” (będzie promować tę ostatnią w Polsce za dwa tygodnie). „Briefly Shaking” to najdorzysz album w jej dorobku, który stawia ją właśnie obok Björk i Stiny Nordenstam. Jej piosenki czarują równie delikatnymi melodiami i imponują bogatymi aranżacjami łączącymi elektronikę i instrumenty akustyczne. Nie zabrakło też saksofonu jej ojca, który chociaż stara się stać z boku, cały czas trzyma za Anję kciuki.

JACEK SKOLIMOWSKI



ANJA GARBAREK „BRIEFLY SHAKING”, EMI

BROWAR W KOSMOSIE

Gwiazda niemieckiej elektroniki w Poznaniu

Jan Jelinek przyjechał lata temu do Berlina studiować filozofię, a skończył jako lider nurtu clicks’n’cuts, który z trzasków, zakłóceń i zniekształceń lepił tętniącą życiem muzykę. Przez wiele lat był muzycznym odpowiednikiem mikrobiologa, bo przeglądał istniejące już nagrania jak pod mikroskopem, starając się odkryć muzykę w przestrzeniach między dźwiękami, ba, nawet sprawdzić, czy szum między jednym a drugim dźwiękiem perkusji w jazzowym nagraniu też swinguje. Ostatnia płyta Jelinka, dostępna i u nas „Kosmischer Pitch”, to rewolucja w jego brzmieniu – tu, zamiast wyciągać trzaski i pojedyncze tony ze starych płyt jazzowych, eksperymentuje w studiu z prawdziwymi instrumentami. Zamienił dźwiękowy mikrokosmos na makrokosmos. Kieruje się zasadami wypracowanymi przez rodaków ze sceny krautrocka lat 70., kiedy zapętlone motywy i pogłosy wprowadzały niemieckich rockmanów właśnie w kosmiczne stany. Takiego usłyszymy go w coraz ciekawszym Starym Browarze.

(BACH)

JAN JELINEK – 2.03 POZNAŃ,
SKODOWNIA STAREGO BROWARU

JEDYNA TAKA KOLEKCJA

KOLEKCJA „PRZEKROJU”
MALARZE POLSCY

100 stron
20 tomów

Wojtkiewicz

tylko 15,99 zł

w sprzedaży od 2 marca!



Informacje: 0 801 27 27 50 (pn.-pt. w godz. 8-17), info@prodoks.pl

Witkacy
Nikifor
Schulz
Boznańska
Wojtkiewicz
Wyspiański
Weiss
i wielu innych...

PRZE
KROJ

6 NOMINACJI - OSCARY 2006

GEORGE CLOONEY
PRZEDSTAWIA



DAVID STRATHAIRN W FILMIE

GOOD NIGHT AND GOOD LUCK

DAVID STRATHAIRN PATRICIA CLARKSON GEORGE CLOONEY JEFF DANIELS ROBERT DOWNEY JR. FRANK LANGELLA

www.kinowiat.pl www.goodnightandgoodluck.com KINO SWIAT

w kinach od 24 lutego

MĘTLIK W GŁOWIE

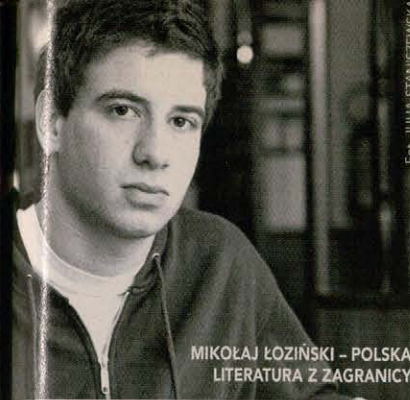
Izraelski Arab ironicznie o Arabach w Izraelu

Arabowie tańczą" to jeden wielki paradoks. Książka jest hebrajskim debiutem palestyńskiego pisarza, znanego felietonisty czołowej izraelskiej gazety. Bohaterem i narratorem tej niby-autobiografii jest młody Arab. Obywatel Izraela. Rzeczywiście, choć nie jest to fakt powszechnie znany, w Erec Israel żyje stosunkowo liczna populacja Arabów z izraelskimi paszportami i podczas gdy pobratymcy z Gazy lub Zachodniego Brzegu majstrują bomby i glosują na Hamas, jeden z nich nie tak dawno strzelił pierwszą w historii izraelskiej reprezentacji piłkarskiej arabską bramkę. Ale nie stąd bierze się paradoksalność książki Kaszuy. Ma ona swoje źródło w przedziwnej zagubionej tożsamości głównego bohatera. Kaszua nie oszczędza swojego protagonisty, który dumny ze swojej arabskości co rusz kryje się z nią wstydliwie, próbując wyglądać i zachowywać się jak Izraelczyk. Podkochuje się w żydowskich dziewczynach, za żonę bierze jednak pragmatyczną Palestynkę, unieszczęśliwiając zarówno ją, jak i siebie. Wzrusza go bohaterstwo arabskich bojowników, ale brzydzi się pielgrzymką do Mekki. W głowie ma straszliwy mętlak, a życie wciąż zmusza go do wyborów, z których każdy jest fatalny i wpędza go w jeszcze większą hipokryzję. Za pośrednictwem losów swojego alter ego Said Kaszua maluje ironiczną metaforę całej arabskiej społeczności Izraela, wnikając w jej dylematy i paranoje głębiej niż niejedna polityczna analiza. „Arabowie tańczą" to książka celowo chaotyczna, rwana, choć jednocześnie pełna niespodziewanego humoru i mądrości.

PIOTR KOFTA



SAID KASZUA „ARABOWIE TAŃCZA”, PRZEL. TOMASZ KORZENIOWSKI, Pogranicze, Sejny 2005



MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI - POLSKA LITERATURA Z ZAGRANICĄ

Z DAŁA OD KLISZ

Syn Marcela Łozińskiego debiutuje – ale jako prozaik

Zapomnieliśmy już, że polska proza nie musi opowiadać o Polakach. Tak właśnie jest w ciekawym, „internacjonalnym” debiucie 25-letniego Mikołaja Łozińskiego, który sam większość czasu spędza w Paryżu. Jego bohaterowie zaś w ogóle nie mają jasno określonej tożsamości. Łoziński napisał dojrzłą historię o niedojrzałym 38-letnim Danielu, tak naprawdę dużym chłopcu, który ciągnie za sobą nierozwiklaną rodzinną zagadkę. I jest zawieszony między matką Astrid i dziewczyną Anną.

Daniel jedzie ze Stanów do Europy, bodajże do Paryża, zamknąć sprawy zmarłej matki, z pochodzenia Szwedki. Rozgrzebuje jej rzeczy, szuka śladów, które pozwoliłyby mu ją – po czasie – zrozumieć. Wraca do dzieciństwa, do ich obsesyjnego miłosno-nienawistnego związku. Rozstali się kilka lat wcześniej w gniewie, kiedy syn za bardzo zachowywał się jak nieobecny mąż. Jego pamięć krąży wokół wypadku na plaży. Czy to on, zazdrosny syn, był winny? Przeszłość jest zamknięta i nie da się do niej przebić. Pozostają losy równoległe i jakoś podobne, bo matka i syn mają podobne lęki i obsesje – syn namiętnie obcina paznokcie, ona obsesyjnie sprząta – uciekając od chaosu swojego życia. Ta historia odbywa się niemal bez jakiegokolwiek tła – wszystko rozgrywa się w pamięci, pomiędzy dwojgiem bliskich i jednocześnie dalekich sobie ludzi. Mogłaby się zdarzyć wszędzie i wszędzie będzie czytelna. Dokładnie tak jak słowo *Reisefieber*. A poza tym nie bardzo daje się ją opowiedzieć, by nie wpaść w sentymentalne klisze (patrz wyżej). Ale w samej książce ich nie ma, i łatwego happy endu, na szczęście, też nie.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI, „REISEFIEBER”, Znak, Kraków 2006

WOJNA KOBIEC

Salvayre pokazuje, jak można nienawidzić

Zdarzyło się państwu kogoś nie lubić? Przykre uczucie? Ale przynajmniej – można z nim żyć. Trudniej z uczuciem wszechogarniającej nienawiści. Suzanne, bohaterka najnowszej powieści Salvayre, wiezie tytułowe „zwyczajne życie” do momentu, kiedy szef wprowadza do firmy nową sekretarkę. Paniusia natychmiast staje się obsesją naszej bohaterki. I to nie tylko dlatego, że tamta jest młodsza i wiezie szczęśliwe życie rodzinne. Bardziej boli, że „ona żuje gumę”, „cuchnie”, a „kuchnia to jej konik”. Porównywana z Jelinek autorka pozwala nam śledzić kolejne etapy opętania Suzanne, przyglądać się jawnej wojnie pomiędzy dwoma pracownicami agencji. I chociaż Salvayre nie szczędzi groteski i humoru (czarnego), historia jawi się jako prawdziwie przerażająca: krystalizuje myśli, których się wstydzimy, naświetla relacje, o któ-



ONA JEST MŁODSZA I CUCHNIE – MYŚLI BOHATERKI LYDII SALVAYRE

rych wolelibyśmy zapomnieć. Przeraża także samotność Suzanne. Salvayre notuje myśli bohaterki krótkimi zdaniem, jakby mówiła z trudem, przez zacisnięte usta, nerwowo wypluwała złą krew. I mimo tej napsutej krwi, wściekłości, współczujemy bohaterce. Jest żalona, nieszczęśliwa, a jej zachowania są autodestrukcyjne i powoli odsuwają ją na margines. Czytelnik, który przeciw ogląda tę relację z góry, przyjmuje mądrą minę doktora i zastanawia się nad lekarstwem. Wpada na pomysł, który nielato wprowadzić: trzeba się zdystansować, ochłonić, wypaść z roli.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO



LYDIE SALVAYRE „ZWYCZAJNE ŻYCIE”, PRZEL. EWA WIELEŻYŃSKA, Znak, Kraków 2006



ANDRZEJ SOSNOWSKI ZASTANAWIA SIĘ, OD CZEGO ZACZAĆ DOŻYTKI

TUNEL NA KOŃCU ŚWIATŁA

Świeży trop zamiast pomnika, czyli **wiersze zebrane Andrzeja Sosnowskiego**

Ponoć kiedy wydawca zadzwonił do T.S. Eliota, by zaproponować mu publikację wierszy zebranych, ten ostatni zapytał, czy data jego śmierci została ustalona i czy nekrologi rozesłano już do gazet. Można oczywiście powiedzieć, że była to ze strony autora „Ziemi jałowej” kokieteria, że tak naprawdę pomysł wydawcy sprawił mu ogromną przyjemność, bo dzieła zebrane wydaje się tylko tym, którzy miejsce w historii literatury mają już zapewnione. Z drugiej jednak strony, skoro znaczenie czyjeś twórczości jest tak duże, to czy dzieła zebrane są jeszcze potrzebne? Obawa Eliota była słuszna, bo przecież tom zbierający wszystkie teksty danego autora oznacza w pewnym sensie zamknięcie w archiwum. W pewnym sensie – czyli nie zawsze i nie wszędzie. W pewnym sensie – czyli wszystko w rękach autora.

Już sam tytuł wierszy zebranych Andrzeja Sosnowskiego sugeruje ironiczną rozprawkę z pomnikowością literatury. Dożynki to oczywiście święto, święto poezji, radość z udanego zbioru wierszy w ostatnich sezonach (utwory z lat 1987–2003), wieniec tekstów i przednia zabawa do rana dla każdego czytelnika. Ale „Dożynki” to także tytuł jednego z wierszy Sosnowskiego, przepięknej vilanelli, która opowiada o końcu wszystkich rzeczy, czyli etymologicznie wszyst-

kich słów, i jednocześnie zapowiada nowe otwarcie. Sosnowski powiada w tym tekście, że „świeży trop koniec końców kończy nasze rzeczy”. Wydaje mi się, że to właśnie poszukiwanie „świeżego tropu” stoi za pomysłem publikacji utworów zebranych. Nie chodzi w tym przypadku o symboliczny gest potwierdzający miejsce autora w literaturze polskiej, lecz raczej o prywatną rozgrywkę z językiem i pisaniem. Sosnowski jest poetą, który najlepiej czuje się w eksperymentalnej przestrzeni literatury. Interesuje go – jak mówi w jednym z wywiadów – testowanie możliwości różnych poetyk i gatunków, przejmowanie jakiegoś języka i wyrowadzanie go poza tradycyjne obszary pisania i czytania. Do tego zdążył nas już przyzwyczaić.

Kiedy w literaturze pojawia się przyzwyczajenie, widmo oswojenia i usankcjonowania pewnego sposobu pisania, trzeba znaleźć inną przeszczeń, trzeba przestawić elementy poetyckiej układanki, przeładować broń, odmienić język, urządzić dożynki i znaleźć świeży trop. To, że autor nie umieścił w zbiorze wydanego w zeszłym roku poematu „Gdzie koniec tęczy nie dotyka ziemi”, pokazuje, że nie ma mowy o żadnym ostatecznym końcu. Skoro tęcza nie dotyka ziemi, to znaczy, że jest jeszcze trochę miejsca na literacką krzątaninę, na nowe wiersze. To nie światło znajduje się na końcu tunelu, ale – mówiąc słowami autora – tunel na końcu światła.

GRZEGORZ JANKOWICZ



ANDRZEJ SOSNOWSKI, „DOŻYŃKI”, Biuro Literackie, Wrocław 2006

mistrzostwo na piątkę warto ujdzie kiepskie dno

Wyróżnij się www.aygo.pl

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno



W TYM KLUBIE UPRAWIA SIĘ
DZIKI, ZWIERZĘCY SEKS

TAN NOCY SZPETNEJ

...I nie opuszczę cię aż do śmierci

Akcję „Snu nocy letniej” Maja Kleczewska przynosi, jak to ma już w zwyczaju, we współczesność. Zmienia realia obyczajowe, część tekstu Szekspira wyrzuca, część parafrazuje, resztę zostawia w roli poetyckiego cytatu. Nie ma lasu ateńskiego, gdzie znajdują schronienie młodzi kochankowie, jest wypasiony nocny klub, którego właścicielem jest Tezeusz (Roman Gancarczyk). To tu tętni orgia przegradzająca się w histeryczną stypę. Bo nie ma świata poza klubem i nocą.

PLUGAWY KOROWÓD

Kleczewska przeczytała tę komedię jako zakamuflowaną wizję dance macabre, tańca śmierci. Nocna szamotanina spragnionych siebie ciał, łamanie zakazów, utarczki świata realnego z urojonym tworzą zaiste plugawy korowód. Nie ma tu snu i iluzji, jest co najwyżej trans tuningowanej rzeczywistości. Co druga scena to albo kazirodztwo, albo zwierzęcy, dziki seks z przypadkowymi partnerkami. Festiwal afrodyzjaków, kolekcja atrap do uprawiania miłości.

Nie polubilibyśmy gości z tego klubu. Ci faceci (Demetriusz Krzysztofa Zarzeckiego, Lizander Piotra Polaka, nawet Egeusz Zbigniewa Rucińskiego) nigdy nie odpuszczają. Bną w upokorzenie, wódę, narkotyki, seks. Szukają wyłącznie dziewczyn, które oddają się z prędkością światła. Dwie młode aktorki bezwstydnie i odważnie grają uprzedmiotowione kobiety traktowane jak odkurzacze

miłości. Joanna Kulig (Hermia) zmienia się w tępą, plastikową lalkę pompowaną i przetrucaną z miejsca na miejsce. Sandra Korzeniak (Helena) odkrywa w sobie jakieś rozpaczliwe, dyskotekowe krowiszce, seksdominatrix dla ubogich. Dopisana Szekspirowi bezrobotna aktorka Krystyna (Urszula Kiebzak) szlaja się po castingach i imprach. I tylko gdzieś z boku, w kontrze, dopada nas milczenie skulonej i zaniedbanej Tytanii. Ta osamotniona kobieta w depresji potrafi zakochać się nawet w striptizerze (Piotr Głowacki). Piękna, przejmująco bolesna rola Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik.

WOLNY PTAK

Wodzirejem tego świata jest metroseksualna i metroteatralna postać bezkompromisowo prowadzona przez Sebastiana Pawlaka. Kombinacja Puka, Ganimedea i Filostrata. Lutek Danielak Nowego Wspaniałego Świata. Żadnych barier ani oporów. Żadnych właściwości. Może być każdym. Chłopakiem, dziewczyną, psem. Puk Pawlaka to osobnik, który podczas wojny miłości przeszedł najwięcej i dlatego teraz wyznacza na scenie rytm transformacji, narzuca modę i styl bycia pozostałym bohaterom, którzy cały czas zmieniają stroje, zakładają różnokolorowe peruki, przyjmują kolejne wcielenia grzechu. W świecie Kleczewskiej nosi się miłość jak w Fashion TV i uprawia płeć jak w RTL2.

Teatralne pismo Kleczewskiej dużo zawdzięcza Wąrlikowskiemu, Jarzyni, ba – nawet wczesnemu Klacie. Ale reżyserka lepi z cudzych przebłyków świat absolutnie wła-

sny i drapieżny. Żadnego moralizowania, żadnych recept. Tylko chłodna, bezlitosna relacja o śmierci miłości, która w finale nagle nasiąka rozpaczą – Puk mówi do mikrofonu przysięgę małżeńską. W zastępstwie pary kochanków, za Tezeusza i Hipolitę, za umarłych Pyrama i Tyzbe... I brzmi to jak tren za tym, co bezpowrotnie minęło.

ŻYCIE SPISANE NA STRATY

Krakowskie przedstawienie Kleczewskiej, dopełniające (po opolskim „Makbecie” i kalskim „Woyzecku”) jej intymną trylogię zdeprawowanego świata, doskonale pokazuje, czego reżyserka najbardziej się boi. Tego, że i teatr może się zarazić od życia niezdolnością do prawdy. Rzeczywistość spisano już na straty, może choć teatr ocaleje. Dlatego wątek ateńskich rzemieślników szykujących spektakl na wesele Tezeusza i Hipolity śmieszny w przedstawieniu, ale nie do końca. Nagle głupi, grafomański tekst o miłości Pyrama i Tyzbe, idiotycznie odgrywany przez zbieraninę trzeciorzędnych aktorów z castingu świetnie granych przez aktorów Starego Teatru, dokopuje się do czegoś prawdziwego. Ocala fundamentalną szczerą i naiwność uczucia. Gdzie miłość? – pyta Kleczewska. Tylko w sztuce. W przeciwieństwie do życia teatr ma zawsze dobre intencje.

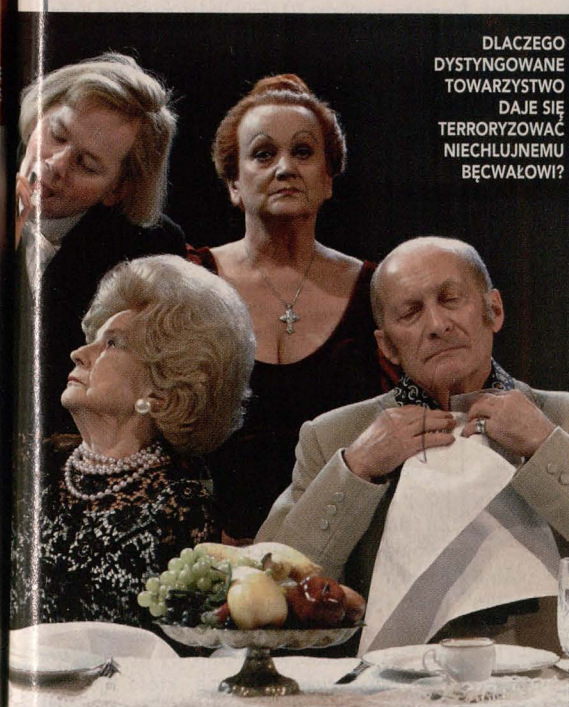
ŁUKASZ DREWNIAK

„SEN NOCY LETNIEJ” WEDŁUG W. SZEKSPIRA, ADAPTACJA I REŻYSERIA M. KLECZEWSKA, SCENOGRRAFIA K. BORKOWSKA, MUZYKA J. OSTASZEWSKI I ABBA, NARODOWY STARY TEATR W KRAKOWIE

CHAM I ADORATORZY

Cywińska drwi z bałwochwalców

Jest sobie Foma Fomicz, facet mało podobny do grającego go, przystojnego Andrzeja Zielińskiego, ze strakami tłustych włosów nad lysiejącym czołem, w rozchelstany szlafroku, przydeptanych kapciach. Gbur, kompleksiarz, demagog i cham. I jest pocziwe, niby-przyzwoite towarzystwo z majątku Stiepanczykowo, które patrzy w niego jak w tęczę i wierzy w jego geniusz. Nie ma żadnego rozumnego uzasadnienia dla tej adoracji. A skoro tak, to zwykle wieczorne rozmowy, posiłki i spacer nagle pęcznią groteską i absurdem. Dystygowane damy (z cudowną Danutą Szafarską na czele) mają trochę zbyt operowe peruki. Kamerdyner Gawryła (Leon Charewicz) przylepił sobie chłopską brodę dość niedbale. Rubaszka lizusowatego służącego (Mateusz Damięcki) daje po oczach barwą słodkiego rózu. Cała zaś przestrzeń bardziej jest ekspozycją psychicznego odjechania niż terenem opowieści. Izabella Cywińska nie chce relacjonować fabuły wczesnej powieści Dostojewskiego. Chce się śmiać, a jeszcze bardziej złościć na bałwochwal-



DLACZEGO
DYSTYGOWANE
TOWARZYSTWO
DAJE SIĘ
TERRORYZOWAĆ
NIECHLUJNEMU
BĘCWAŁOWI?

stwo, jakim darzy się miernotę; wolno sądzić, że denerwują ją podobne praktyki w okolicznościach historycznie bliższych niż XIX-wieczna Rosja. Spektakl jest zgryźliwą karykaturą, a nie konwencjonalną opowieścią, zatem wszystkie konwencjonalności (jak wątek miłosny) wypadają blade. Aliści nie pamięta się o tym, patrząc, jak upojony władzą cham hipnotyzuje upokorzonego adoratora, zaś Wojciech Pszoniak, przelamując wewnętrzny opór, modeluje głowę i szyję, by wreszcie uniesienie wykrztusić: „Wasza ekscelencjo...”.

JACEK SIERADZKI

„WASZA EKSCELENCJA” WEDŁUG FIODORA DOSTOJEWSKIEGO, PRZEKŁAD JERZY JĘDRZEJEWICZ, ADAPTACJA I REŻYSERIA IZABELLA CYWIŃSKA, SCENOGRAFIA MAŁGORZATA SZCZĘŚNIAK, MUZYKA JERZY SATANOWSKI, TEATR WSPÓŁCZESNY W WARSZAWIE

FIGURY FIGURY

Popaprańcy z pustej stacji

Rzecz dzieje się na amerykańskiej podmiejskiej stacji benzynowej. Od dawna nieczynnej, przerobionej na prymitywne locum matki szajbuski i syna trochę nie tego. Szajbuska pracuje wprawdzie w banku i stara się trzymać szpan, ale gdy wraca do swojej nory i towarzystwa popaprańców zalegających wokół, przypomina



TA ŁYSA
MARZYCIELKA
TO NAPRAWDĘ
KATARZYNA
FIGURA

dużego bąka kręcącego się z poczucia bezsensu. Synek nie tego doznaje wizji szczęścia w postaci eleganckiej pannicy w białym fordzie mustangu, co zatrzymała się na stacji w prostym celu ulżenia pęcherzowi. Po obejściu płacze się jeszcze para starych dziwaków i jacyś szemrani kolesie. Wszyscy mówią dziwnym językiem z pogranicza realizmu i liryki. Skutek ten, że i spektakl stara się podążać za mówionym stylem, zataczając się od dosłowności do nierealności. Trudno powiedzieć, byśmy opuszczali teatr specjalnie o coś mądrzejsi. O życiowych odpadkach powstało już takie mnóstwo utworów rozmaitego autoramentu, że jeszcze jeden chyba niespecjalnie wrzusi. Ale wyniesiemy i zyski. Na przykład szaloną rolę coraz bardziej szalonej Katarzyny Figury, aktorki, która w ostatnich latach dokonała cudu przemienienia z Barbie w Isabelle Huppert. Jej solówki i duety, zwłaszcza z rewelacyjnym Krzysztofem Draczem (pryncypał z banku wpadający z odwiedzinami), są warte wszystkich pieniędzy. Niestety, im młodziej, tym gorzej. Co by znaczyło, że dobrze być młodym, ale jeszcze lepiej coś umieć, a zwłaszcza mieć w środku.

TADEUSZ NYCZEK

„ALINA NA ZACHÓD” DIRKA DOBBROWA, PRZEKŁAD DOROTA SAJEWSKA, REŻYSERIA PAWEŁ MIŚKIEWICZ, SCENOGRAFIA BARBARA HANICKA, MUZYKA ROBERT SIWAK I FABIAN WŁODAREK, TEATR DRAMATYCZNY W WARSZAWIE

OBRAZY OBRAZU

Ucieleśnić Polskę solidarną

Jakaś taka cisza zapadła po tej premierze. Nie dziwota. Nastaly czasy dla teatru niebezpieczne. Skoro szef Jedynej Słusznej Partii ogłasza, że chce cenzurę obyczajowej, to krytyk musi uważać, które szczegóły scenografii zdradza, jak komplementuje aktorki. Bo a nuż jakiś radny albo senator przeczyta i donos do prokuratury gotowy. Na wszelki wypadek oświadczam, że o ile mi wiadomo, zarówno reżyserka, jak i obie występujące na scenie artystki, a także ich bracia i siostry, a nawet dalsza rodzina, w pełni popierają linię ideologiczną Jedynej Słusznej Partii. Spektakl Podbielskiej potrafi sprostać wyzwaniu epoki. Z pasją krytykuje polski kapitalizm, który zmusza żarliwie wierzące kobiety do czynów niegodnych. Oskarża panoszące się wokół pseudoliberalne wartości o zanik więzi rodzinnych. Na szczęście matka (odpowiedzialnie grana przez Milenę Lisiecką) znajduje pociechę w Ukochanej Rozgłośni. Promienie emanujące z wiszącego na ścianie świętego obrazu wyraźnie odmieniają też charakter jej córki (sprężysta Julia Balsewicz – atest Narodowego Instytutu Ciała Wiekuistego). Zaświadczam ponadto, że wykorzystane w finale rekwizyty falliczne nie kojarzą mi się z niczym nagannym. A nawet mogą dopomóc ucieleśnianiu idei Polski solidarnej.

ŁUKASZ DREWNIAK

PS Ujmuję jedną kropkę, bo muzyka zawiera tu akcenty hiszpańskie, a jak wiemy, w Hiszpanii legalizuje się związki homoseksualne, na co przystać żadną miarą nie możemy.

„O MATKO I CÓRKO!” ROBERTA BOLESTY, REŻYSERIA I SCENOGRAFIA BOGNA PODBIELSKA, MUZYKA MICHAŁ GÓRCZYŃSKI, LABORATORIUM DRAMATU W WARSZAWIE



SŁUCHANIE
PRZEZ MATKĘ
UKOCHANĄ
ROZGŁOSNI
ODMIENI
CHARAKTER
NIESFORNEJ
CÓRKI

Wyróżnij się



www.aygo.pl

Wyróżnij się



www.aygo.pl

PO PRAWEJ: SILENT DISCO
W GLASTONBURY, SHOW NA TYSIĄC PAR
SŁUCHAWEK. PONIŻEJ: QUIET PARTY.
GDY KTOŚ OPOWIE DOWCIP, MOŻNA SIĘ
TU ŚMIAĆ, ALE NA PAPIERZE



NAJCICHSZE BALANGI SWIATA

Przed hałasem miejskim uciekniesz tylko na... imprezę, o ile będzie to **cicha impreza**

Pewnego letniego sobotniego wieczoru trzy lata temu nowojorscy muzycy Paul Rebhan i Tony Noe wybrali się na piwo, ale każdy bar, który odwiedzili, wyglądał jak nowojorski bar – był zbyt głośny, aby można było w nim zebrać myśli i pogadać o życiu nad kufelkiem złocistego płynu. Wyjście na ulicę nie przyniosło poprawy – wprawdzie było lato, ale tłum ludzi, klaksony i alarmy samochodów, głośna muzyka z magnetofonów (przypominam – akcja dzieje się w mieście, które nigdy nie śpi) skutecznie zniechęcały do egzystencjalnych dysput. I wtedy Paul i Tony wymyślili panaceum na wszechobecny hałas – *quiet parties*, czyli ciche imprezy, gdzie nie ma dzwoniących telefonów, wrzasków gości, którzy usiłują przekrzyknąć zbyt głośną muzykę, a z głośników sączy się spokojna, wręcz relaksacyjna muzyka ambient.

Milczenie jest srebrem...

Quiet parties cechuje jednak jeszcze jeden niezwykle ważny element – goście nie mogą mówić! Tylko co to za impreza, gdzie nie można sobie pogadać? I na to znaleziono jednak sposób. Zaraz przy wejściu każdy

uczestnik otrzymuje przybory do pisania (ołówki, papier), a do piersi przytwierdza mu się naklejkę z jego własnym imieniem. Tak uzbrojony może ruszać na zabawę, a z innymi uczestnikami porozumiewa się tylko za pomocą komunikatów wypisywanych na papierowych fiskach. Nawet drinki w barze zamawia się w ten sposób. Efekty przypadkowego trafienia na taką imprezę bywają rozmaite. Imprezowicze na karteczkach pytają: „Czy to jakaś sekta?”, „Czy powinniśmy się teraz wszyscy rozebrać?”, „Często tu piszesz?” lub zagajają: „Jestem profesjonalnym analitykiem pisma. Musimy porozmawiać”.

Dla tych, którym nie wystarcza odpocznik od hałasu i na imprezie chcieliby poznać kogoś interesującego lub znaleźć miłość swojego życia, wymyślono z kolei *silent dates*, czyli milczące randki. Zasady są tu analogiczne do cichych imprez – żadnych dzwoniących telefonów, głośnej muzyki, hałas zostaje za progiem baru, na ulicy. A podryw odbywa się za pomocą ołówka i papieru.

...a licencja złotem

Pomysł Paula i Toma chwycił. Bezgłośnie imprezowanie stało się modne nie tylko w Nowym Jorku, ale i w prawie całych Stanach Zjednoczonych (w Miami tego typu imprezy organizowane są codziennie w trzech klubach, a w Chicago w co najmniej pięciu nocnych lokalach), Londynie (pod nazwą *Cosmoparty*), Moskwie oraz w Paryżu, z tą różnicą, że na kontynencie *quiet parties* trwają

maksymalnie dwie godziny, a na półkuli zachodniej zdarzają się spotkania trwające dwie doby! Może temperament Europejczyków nie pozwala im milczeć tak długo i zadziergnięte znajomości woła kontynuować w tradycyjny sposób? Bary organizujące *quiet parties* można znaleźć nawet w Pekinie.

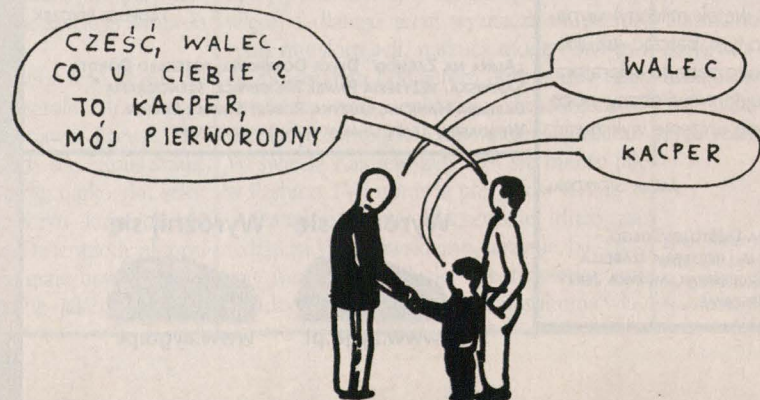
Są różne mutacje zabawy, z takimi pomysłami jak choćby taniec do wybranej muzyki płynącej ze słuchawek (każdy buja się w innym, wybranym przez siebie rytmie) – organizowane w Szwecji czy ostatnio na festiwalu Glastonbury, a nazwane *silent disco*.

W Polsce jeszcze nie ma cichych imprez, ale to nie problem. Tom i Paul proponują na swojej stronie coś w rodzaju licencji na *quiet parties*, która zawiera szczegółową instrukcję, jak zorganizować własne party, i stronę internetową z informacjami o przygotowywanej imprezie. W ramach licencji można także zamieścić link do swojej strony na głównej stronie *quiet parties*. Jest tylko jeden mały zgrzyt – licencja kosztuje. Za przywilej półrocznego prezentowania swojego linku na stronie *quietparty.com* plus licencję należy zapłacić 65 dolarów, natomiast roczne wyświetlanie linku to już wydatek rzędu 99 dolarów. Jednak licencja taka nie jest przecież konieczna, by samemu zorganizować ciche przyjęcie, które nie tylko będzie oryginalne, ale i zaoszczędzi mnóstwa kłopotów z rozeźlonymi nocnym balowaniem sąsiadami.

SYLWIA CZUBKOWSKA

Wyróżnij się
www.aygo.pl

Wyróżnij się
www.aygo.pl



WILHELM SASNAL

Za droga schizofrenia

W nawiązaniu do artykułu Olgi Woźniak pod tytułem „Leki na wagę złota” (*Przekrój* nr 05/2006) pragnę przybliżyć temat dostępności leków na schizofrenię z pozycji przeciętnego pacjenta. Schizofrenia atakuje pomiędzy 15. a 30. rokiem życia. W Polsce choruje na nią około 400 tysięcy osób. Mają oni do dyspozycji leki klasyczne: niedrogie, o małym ryzyku uzależnienia, powodujące w większości przypadków przykre i uciążliwe skutki uboczne. W ich wyniku często przerywają leczenie. Nawroty leczy się dużo trudniej. W 15 procentach przypadków stosuje się leki tak zwanej II generacji – to już poważne leczenie – schizofrenia lekkooporna. Takie leki powinny zdaniem specjalistów otrzymać co najmniej 50 procent chorych!

Leki II generacji znajdujące się na listach refundacyjnych też są stare (ostatnia nowelizacja w 1998 roku), także powodują skutki uboczne: na przykład tycie – nawet 30 kilogramów w ciągu miesiąca – kłopoty z mową, zaburzenia wzroku. Te i inne objawy uboczne powodują napiętnowanie pacjenta w środowisku. Traci pracę, nie może się uczyć, często traci rodzinę.

Do obrotu dopuszczone są leki nowoczesne – niepowodujące objawów ubocznych. Po nich pacjent może normalnie funkcjonować. Ale nie są refundowane. Nie przemawia do nas argument o braku pieniędzy w NFZ na refundację nowoczesnej farmakoterapii – farmakoekonomia mówi, że koszty leczenia powikłań rosną szybciej niż oszczędności z racji stosowania taniego leku. Rachunek ekonomiczny mówi inaczej o marnotrawstwie środków. Rachunek moralny mówi o tragedii ludzi, którzy mogliby żyć normalnie, gdyby dostali dobre leki. Tak jest w Rumunii, na Litwie, w Czechach, na Węgrzech. W tych krajach już zrozumiano, na czym polega oszczędność, i refundowane są naprawdę nowoczesne leki. U nas pacjent musi płacić 400–600 złotych miesięcznie. Kogo na to stać?

MAŁGORZATA STARZYŃSKA,
PREZES STOWARZYSZENIA
QUANTUM SATIS

– jest jednak sztuką wizualną. Nawiązuję tu do recenzji filmu „Ja wam pokażę!”, w której Pani Sadowska była łaskawa stwierdzić, że Judyta (Grażyna Wolszczak) biega po deszczu w body, samonośnych rajstopach i butach na obcasie zwieńczonych pomponem”. Na towarzyszącym recenzji zdjęciu wyraźnie widać, że Grażyna Wolszczak ma na sobie samonośne pończochy (swoją drogą samonośne rajstopy to jakiś nonsens), a jej buty są zwieńczone kokardami. Być może krytyk Małgorzata Sadowska jest mężczyzną, i to by go trochę tłumaczyło, ale przecież jest jeszcze korekta i reszta Redakcji.

MAREK LIPSKI

SZANOWNY PANIE!

Być może jest Pan kobietą, skoro tak doskonale (w przeciwieństwie do mnie) rozoznaje się Pan w kwestiach damskich strojów. Z pokorą przyznaję, że nie dojrzałam subtelnej różnicy między pończochami a rajstopami, ale nadal potrafię dostrzec różnicę między złym a dobrym filmem. Dlatego moja opinia o „Ja wam pokażę!” pozostaje niezmienną.

MAŁGORZATA SADOWSKA,
KOBIEȘA

PRZEPROSINY

W artykule „Niewymiatalni, czyli jak się nie dać zwolnić” („P” nr 3) omówiłam wypowiedzi prezesa Polskich Wydawnictw Profesjonalnych, pana Włodzimierza Albina dla „Gazety Wyborczej” i „Rzeczpospolitej”. Opisywały one problem ze zwolnieniem pracownika, a zarazem radnego LPR Roberta Rogali. Pan prezes nie udzielił mi wypowiedzi, a informacja o ich źródle nie pojawiła się w ostatecznej wersji mojego artykułu. Błędnie też napisałam, że radnego postanowiono zwolnić w połowie 2005 roku, tymczasem miało to miejsce w połowie roku 2004. Zaoferowano mu nie dziesięciokrotność, lecz dziewięciokrotność pensji. Za błędy przepraszam.

SYLWIA CZUBKOWSKA

SPROSTOWANIE

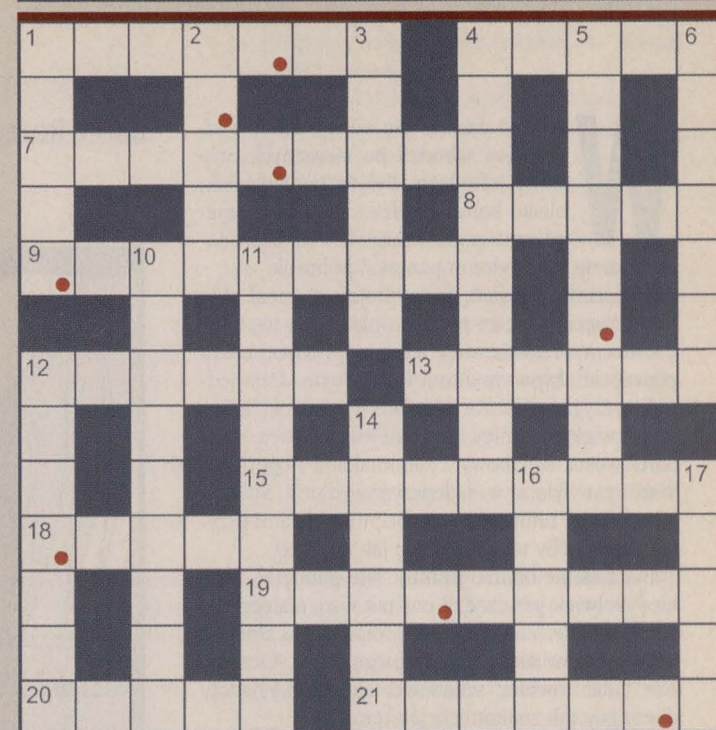
Do mojego artykułu „Priorytet. Nie kradnij!” („P” nr 6) wkraść się w błąd. Firma DHL Express połączyła się z firmą Servisco, a nie, jak podałem, Stolicą SA. Tego kuriera przejęła firma UPS. Nieprawdą jest również, jakoby UPS było kapitałowo powiązane z francuską La Poste. Zainteresowane firmy i Czytelników wprowadzonych w błąd serdecznie przepraszam.

JULIUSZ WIELUCH

Czy Sadowska jest mężczyzną?

Proponuję małe usprawnienie recenzji filmowych w „Przekroju”, to znaczy niezamieszczanie fotosów z omawianych filmów. Pozwoli to czytelnikom uniknąć podejrzeń, iż Pani Małgorzata Sadowska ma jakieś kłopoty ze wzrokiem, co recenzentowi filmowemu z pewnością nie przynosi chluby, jako że film – jakkolwiek by było

KRZYŻÓWKA nr 8



POZIOMO:

1. MAKSYMALNE ZBLIŻENIE
4. PRZED BITWĄ POD GRUNWALDEM
7. Z DIJON LUB Z SAREPPO
8. PO URODZINACH
9. 20 DAG MĄKI, 20 DAG CUKRU
12. BANIE ZBIOROWE

13. SIR

15. BÓL W KOSTKACH
18. SNUJE WĄTEK
19. DZIAŁA PRZECIWKO NAM
20. ROZMOWY Z KIEROWCĄ
21. OMOSTEK

PIONOWO:

1. NIEHONOROWY BIORCA KRWI

2. COŚ POD ZĄB

3. PILOTKA ALLADYNA
4. HALIBUDKA
5. ŚLUB
6. BUŁKACHOW
10. KOŁO
11. RUCIOCIĄG
12. NA PASTERCE
14. POZIOM WODY
16. BANIE INDYWIDUALNE
17. A CI KAKADU

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

Rozwiązanie krzyżówki nr 5: MILIONIŁ

Poziomo: 1.smoking 4.pobyt 7.repertuar 8.Lolek 9.przyprawa 12.remiza 13.belfer 15.ornitolog 18.kciuk 19.inkubator 20.złóść 21.terapia
Pionowo: 1.strup 2.Kresy 3.grubas 4.parlament 5.bibliofil 6.tractor 10.zimowisko 11.paznokieć 12.rozkosz 14.unikat 16.obawa 17.górka

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 3 nagrody wylosowali: Regina Dowbieszko, Pruszczy Gdański; Małgorzata Dziubińska, Warszawa; Henryk Galist, Chelmek; Aldona Habrat, Krosno; Alicja Holyńska, Bydgoszcz; Maria Nowak, Leszno; Szczepan Rojowski, Katowice; Teresa Śnieżek, Nisko; Izabela Wyrwicz, Poznań; Ryszard Żurawski, Przemyśl. Gratulujemy!

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS o treści PRKK.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 71070 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomędzy czytelników, którzy do niedzieli 5 marca nadesłali prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), wyłonimy 10 zwycięzców, którzy otrzymają płytę System of a Down „Hypnotize”.

Za poprawne rozwiązanie rebusu nr 5 nagrody wylosowali: Małgorzata Bielan, Wrocław; Paweł Krawczyk, Warszawa; Włodzimierz Mytnik, Kraków; Dorota Piekarczyk, Kratowice; Paulina Tokarczyk, Kęty. Gratulujemy!

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 8

UWAGA! JOLKA nr 8 – szukaj w Internecie: www.przekroj.pl

OBCY W PIWNICY

KAMIL ROZEK

Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy Świniobójca schodził po mrocznych, wąskich schodach. Był to poniedziałek, blisko końca października, i od samego rana padała mżawka, co powodowało, że w całym domu panował półmrok.

Jako że była jesień, Świniobójca nie miał zbyt wiele zajęć – prace polowe zakończyły się wraz z końcem września, więc teraz mógł więcej czasu poświęcić eksperymentom kulinarnym. Dziś jednak zrezygnował z oryginalności; posiłek, który znosił w głąb piwnicy, stanowił kwintesencję standardowości: schabowy z ziemniakami i ogórkiem kiszonym. Tyle że w najlepszym wydaniu. Świniobójca chciał zaimponować obcemu polskimi przysmakami, żeby ten poczuł się jak najlepiej.

Był z siebie bardzo dumny. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przyrządził coś tak wspaniałego tylko dla siebie. Zawsze jadał proste dania złożone z kaszy, ziemniaków i gotowanego mięsa. Oczywiście jadał również schabowe, ale nie wyglądały one nigdy tak znakomicie jak ten.

Znalazszy się u podnóża schodów, uzmysłowił sobie, że przez cały czas dumnie wypina klatkę piersiową. Uświadomił sobie również, że talerz, z którego ulatnia się smużka gorącej pary, parzy go w dłoni. Wcale go to jednak nie rozczłowiło. Wręcz przeciwnie, z tego też był dumny. Cholernie dumny.

Skręcił w lewo. Obcy siedział na swoim nowym posłaniu w kącie pomieszczenia, tuż pod małym okienkiem – tak brudnym, że wpadało przez nie niewiele światła. Wystarczyło go jednak, by wydobyć z mroku zarysy zamysłonej twarzy obcego.

Świniopas zatrzymał się tuż nad nim.

Nad pryczą obcego wisiała półka z wekami; to właśnie stąd pochodziły ogórki, które znalazły się w dzisiejszym jadłospisie. Świniobójca od razu zauważył, że brakuje jeszcze kilku słoików, z owocami. Tylko jedna osoba mogła być sprawcą kradzieży. Na ławie stał otwarty słoik z resztkami truskawek.

A co tam. Obcy sporo płacił.

Miał dziwne urządzenie przypominające walizkę. Trzymał je teraz otwarte na kolanach i co chwila stuknął palcami w spodnią część. Na górnej części „walizki” widniały liczne obrazki i znaki; Świniobójca ani w ząb ich nie rozumiał. W chwili, kiedy postawił obiad na ławie, obcy oderwał wzrok od pomrującego i brzęczącego ekranu „walizki” i powiedział coś w swoim niezrozumiałym języku. Brzmiało to mniej więcej jak „dieńńńkuje”. Świniobójca z namysłem, ale i bezradnie zmarszczył krzaczaste brwi. A tylko spróbuj mi tu wybrzydząć, pomyślał, i odwrócił się, gotów wrócić do codziennych obowiązków.

Przy schodach zatrzymał go starczy, wysoki głos. Obcy trzymał w ręce kompot, który Świniobójca przed chwilą mu dostarczył, a palcem drugiej wskazywał na spód kubka. Świniobójca przez chwilę obserwował całkowicie dla niego niezrozumiałą gestykulację, po czym odwrócił się i wkroczył na schody. Jak się nie potrafi wystowić, to jego problem, pomyślał.



Swojski Hannibal Lecter w wiejskim sklepiku?
Najbardziej poszukiwany człowiek
Świata zajada polskiego schabowego i kiszzone ogórki?
Czy pojawi się też Chuck Norris?
Zapraszamy do Klewek

ILUSTRACJE MARIUSZ WOLAŃSKI

Ułamek sekundy później obcy złapał go za ramię, ale kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, natychmiast cofnął rękę i wykonał zapraszający gest. Świniobójca z ociąganiem wrócił do kąta przy okienku, ponownie zatrzymał się nad czarodziejską „walizką” i czekał, aż obcy skończy stukanie w guziki. Złościła go tylko jedna rzecz: dlaczego to coś musi tak cholernie bzyceć? Niewiele brakowało, żeby wyrwał ją z rąk obcego i cisnął o ścianę, lecz właśnie wtedy obcy wskazał pomrujący wyraz na ekranie.

Cukier.
Cukier? A niby skąd ja ci go wezmę?
Świniobójca pokręcił głową na znak, że cukru nie ma, po czym wyszedł z piwnicy.

Na dworze padało coraz obficiej. Spod łóżka Świniobójca wydobył skórzaną walizkę bardzo podobną do walizki obcego. Nacisnął dwa spusty po bokach, uniósł wieko i jego oczy rozblęśły radością dziecka stojącego za sklepową szybą i wpatzonego w słoik pełen cukierków. Tyle że w walizce zamiast cukierków były zielone banknoty. Z wyrazem skupienia na twarzy wyciągnął jeden. Znał na pamięć napis na papierku, taki sam jak na wszystkich: ONE HUNDRED DOLLARS.

Zaraz zobaczymy, co warte są te twoje pieniądze. Chciałeś cukru, to go dostaniesz.

Energicznie strzepał od dawna nieużywany płaszcz przeciwdeszczowy i założył go. Wyszedł na zewnątrz, prosto w padający deszcz. Droga do sklepu prowadziła najpierw przez zorańskie pola (miejscami tak grząskie, że Świniobójca zapadał się po kostki), potem leśną ścieżką, by w końcu przeobrazić się w asfalt.

Dziesięć minut; tyle czasu potrzebowwał Świniobójca, aby dotrzeć do czarnej nawierzchni. Im dalej nią szedł, tym większe ogarniały go obawy, które chwilami zdawały się niemal graniczyć ze strachem. Strachem? Przed czym? Oczywiście przed oszustwem. „Badzo dujo”, tak zapewnił go jeden z ludzi, kiedy wręczyli mu walizkę, w odpowiedzi na pytanie, czy dużo może za to kupić, ale czy na pewno? Czy nie popełnił błędu, za-

wierając im na słowo? Przecież nigdy nie widział takich pieniędzy. Chociaż, szczerze mówiąc, już od dawna nie widział jakichkolwiek pieniędzy.

Ścisnął mocniej w dłoni zielony banknot. Mam nadzieję, że powiedzieliście prawdę. Dla waszego dobra. Bo jak nie...

Miejsce myśli zajęły obrazy. Takie, których nikt nigdy nie powinien oglądać.

Za zakrętą wyłonił się mały wiejski sklepik z szyldem ARTYKUŁY SPOŻYWCZE. Świniobójcę dzieliło od niego najwyżej jakieś dwieście metrów.

Anna właśnie odkładała ser do chłodniarki, kiedy przez zakratowane okno dostrzegła zbliżającą się do sklepu postać. Gdyby zorientowała się kto to, z pewnością wywiesiłaby kartkę ZAMKNIĘTE albo REMANENT. Ponieważ jednak człowiek był jeszcze daleko, nie rozpoznała w nim Świniobójcę, spokojnie odłożyła ser na miejsce i wróciła do jedynej klientki.

– Coś jeszcze będzie dla pani? – spytała około siedemdziesięcioletnią kobietę, która właśnie starannie wkładała swój kawałek zawiniętego w szary papier sera do równie starej jak ona szmacianej torby.

– Tak, kochaniutka – odparła kobieta. – Zastanawiałam się, co zrobić jutro na obiad, i pomyślałam sobie, że może kartofelki z sosikiem, tylko nie wiem, jakie masz te sosy. Jakbyś mi, kochana, mogła powiedzieć, co tam jest na tej półce, bo wiesz, lata już nie te i wzrok nie taki jak dawniej...

– Oczywiście, już mówię.

Anna podeszła do regału i przebijając wśród torebek, zaczęła czytać na głos:

– Sos myśliwski, grzybowy, tradycyjny... wigilijny, pomidorowy i...

– Dobrze, dobrze, kochana – przerwała jej staruszka. – Niech będzie myśliwski... I daj mi do tego jeszcze parę pomidorów na sałatkę.

Anna włożyła do siatki sześć pomidorów i postawiła na wadze. Wskazówka zatrzymała się na czterdziestym dekagramie.

– Czterdzieści deko, może być?

– Oczywiście, kochana, może być. I wiesz co, daj mi jeszcze...

Pomidory z mokrym plaśnięciem wylądowały na podłodze. Anna, wpatrzona wybałuszonymi oczami w sklepowe okno, cofnęła się o krok i oparła plecami o regał.

– Co ci jest, kochanie? Czegoś się tak wystraszyła?

– Świ... Świniobójca tu idzie!

Starsza kobieta uniosła ręce ku niebu, po czym z zaskakującą zwinnością dała nura za sklepową ladę. Chwilę później do sklepu wkroczył Świniobójca.

Anna nadal stała jak sparaliżowana przy regale. Nie była w stanie oderwać przerażonego spojrzenia od twarzy mężczyzny.

– Jest cukier? – zapytał jakby nigdy nic Świniobójca.

Zamiast odpowiedzi usłyszał dobiegający spod lady niemilosierny lament przemieszany z łkaniem. Ktoś bardzo cichym, łamiącym się głosem obrzucał go wyzwiskami: Precz, szatanie, odejść... zostaw nas, czarcia łapo...

O, co to, to nie! Tego już za wiele. Tak bez powodu wyzywać go od szatanów?

– Pytałem, czy jest cukier!!! – powtórzył nieco głośniejszym głosem.

– Tak – wykrztusiła Anna z największym trudem.

– To poproszę!

Sprzedawczyni schyliła się do najniższej półki, roztrzęsioną dłonią chwyciła papierową torebkę, postawiła ją na ladzie i cofnęła się na poprzednie miejsce. Świniobójca schował torebkę pod płaszcz, a na ladzie położył pomięty i wilgotny studolarowy banknot. Anna przez chwilę przyglądała się zielonemu papierkowi, po czym spytała zaskakująco spokojnym głosem:

– Pan płaci w dolarach?

– Ano.

– Ale my w dolarach nie przyjmujemy... U nas płaci się tylko w złotych.

Świniobójca przez sekundę lub dwie przyglądał się banknotowi, przeniósł wzrok na Annę, jeszcze raz spojrzął na banknot, a następnie odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Wciąż padało, chyba nawet mocniej niż do tej pory. Dopiero w chwili, kiedy Świniobójca usłyszał przeraźliwy pisk opon na mokrej nawierzchni, uświadomił sobie, że wyszedł na jezdnię. Spojrzął w bok: zielone subaru pędziło prosto na niego. Było już za późno na ucieczkę. Zobaczył jeszcze zaskoczona i przerażoną twarz kierowcy, po czym nastąpiło uderzenie.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, był ostry ból w prawym biodrze. Zaraz potem poczuł ciepło krwi spływającej po skroni. Przez chwilę zastanawiał się, czy żyje, czy może już trafił do piekła. Potem zobaczył pobladłą twarz pochylonego nad nim mężczyzny.

– Nic się panu nie stało? – spytała blada twarz.

Nie zważając na ból, Świniobójca zerwał się na nogi i z całej siły pchnął mężczyznę na maskę samochodu.

– Skurwysyny, oszukali mnie!!! – wrzasnął, obryzgując kropelkami śliny jeszcze bardziej przerażoną twarz tamtego. – Oszukali, te pieniądze są nic nieważne!

Anna pewnie długo jeszcze stałaby bez ruchu i gapiała się na studolarowy banknot, gdyby nie staruszka pod ladą.

– Poszedł już?

– Poszedł.



Staruszka wygramoliła się spod lady i niemal wybiegła ze sklepu. Zaraz potem zjawił się mocno ubłocony mężczyzna, odprowadził zdziwionym spojrzaniem staruszkę, po czym podszedł do lady.

– Czy mógłbym skorzystać z telefonu? Chciałbym zadzwonić na policję. Przed chwilą przed pani sklepem zaatakował mnie jakiś dzikus.

Anna co prawda słyszała pisk opon, a potem wrzaski, ale nic nie widziała. Za bardzo była zajęta banknotem.

– To panu nic nie da. Chyba byłoby lepiej, gdyby pan tego nie robił.

– A to dlaczego?

– Pan nie wie, kto to był.

– Owszem, wiem. Jakiś cholerny pijaczyna, który wybiegł mi prosto pod koła.

– Jak pan chce – Anna podała telefon spod lady. – Ale od razu mówię, że policja i tak nie przyjedzie.

Mężczyzna podniósł słuchawkę, ale nie wybrał numeru. Niby dlaczego policja nie przyjedzie? Co to, jakiś Rambo czy inny Robocop? Zwykły pijaczyna, prosta sprawa. Przyjechaliby, załadowali do radiowozu, potrzymali na izbie wytrzeźwień, może trochę spałowali dla przykładu i tyle. Przynajmniej nie łąziłby po ulicy i nie stwarzał zagrożenia dla siebie i innych.

– Dlaczego nie przyjadą?

– Bo to Świniobójca.

– No i co z tego?

– To, że każdy się go boi. To szaleniec i morderca.

– Skoro morderca, to tym bardziej powinienem zadzwonić.

– Ale to nic nie da. Piętnaście lat temu nic nie dało, to i dzisiaj nic nie da.

– Jak to?

Anna pochylała się nad ladą jakby w obawie, żeby ktoś jej nie usłyszał, i zaczęła szeptać:

– Piętnaście lat temu ten człowiek zabił całą swoją rodzinę: matkę, żonę, dwóch synów i córkę. Potem widziano go, jak wynosi do lasu zakrwawione worki, a w nich porąbane ciała. Wielu szukało, ale nikt nic nie znalazł. On sam twierdzi, że doszło do kłótni i rodzina go opuściła, a w workach to on wnętrzności świń wynosił, żeby wilki miały się czym pożywić. Za to, niestety, nie można nikogo aresztować, więc śledztwo skończyło się na niczym. Rodziny nigdy nie odnaleziono, a jego zaczęto nazywać Świniobójcą. Od tego czasu prawie w ogóle nie opuszcza domu, kilometr za lasem, wśród pól. Ludzie jednak nadal wierzą, że to on ich zamordował. Niektórzy mówią, że ciało zakopał w piwnicy, inni twierdzą, że one nadal są gdzieś w lesie, a jeszcze inni przysięgają, że on te ciała sam zjadł – Anna wyprostowała się i podniosła głos. – Ale ja tam w to nie wierzę, choć to okropny człowiek. Stare baby mówią nawet, że to nasienie szatana, nawet policja się go obawia...

Mężczyzna wyszedł i odjechał, zostawiając Annę z jej myślami. Patrzyła przez sklepowe okno.

– I pomyśleć, że zapłacił w dolarach... – wyszeptała ze zdziwieniem.

Świniobójca szybkim krokiem szedł leśną ścieżką. Nie zważając na ból, maszerował z uniesioną głową, w której kołatała się tylko jedna myśl. Myśl będącą źródłem furii, której tak bardzo nienawidził.

Oklamałeś mnie!!!

Wszyscy mnie okłamali!!!

Tą samą ścieżką, którą kroczył Świniobójca, wędrował w spokoju jeź. Jego spokój zakłócił

odgłos zbliżających się szybko kroków. Zwierzę błyskawicznie zwinęło się w kłębek w nadziei, że zagrożenie minie – niestety, tak się nie stało. Świniobójca dostrzegł jeża z daleka, przyspieszył kroku i kopnął z całej siły. Jeź poszybował w głąb lasu, rozwinął się niczym popłuski spadochron i uderzył z cichym plaśnięciem w pień dębu. Świniobójca dopiero teraz poczuł naprawdę potężny ból i krzyknął przezraźliwie.

– A więc twierdzi pan, że potrafił niejakiego Świniobójcę, tak?

– Tak, tak właśnie twierdzą.

– I prosi pan, żeby wysłać po niego patrol?

– Tak, o to proszę.

– Ale po co?! Skoro sobie poszedł, to znaczy, że nic mu nie jest – stwierdził stróż prawa, ale zaraz jakby zmienił zdanie. – No cóż, skoro pan prosi, to prośbę spełnimy. W końcu jesteśmy po to, by chronić ludzkie życie – oznajmił z dumą. – Zanim jednak to nastąpi, poproszę pana o dokumenty pojazdu oraz zapraszam na badanie alkomatem.

Świniobójca najpierw poszedł do obory, gdzie na jego widok stado zgłodniałych prosiaków – przez ten cholerny cukier nie dał im jeszcze zjeść – zaczęło chrupkać i pokwikać. Uspokoił je kilkoma machnięciami wideł, po czym zdjął ze ściany siekiere. Właściwie był to ogromny, ciężki topór oznaczony licznymi plamami krwi. Świniobójca zważył go w ręce, po czym wyszedł na zewnątrz. Świnie pożegnały go zakwizdzeniem kwikiem.

Drzwi do piwnicy były zamknięte od środka. Ku zdumieniu Świniobójcy okazało się, że drzwi domu też są zaryglowane.

Co jest?

Już podniósł siekiere, ale w porę się opamiętał. Jeśli narobi hałasu, obcy na pewno ucieknie, a jemu przecież chodzi o to, żeby go dopaść i sprawiedliwie ukarać. W takim razie jak ma się dostać do środka?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobyl torebkę cukru; całe szczęście nie pękła podczas wypadku. Poprosił obcego, by ten otworzył mu drzwi, kusząc cukrem, którego tamten tak bardzo pragnął. A kiedy obcy otworzył drzwi, grzmotnie go siekiere w łeb – w ten zarośnięty, stary, ohydny łeb. Już sobie wyobraża, jak tamten spada ze schodów, a krew bryzga na ściany obfitą fontanną.

– Kolego, otwórz!

Cisza.

– Kolego!

Wciąż nic, żadnej reakcji. Nabral powietrza w płuca, by zawołać ponownie, ale właśnie wtedy usłyszał niewyraźny szmer przy cizwiach. Czegoś jak czegoś, ale słuchu mógł mu niejeden pozazdrościć.

– Kolego, otwórz. To ja.

Rygiel zaskrzypiał cicho, drzwi uchyliły się powoli i w szparze pojawiła się postać obcego. Stara twarz o zniszczonej cerze, pokryta siwym zarostem. Duże, ciemne, błyszczące oczy. Uśmiechał się. Świniobójca pokazał torebkę z cukrem.

– Pomogę ci... – charczy.

Gwałtownym ruchem wyszarpuje siekiere. Klęczy już na dwóch kolanach, unosi ją nad głowę, ale ręce odmawiają mu posłuszeństwa. Płam przed oczami jest coraz więcej, wirują jak szalone... Prawdziwe tornado. Mimo wszystko udaje mu się zadać cios, a chwilę potem spowija go ciemność.

Kozacki już od kilku minut łomotał w drzwi, ale nikt nie otwierał. W tym czasie młodszy o dwa lata aspirant Mundek obszedł murowany dom.

– I co? – zapytał Kozacki.

– Nic nadzwyczajnego, jeśli nie liczyć anteny satelitarnej na tyłach. Przewody prowadzą do piwnicy. Ciekawe, po co mu telewizja satelitarna w piwnicy? Słyszałem, jak niektórzy gadają, że zakopał tam swoją rodzinę.

– Ludzie różne głupoty wygadują.

– A ja, szczerze mówiąc, wcale bym się nie zdziwił.

– Dobra, niech ci będzie – Kozacki nie ma ochoty się dzisiaj spierać. Wystarczy, że musiał wlec się na to odludzie. – Sprawdziłeś drzwi do piwnicy?

– Tak, zamknięte.

– Czyli nie ma go w domu. Chodź, udowodnię ci, że ludzie gadają głupoty.

A kiedy obcy otworzył drzwi, grzmotnie go siekiere w łeb – w ten zarośnięty, stary, ohydny łeb. Już sobie wyobraża, jak tamten spada ze schodów, a krew bryzga na ściany obfitą fontanną

– Spokojnie, to ja. Zobacz, co mam. Cukier, którego tak chciałeś. Specjalnie dla ciebie kupiłem.

Obcy, wciąż uśmiechnięty, ale i nieufny, otworzył drzwi na oścież, jednocześnie schodząc stopień niżej. W tej samej chwili Świniobójca wypuścił torebkę z cukrem i z całej siły zamachnął się siekiere. Nagle poczuł paraliżujący ból w biodrze; żeby nie upaść, musiał oprzeć się o drzwi. Cios chybił celu, siekiere śmignęła tuż obok głowy obcego i wbiła się w jego bark. Nie było fontanny krwi, jest tylko przeraźliwy krzyk.

Obcy chwycił się, zatacza i nagle...

Boże, skąd on wziął broń???

Długa seria z pistoletu maszynowego trafia Świniobójcę w brzuch i klatkę piersiową. Rzucony ogromną siłą na ścianę osuwa się na schody i bezwładnie toczy po nich w dół, do piwnicy. Łąduje na podłodze niedaleko obcego, który na przemian zawodzi i przeklina w swoim języku, usiłując wyszarpuć siekiere wciąż tkwiącą w jego barku. Świniobójca nie czuje bólu, ale zdaje sobie sprawę, że nie jest z nim dobrze. Przed oczami wirują mu szare plamy, nie może złapać tchu. Z trudem przekręca się na brzuch, podnosi na jedno kolano, chwyta zakrwawioną trzonkę siekiery.

Niczym ciekawskie bachory przycisnęli twarze do wąskiej brudnej szyby w drzwiach piwnicy.

– Nic nie widać...

Kozacki włączył latarkę i poświecił do środka. Kilka worków i wiklinowych koszy, sterta skrzynek z warzywami, na ścianie półka zastawiona słoikami, jakaś folia, niewielki warsztatek. Kozacki skierował snop światła na podszkłę.

– Spójrz. Beton. Posadzka była wylewana ze dwadzieścia lat temu, nie ma najmniejszego śladu, żeby ktoś przy niej potem coś robił. Nie mógł więc zakopać tu swojej rodziny. Oni zaginęli piętnaście lat temu.

– A skąd wiesz, że nie ma jakiegoś ukrytego pomieszczenia, schowka czy czegoś w tym rodzaju?

Kozacki spojrzał na niego z irytacją i politowaniem.

– Bzdury gadasz. Lepiej spadajmy stąd, zanim ten wariat wróci.

Jednak zanim odsunął się od okienka, jeszcze raz, tak na wszelki wypadek, omiótł światłem latarki kąty pomieszczenia. Znacznie później, już na emeryturze, często się zastanawiał, czy to był czysty przypadek, czy może Bóg postanowił jednak w końcu wynagrodzić go za lata ciężkiej, niewdzięcznej pracy.

W przejściu łączącym piwniczne pomieszczenia, obok schodów, dostrzegł zakrwawioną dłoń.

– Jest!

– Co? Gdzie?

– Tam!

Snop światła padał prosto na nieruchomą dłoń.

– O, cholera! Co robimy?

– A jak ci się wydaje? Przecież trzeba to sprawdzić. Wchodzimy.

Po kilku bezowocnych próbach wyważenia drzwi stukli szybko, odsunęli rygiel i weszli do środka. Od razu poczuli woń stęchlizny i wilgoci, ale i czegoś świeżego, jakby niedawno położonej farby. Aspirant Mundek był tak podekscytowany, że zawadził nogą o krawędź skrzynki i wyłożył się jak długi.

– Wszystko w porządku? – zapytał Kozacki, pomagając mu wstać.

– Tak, dzięki – odpowiedział nieco speszony policjant, podniósł czapkę z podłogi, otrząpiał i ruszył dalej.

Widok, jaki ujrzeli, na zawsze zapadł im w pamięć. Bynajmniej nie dlatego, że był szczególnie drastyczny. Widywali już znacznie gorsze: wypadki samochodowe i kolejowe, samobójcy... Tym razem mieli do czynienia z dwoma trupami. Jednego z nich rozpoznali na pierwszy rzut oka – był to Świniobójca. Zakrwawioną twarz drugiego tak często widywali w telewizji i gazetach, że z jego rozpoznaniem także nie mieli najmniejszych problemów, ale potrzebowali sporo czasu, żeby uświadomić sobie, że to dzieje się naprawdę.

– Widzisz to co ja? – zapytał Mundek słabym głosem.

– Chy... chyba tak, ale nie jestem pewien...

Długie milczenie, a potem:

– Co robimy?

– Nie mam pojęcia – wyszeptał Kozacki tak cicho, że sam się przez chwilę zastanawiał, czy aby na pewno wypowiedział te słowa.

I rzeczywiście nie wiedział. Mógł tylko stać i się gapić z opadniętą szczęką. Patrzył na największego zbrodniarza ostatniego dziesięciolecia, a kto wie, czy nie całego wieku. Na człowieka numer jeden na liście najbardziej poszukiwanych ludzi świata, człowieka, który stał za atakiem na największe imperium świata, w wyniku którego w ciągu kilkudziesięciu minut życie straciło prawie trzy tysiące ludzi. Człowieka, który 11 września 2001 roku zmienił bieg historii.

Minęło dużo czasu, zanim dwaj policjanci wyszli z piwnicy i ruszyli do radiowozu, którym przyjechali polną, nieuczęszczaną drogą wiodącą od Klewek.



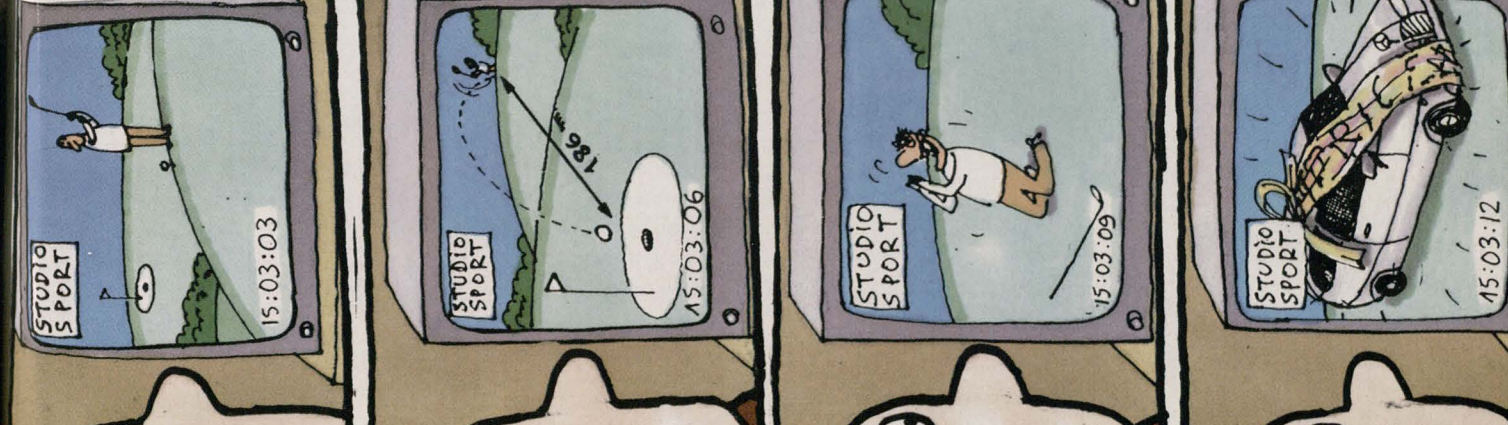
OPOWIADANIE POCHODZI Z MIESIĘCZNIKA „ALFRED HITCHCOCK POLECA” (NUMER 3/2006) DOSTĘPNEGO W KIOSKACH I PUNKTACH SPRZEDAŻY PRASY W CAŁEJ POLSCE. WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONIE WWW.HITCHCOCK.PL



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

Słownik języka nowopiskiego (dla obcopicowców)

Zbigniew Dmitroca



MAREK RACZKOWSKI

JAKI DUCH CZASU, TAKI I ZADUCH

Krzysztof Pajdak



Rys. PAULUS MAZUR

STRACH NA WRÓBLIE

Patryk Pajdak

RODZINA

Stracha na wróble boją się nie tylko wróble, ale i dużo większe ptaki, a także niektórzy ludzie. Również syn Obty odczuwa lęk na jego widok. Boi się, że strach nagle się poruszy i chwyci go za szyję. – Boisz się go? – pyta syna pan Obty i szturcha stracha zartobliwie. Strach się nie rusza i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie cisza, jaką strach zasiał w okolicy. Pan Obty próbuje ją zagłuszyć i krzyczy, ale strach na wróble go nie słyszy. Piłnuje pola, a Obty biegną przez nie w ciszy.



Rys. GROSS/NEW YORKER

– Nie jesteście myśliwymi ani zbieraczami. Jesteście księgowymi.

PISTO – każdy tekst sygnowany przez PiS, co jest niewątpliwie przejawem wszechobecnego w języku nowopiskim ducha PiSianizmu patriarchyatu PiSowska (Zyta) – bezdyskusyjny dowód na zwycięstwo PiS nad zdrowym rozsądkiem RzeczPiSpolitej PiSkiej

PIStacja – drzewko szczęścia PiS; niektórzy PiSjonerzy pragną, aby w przyszłości IV RzeczPiSpolita PiSka była też nazywana Rajską Krajiną PiSkiego zdeprecjonowane i złe się PiSjanistom kojarzące pieczone gołąbki, którymi jakoby karmił swoich popleczników aparat władzy PRL

PIStolet – 1. czołowy działacz PiS; 2. PiSiannik do zadań specjalnych monety hiszpańskiej miała zastąpić starą, poczciwą złotówkę

PISton – 1. PiSowski straszak na posłów innych ugrupowań parlamentarnych; 2. PiSowski wentyl bezpieczeństwa; 3. hiPiS

PISuar – (...) [ustawa o etyce dziennikarskiej]

PO(P) – właściwie PO; skrótnie interpretowany jest przez radykalnych zwolenników sPiSkowej teorii dziejów jako Platforma Obłącznicza PiSkości, stąd PO(P)

POPIS – kaczka dziennikarska, która miała na celu wymuszenie na PiS koalicji z libertynami z PO(P)

POPiSkiwanie – ubolewania godne skamlenie apologetów kuriozalnej koalicji POPIS

przePiS – ściśle strzeżona tajemnica partyjno-partstwowa niepojętego sukcesu PiSianizmu

rzeczPiSpolita – reedycja PRL z PiSem jako przewodnią siłą narodu

traPiSta – PiSjański asceta i cierpiętnik lubujący się w publicznym okazywaniu swojego z troską o dobra RzeczPiSpolitej

turPiSta – niegrzeszący urodą członek PiS

utoPiSm – niedorzecznością jest dopatrywanie się w poczynaniach PiS utopizmu, jak i sugerowanie, iż ma on jakikolwiek związek z topieniem, zatapianiem i pogańskimi topielicami

wolnoPiSarstwo – wroga, bo niestety wciąż niezależna od PiS, tajna organizacja wszechświatowa, której agendami są w RzeczPiSpolitej PiSkiej choćby takie tytuły, jak „Gazeta W.” czy „Przek.”, znajdujące się na liście obiektów do zatopienia i wymazania z podręczników szkolnych

wPiSowe – dobrowolny wsad członka kandydata na poczet przyszłych profitów z przynależności do PiS

wysyPiSko – (...) [ustawa o etyce dziennikarskiej]

HAJKU BRZOŃSKI POWIENIA

WIATR HISTORII NIE POWIENIA BEZWIEDNIE

Dariusz Bizuskiwicz

SŁOWA MOWIA SAME

JERZY BUCZEK

PISTOLET – 1. czołowy działacz PiS; 2. PiSiannik do zadań specjalnych

PISTON – 1. PiSowski straszak na posłów innych ugrupowań parlamentarnych; 2. PiSowski wentyl bezpieczeństwa; 3. hiPiS

PISUAR – (...) [ustawa o etyce dziennikarskiej]

PO(P) – właściwie PO; skrótnie interpretowany jest przez radykalnych zwolenników sPiSkowej teorii dziejów jako Platforma Obłącznicza PiSkości, stąd PO(P)

POPIS – kaczka dziennikarska, która miała na celu wymuszenie na PiS koalicji z libertynami z PO(P)

POPiSkiwanie – ubolewania godne skamlenie apologetów kuriozalnej koalicji POPIS

przePiS – ściśle strzeżona tajemnica partyjno-partstwowa niepojętego sukcesu PiSianizmu

rzeczPiSpolita – reedycja PRL z PiSem jako przewodnią siłą narodu

traPiSta – PiSjański asceta i cierpiętnik lubujący się w publicznym okazywaniu swojego z troską o dobra RzeczPiSpolitej

turPiSta – niegrzeszący urodą członek PiS

utoPiSm – niedorzecznością jest dopatrywanie się w poczynaniach PiS utopizmu, jak i sugerowanie, iż ma on jakikolwiek związek z topieniem, zatapianiem i pogańskimi topielicami

wolnoPiSarstwo – wroga, bo niestety wciąż niezależna od PiS, tajna organizacja wszechświatowa, której agendami są w RzeczPiSpolitej PiSkiej choćby takie tytuły, jak „Gazeta W.” czy „Przek.”, znajdujące się na liście obiektów do zatopienia i wymazania z podręczników szkolnych

wPiSowe – dobrowolny wsad członka kandydata na poczet przyszłych profitów z przynależności do PiS

wysyPiSko – (...) [ustawa o etyce dziennikarskiej]

PRZE KROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najstlub **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Jacek Kowalczyk **PROJEKT GRAFICZNY:** Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Łaska **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Marcin Sendek, Maria Świetlik (zastępca) **ASYSTENTKA:** Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska **KRAJ:** Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Milena Rachid Chehab, Grzegorz Rączkowski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) **NAUKA:** Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Kuba Dąbrowski, Bogdan Krężel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański **KOREKTA:** Tatiana Hardej, Sylwia Raczynska **ARCHIWUM:** Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Jednostka Organizacyjna **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES:** Ewa Redel **DYREKTOR ZARZADZAJĄCY:** Izabela Bochenek **DYREKTOR FINANSÓW:** Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz **DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:** Iwona Zabielska-Stadnik **DZIAŁ DYSTRYBUCJI:** Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor **PRZYGOTOWALNIA:** Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) **DZIAŁ PROMOCJI:** Anna Wyszowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584-295, -172, -311, -594
tel. (0-22) 584 25 74 **DRUK:** Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin **PRENUMERATA WYDAWNICZA** – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.–pt., godz. 8–16).
Dodatkowe informacje i reklamacje TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.–PT., GODZ. 9–17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL **PRZEZ POCZTĘ** – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADSZYBNIANYCH ARTYKULACH I LISTACH.

LAST MINUTE Krzysztof Pajdak

O usławie antylichwarskiej „Jakiś odełek” (z listu do redakcji): „Udzielęm pewnej partii” może zażądać?

**HITY
ROKU
2006**



Nieżyły łobuz

Nowy Peugeot 107 już od 395 zł miesięcznie

www.peugeot.pl



**PEUGEOT
KREDYT**

Zwinny, wyrywny łobuz sam określa swoje terytorium. Zna „te” miejsca, wjeżdża w każdy zaułek, nic go nie zatrzyma... Szybki zwrot i już jest gdzie indziej. Zdecydowany, a równocześnie w pełni bezpieczny i oszczędny. Taki jest nowy Peugeot 107. Chciałbyś być z nim za pan brat? Nie widzimy przeszkód. Sprawdź jego doskonałą orientację w terenie podczas jazdy próbnej. Zapraszamy do salonów.

PEUGEOT REKOMENDUJE **TOTAL**

PEUGEOT. ZAPROJEKTOWANY, BY CIESZYĆ.

107



PEUGEOT

Szczegóły w salonach Peugeot. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania dla samochodu w cenie 31 800 zł (przy wpłacie własnej 30%, kredytowanej opłacie przygotowawczej w wysokości 4% dla kredytu na 72 miesiące) wynosi 8,73%. Zużycie paliwa: 4,1 l/100 km, emisja CO₂: 109 g/km, dla silnika 1.4 HDi 54 KM.